REPORTAŻ

Jerzy Haszczyński

RZEŹNIA NUMER JEDEN

i inne reportaże z Niemiec



W serii ukazały się ostatnio:

Jacek Hołub *Niegrzeczne. Historie dzieci z* ADHD*, autyzmem i zespołem Aspergera* (wyd. 2 poprawione)
Linda Polman *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej* (wyd. 3)
Aneta Pawłowska-Krać *Głośnik w głowie. O leczeniu psychiatrycznym w Polsce*
Paweł Smoleński *Syrop z piołunu. Wygnani w akcji „Wisła”* (wyd. 2)
Bartek Sabela *Wszystkie ziarna piasku* (wyd. 2 zmienione)
Anna Bikont *Cena. W poszukiwaniu żydowskich dzieci po wojnie*
Magdalena Kicińska *Pani Stefa* (wyd. 2)
Anna Sawińska *Przesłonięty uśmiech. O kobietach w Korei Południowej*
Mariusz Surosz *Ach, te Czeszki!* (wyd. 2)
Tomáš Forró *Apartament w hotelu Wojna. Reportaż z Donbasu* (wyd. 2)
Sonia Faleiro *Porządne dziewczyny. Zbrodnia i hańba w Indiach*
Swietłana Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* (wyd. 5)
Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 4)
Adam Robiński *Pałace na wodzie. Tropem polskich bobrów*
Marek Szymaniak *Urobieni. Reportaże o pracy* (wyd. 2)
Ilona Wiśniewska *Migot. Z krańca Grenlandii*
Ed Vulliamy *Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki* (wyd. 3)
Wojciech Górecki *Abchazja* (wyd. 3)
Katarzyna Surmiak-Domańska *Mokradełko* (wyd. 2)
Piotr Bernardyn *Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny*
Tomasz Grzywaczewski *Granice marzeń. O państwach nieuznawanych* (wyd. 2)
Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy* (wyd. 3)
Wade Davis *Wąż i tęcza. Voodoo, zombie i tajne stowarzyszenia na Haiti*
Igor T. Miecik *14:57 do Czyty. Reportaże z Rosji* (wyd. 2)
Jacek Hugo-Bader *W rajskiej dolinie wśród zielska* (wyd. 4)
Aleksander Gurgul *Podhale. Wszystko na sprzedaż*
Anna Malinowska *Od Katowic idzie słońce*
Norman Lewis *Neapol ’44. Pamiętnik oficera wywiadu z okupowanych Włoch* (wyd. 2)
Stig Dagerman *Niemiecka jesień. Reportaż z podróży po Niemczech* (wyd. 2)
Jakub Szymczak *Ja łebków nie dawałem. Procesy przed Żydowskim Sądem Społecznym*
Mariusz Szczygieł *Gottland* (wyd. 5)
Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 3)
Marjorie Wallace *Milczące bliźniaczki*
Norman Lewis *Głosy starego morza W poszukiwaniu utraconej Hiszpanii* (wyd. 2)

W serii ukażą się m.in.:

Ed Vulliamy *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy* (wyd. 2)
Karolina Domagalska *Nie przeproszę, że urodziłam. Historie rodzin z* in vitro (wyd. 2)

Jerzy Haszczyński

Rzeźnia numer jeden i inne reportaże z Niemiec



Wołowiec 2022



Projekt okładki Ola Szpocińska na podstawie projektu serii Agnieszki Pasierskiej
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś
Fotografia na okładce © by Stefan Boness / Panos Pictures / Forum

Opieka redakcyjna Tomasz Zając
Redakcja Anna Niklewicz
Korekta Kinga Kosiba / d2d.pl, Iwona Łaskawiec / d2d.pl
Skład Robert Oleś



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

Projekt współfinansowany przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-599-1

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna

Mamo, przecież masz niemieckie dziecko
Rzeźnia numer jeden
Libijczyk zostaje tutaj
Buntownicy z enerdowskiej prowincji
Jajo ortolana
Dżihadystka z Breitenbach
Mama Żydówka, tata esesman i komunista
Tęsknota
Heimat Hanau
Heimat Hanau 2
Idylla
Święto miasta Chemnitz
Marie Curie i ja
Sto trzy czerwone goździki

Bibliografia
Przypisy
Kolofon

Mamo, przecież masz niemieckie dziecko

2020/2021

– Jako dziecko słyszałem: „Ty pieprzony polaczku! Won z naszego domu, bękarcie". Potem się okazało, że jestem homoseksualistą. Znowu leciały wyzwiska: „gówniana cioto" i tym podobne. A ja nigdy nikomu nic złego nie zrobiłem. Nigdy.

1

Gert Eid ma siedemdziesiąt pięć lat. Poznaliśmy się ponad dwie dekady temu. To on mnie znalazł. Nie wiem, jak zdobył mój numer. Zadzwonił. Trwały wtedy negocjacje o niemieckich odszkodowaniach dla robotników niewolniczych z czasów drugiej wojny światowej. Sporo o tym pisałem do gazety codziennej. Poprosił, bym pomógł odnaleźć jego ojca, Polaka, który trafił do pracy przymusowej we wsi w Nadrenii- -Palatynacie, a potem zniknął, nie przejmując się losem spłodzonego z Niemką dziecka. Ojca nie udało się odnaleźć, choć przejrzałem sporo dokumentów i przeczytałem dziesiątki tekstów z tużpowojennej niemieckiej prasy. Nawet, nie całkiem legalnie, szukałem go w polskim systemie ewidencji ludności PESEL.

O tych poszukiwaniach napisałem reportaż. Poruszyłem w nim temat małych dzieci, które w tajemniczy sposób umarły, zanim z frontu i niewoli do wsi wrócili niemieccy mężczyźni. Nosił tytuł *Małe groby z Lauschied*. Lauschied to wieś, w której wychował się Gert Eid. Od chwili publikacji sporo się wydarzyło – wyjaśniło się, dokąd z Niemiec przeniósł się jego

ojciec. Dowiedziałem się też więcej o Gercie Eidzie, samej wsi i losie robotników przymusowych.

2

Matka Niemka, ojciec Polak. Takie dzieci nie pasowały do hitlerowskiej ideologii, która mimo zakończenia wojny wciąż tkwiła w wielu głowach. Nie pasowały do wyobrażeń ich babek i matek, które czekały na powrót do wsi niemieckich bohaterów. Oni nie zaakceptowaliby u siebie dzieci wroga. Zwano je „kukułczymi jajami”. Zaraz po urodzeniu szybko przenosiły się na tamten świat. Albo nie dawano im nic do jedzenia i powoli umierały, albo w nocy przykładano im poduszkę do twarzy i już się nie budziły. Rano stwierdzano po prostu, że dziecko się udusiło, gdy spało w łóżeczku – takie rzeczy się przecież zdarzają.

– Ja przeżyłem – opowiadał mi przed laty Gert Eid.

Przeglądam stare, ręcznie robione notatki, po polsku i po niemiecku, oraz listy przesłane faksem – papier pożółkł, pokrył się plamami i zmarszczkami, litery zbladły, niektóre zniknęły bezpowrotnie.

Przypominam sobie reportaż z 2002 roku. Będę go tu cytował. Zaczynał się od powtarzającego się snu Gerta Eida: mężczyzna wpadał do dołu na cmentarzu w Lauschied i widział twarze małych dzieci; czegoś od niego chciały, ale głosy nie wydobywały się z ust.

Gert był przekonany, że niewiele brakowało, a jego los wyglądałby podobnie. „Usuwano je z drogi” – takie określenie zapamiętał z rozmów dorosłych o niechcianych dzieciach Niemek z Polakami. Gerta uratowała babka. Nietypowa, bo pochodziła z dużego miasta, umiała się oprzeć presji sąsiadów. Wspierała wnuka przez całe dzieciństwo. Gdy we wsi słyszał o swojej matce, że jest polską dziwką, wsiadał na rower i jechał kilka kilometrów do domu babci. W czasie pierwszej komunii Gerta ksiądz przy dziesiątkach wiernych tak zwymyślał jego matkę, że wybiegła z kościoła, szlochając, i nie pojawiła się w nim, dopóki duchowny nie zmienił parafii.

3

– Kiedy swoim zachowaniem wyprowadzałem mamę z równowagi, powtarzała: „Gdybym wiedziała, że taki będziesz, to i ja bym ci poduszką usta zatkała” – opowiada teraz Gert Eid. I w przeszłości wydawał mi się potężny, ale przez ostatnie lata nabrał wagi. To przez kortyzon, tłumaczy.

Na Facebooku zamieścił swoje zdjęcie z wczesnego dzieciństwa. Pyzaty blondynek ze słodkim uśmiechem, wciśnięty w spodenki na szelkach, trzyma się oparcia krzesła.

– „Byłeś ślicznym dzidziusiem”, opowiadała mi mama, gdy była po osiemdziesiątce. Ale wcześniej podkreślała, że nie chciała mieć dziecka z Polakiem. Potem do tego wróciła. Teraz ma dziewięćdziesiąt pięć lat, demencję, jest w domu opieki. Jeszcze niedawno, jak się z nią można było dogadać, powiedziała: „Gdybym nie była taka głupia i nie związała się z twoim ojcem, to miałabym niemieckie dziecko”. „Masz niemieckie dziecko”, odpowiedziałem. Po polsku znam tylko „w lewo”, „w prawo” i „dziękuję”. Jeszcze w tym wieku to w niej siedzi. To nie jej wina, takie było nastawienie. W dzieciństwie często słyszałem: „Polaczek, ten gówniany polaczek”. Przychodzę do kolegi, a jego matka pyta: „Kogo przyprowadziłeś?”. „To syn pani Eid”, odpowiada kolega. Na to matka: „Wygoń tego polaczka!”. Nienawidziłem tego, to było przerażające. Koledzy mnie bili. Już jako dojrzały mężczyzna przyjeżdżałem do Lauschied po wino do rodziny winiarzy. Zarobili na mnie duże pieniądze, do dziś tam zaglądam. I wciąż przypominam sobie babkę obecnego właściciela. W dzieciństwie przychodziłem do niej po mleko, siedziała zawsze z kanką między nogami. „Jak tam u twojego ojca, chłopcze?”, spytała pewnego razu. „Jest w gospodarstwie”, odpowiedziałem, bo w swojej naiwności sądziłem, że chodzi o ojczyma. „Nie o tego pytam, tylko o polaczka”. A przecież ja nie znałem tego polaczka, nic o nim nie wiedziałem. Dziadek, ojciec ojczyma, z okazji Bożego Narodzenia zapraszał wszystkie wnuki do kawiarni w mieście. Tylko ja, polski bękart, nie mogłem tam z nimi pójść. Ciotka Agnes, siostra ojczyma, pierwsza we wsi miała telewizor. Poszedłem coś obejrzeć, a ona do mnie: „Wracaj do

matki i powiedz jej, żeby zajęła się swoim bękartem”. To strasznie brzmiało.

Kiedy raz w czasie pogrzebu małemu Gertowi zachciało się siku, ciotka, która miała dom obok cmentarza, nie chciała dać mu klucza, by poszedł do toalety. „Niech robi w gacie” – powiedziała.

– Potem już nigdy nie rozmawialiśmy. Ojczymowi do końca jego życia powtarzała: „Co ty wyczyniasz? Wychowujesz polaczka, sam zrób sobie dziecko. Niemieckie”. Ale on nie mógł. Wrócił z frontu w takim stanie, że nie mógł mieć dzieci. Mama poślubiła go, gdy miałem sześć lat. Nie miała żadnej szansy na zdrowego mężczyznę. Z ojczymem po raz pierwszy na poważnie porozmawiałem, gdy dobiegałem czterdziestki i prowadziłem własną restaurację. „Dobrze ci się teraz powodzi, masz niezły zawód i dobry samochód, ale gdy byłeś dzieckiem, nienawidziłem cię”, wyznał. „Po co mi to mówisz?”, spytałem. Kilka miesięcy później umarł. Oczekiwano, że coś powiem nad trumną. Nie mogłem. Chciałem to wszystko zapomnieć, ale się nie dało.

4

– W Lauschied nie mordowano dzieci robotników przymusowych. Nic takiego się tu nie wydarzyło. Nasza wieś była niechętna nazistom – zapewniał mnie w 2002 roku burmistrz Ferdinand Stenzhorn. Całe życie spędził w Lauschied, pamiętał Polaków zesłanych tu w czasie wojny do pracy przymusowej. Dziś ma prawie dziewięćdziesiąt lat, wciąż prowadzi swojego mercedesa, ale już nie chciał się spotkać. Nie mogliśmy wrócić do tematu i omówić wpisów do księgi pogrzebów, którą wtedy na moją prośbę wyciągnął.

Utrwaliła wyjątkowe zjawisko.

W ciągu kilkunastu miesięcy w latach 1947–1948 zmarło w Lauschied pięcioro dzieci w wieku poniżej roku. Takiej śmiertelności niemowląt nigdy tu nie odnotowano. Jedno zmarło w 1937 roku, później po jednym w 1949 i 1952 roku. Tych pięcioro dzieci poczęto w czasie, gdy w Lauschied nie było Niemców w wieku poborowym. Byli Polacy, do niedawna pracujący

przymusowo – co najmniej trzech, w tym Stanisław Mazur, ojciec Gerta. I każdy miał przynajmniej jedno dziecko z tutejszą Niemką. Jedną z nich była Gertrud Schwenk, która kilka lat później wyszła za Niemca i wraz z synem przyjęła jego nazwisko: Eid.

– Tak, to szokujące. Wówczas nieślubne dziecko w niemieckiej wiosce to było coś nienaturalnego – przyznał Stenzhorn. Tak tłumaczył śmierć z głodu: – Panowała susza, nie było co jeść, kartofle rosły nie większe niż śliwki.

– Na wsi zawsze jest coś do jedzenia – skomentował Gert Eid, gdy wyszedłem z domu burmistrza. Gert to jedyne dziecko polskiego robotnika urodzone zaraz po wojnie, które przeżyło.

Po latach słyszę od mieszkanki Lauschied:

– Jeden miejscowy na starość opowiadał o tych świeżo powojennych historiach. Mówił, że może nawet dziesięć Niemek zaszło w ciążę z Polakami. Ale te dojrzalsze umiały sobie z tym poradzić, spędzały płód. Tylko młode, niedoświadczone, rodziły. I był kłopot.

Również po latach słyszę od mieszkańca Lauschied, który znał mój reportaż:

– Na pewno było jeszcze jedno dziecko, o którym pan się nie dowiedział. Więcej nie powiem. Każdy ma sąsiadów. To mała społeczność, nikt nie lubi, gdy się grzebie w przeszłości jego rodziny.

5

Jakiś czas po opublikowaniu mojego reportażu o Lauschied do Gerta Eida zgłosiła się jego rówieśniczka mieszkająca w Nowym Jorku.

– Imię i nazwisko niemieckie. Napisała list odręcznie, pięknymi literami. Po przeczytaniu pana tekstu uznała, że może być moją przyrodnią siostrą. Też szukała swojego ojca, robotnika przymusowego z Nadrenii-Palatynatu. Ale, jak się okazało, jej mama była z okolic Neustadt an der Weinstrasse. To prawie sto kilometrów od Lauschied. Zadzwoniłem do niej do Nowego Jorku i przekonywałem, że to za daleko. Wówczas w konserwatywnym,

katolickim regionie mężczyzna nie mógł mieć przecież dziecka w każdej wsi. Zwłaszcza Polak – mówi Gert Eid.

6

Dwadzieścia lat temu przeglądałem w archiwum w Berlinie stare gazety z Nadrenii-Palatynatu. Znalazłem trzy przypadki zabójstw małych dzieci, owoców pozamałżeńskich związków, z lat 1946–1947.

Pochodząca z Moguncji kobieta udusiła swoje dwuletnie dziecko pierzyną. Do tragedii doszło, gdy mąż wrócił do domu z obozu jenieckiego i się przekonał, że żona nie dochowała mu wierności. Skazano ją na dwa lata więzienia – pisała „Neue Mainzer Anzeiger".

We wsi pod Trewirem zniknęło gdzieś nowo narodzone nieślubne dziecko. Jak się okazało, zostało zamordowane i potajemnie pogrzebane na wiejskim cmentarzu. „Trierische Volkszeitung" informowała, że za winną sąd uznał babkę noworodka. Kobieta usłyszała wyrok sześciu lat pozbawienia wolności.

W wychodzącej w Moguncji „Allgemeine Zeitung" pisano o dwudziestoczteroletniej kobiecie z miasteczka Bingen, która głodziła kilkumiesięcznego synka, a w końcu udusiła go poduszką. „Bezradne dziecko musiało szczególnie cierpieć"[1]. Sprawczyni została skazana na dożywocie. Gdy zapadał wyrok, jej mąż wciąż był w obozie jenieckim.

Zachowały się akta tylko tej ostatniej sprawy. Jak zapewniła mnie prokuratura w Moguncji, ojcem uduszonego kilkumiesięcznego chłopca nie był jednak robotnik przymusowy.

7

W czasie wojny wszelkie kontakty z cudzoziemcami ściągniętymi do pracy w fabrykach i na roli były pod ścisłą kontrolą. Stosunki seksualne podlegały surowym karom. Choć nie wszyscy byli traktowani tak samo – obowiązywała hierarchia rasowa.

Stosunki Niemek z Holendrami i Skandynawami może nie były mile widziane, ale je tolerowano – pisał historyk Mark Spoerer, autor książki o pracy przymusowej. Niżej w hierarchii byli Polacy i inni Słowianie; ich zazwyczaj za podobny czyn czekała śmierć, szczególnie gdy współżyli z Niemkami, których mężowie byli na froncie. Najwyższy wymiar kary miał odstraszać innych robotników przymusowych i zapewniać spokój niemieckim żołnierzom.

Niemkom, które w ten sposób „naruszyły zdrowe poczucie narodowe”, groziło co najmniej ogolenie głowy na łyso i wystawienie na widok publiczny z napisem: „Zadawałam się z Polakiem”, by przyglądały się im tłumy, zgromadzone na centralnym placu miasta.

Wiele takich Niemek trafiło jednak do więzienia czy obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Prezes sądu w Kolonii uważał, że jego koledzy są zbyt łaskawi dla tych „niegodnych kobiet”, i przedstawił wytyczne: „Za danie kanapki – rok więzienia, za pocałunek – dwa lata, za stosunek intymny – obcięcie głowy”. Zazwyczaj tak drastycznych wyroków nie wydawano, z reguły Niemki skazywano na dwa lata więzienia.

8

Niektórzy Polacy, których przyłapano na intymnych związkach z Niemkami, przede wszystkim niezamężnymi, mogli się uchronić przed karą, jeżeli mieli odpowiedni wygląd i nadawali się do zniemczenia. Taki mało znany eksperyment eksperci od rasy prowadzili w obozie koncentracyjnym Hinzert, położonym osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Lauschied. I tylko tam.

Krótką notkę na ten temat znalazłem w publikacji, którą dał mi Gert Eid: *Verfolgung und Widerstand in Rheinland-Pfalz 1933–1945* [Prześladowania i ruch oporu w Nadrenii-Palatynacie 1933–1945], wydanej przez Landową Centralę do spraw Edukacji Politycznej. Pada tam zdanie, że pomysł pochodził od naczelnego dowódcy SS Heinricha Himmlera. To on w 1941 roku postanowił dać szansę Polakom, którzy dopuścili się zakazanych stosunków z Niemkami. Postawił warunki: nordyckie cechy,

ogólnie dobry wygląd i dobry charakter. Musieli dowieść *Eindeutschungsfähigkeit*, zdolności do zniemczenia. „E” z początku tego słowa znalazło się w specjalnym określeniu na takich Polaków – *E-Polen*.

Od pomysłu Himmlera do realizacji w Hinzert upłynęły dwa lata. Więcej szczegółów o *E-Polen* poznałem dzięki doktor Beate Welter, pracującej w Miejscu Pamięci Obozu Specjalnego SS – Obozu Koncentracyjnego Hinzert. Wraz z Leną Haase napisały artykuł na ten temat, który czeka na druk w specjalistycznym periodyku.

W 1943 roku Hinzert uzyskał dodatkową nazwę: *Eindeutschungslager*, obóz zniemczania. Zanim Polak, który dopuścił się zakazanego stosunku z Niemką, tam trafił, musiał przejść skomplikowaną procedurę. Wiedział, że jeżeli badania wypadną niepomyślnie, czeka go najpewniej egzekucja. Pozytywny wynik oznaczał skierowanie na sześć miesięcy do specjalnego oddziału germanizacji w Hinzert. Tam właśnie Polacy musieli się wykazać dobrym niemieckim charakterem. Dlatego SS chętnie wyznaczało im funkcję kapo, nadzorcy komand kierowanych do pracy. Inni więźniowie obozu, Luksemburczycy, Francuzi, a także sami Polacy, zachowali o polskich kapo walczących o zniemczenie bardzo złe wspomnienia, jak piszą Haase i Welter.

Procedurą objęto co najmniej dziewięciuset szesnastu *E-Polen* (E-916 to ostatni numer, który zachował się w archiwach), sporo nazwisk nie jest znanych. Z tego czterystu sześćdziesięciu jeden bez wątpienia trafiło do obozu Hinzert, gdzie odbywał się ostatni etap eksperymentu germanizacji Polaków o dobrym nordyckim wyglądzie. W artykule pada kilka nazwisk, zazwyczaj są zniekształcone, podobnie jak imiona (Wladislaw, Theofil), z których większość jest w wersji niemieckiej (Johann, Heinrich, Anton). Daty urodzenia to: 1905, 1914, 1917, 1918.

Wiadomo, że stu sześćdziesięciu jeden więźniów przeszło próbę niemieckiego charakteru w Hinzert pozytywnie, stało się Niemcami i mogło poślubić Niemki. Stu dziewięćdziesięciu dziewięciu nie znało jeszcze wyniku, gdy skończyła się wojna. Stu jeden uznano za niezdolnych do germanizacji.

– Co się z nimi stało? – pytam doktor Welter.

– Przeniesiono ich do obozu koncentracyjnego, który znajdował się najbliżej miejsca „przestępstwa”. Jeżeli do zakazanego obcowania doszło w Bawarii, to trafiali do obozów Dachau lub Flossenbürg, jeżeli w Palatynacie, to do Natzweiler. Wysyłano ich tam do pracy, jak wpisywano do dokumentów, „na długi czas” albo „na trzydzieści lat”. To znaczy, że mieli nie opuścić obozu koncentracyjnego żywi, ale nie dokonywano egzekucji.

W procedurę dopuszczającą do zniemczenia w obozie Hinzert zaangażowani byli najwyżsi szefowie policji i SS w regionie, gdzie doszło do „przestępstwa obcowania”, a także eksperci z Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa. Pod względem rasowym i obyczajowym sprawdzano również członków rodzin Polaków, którzy startowali w upiornym konkursie na udaną germanizację.

Esesmani i specjaliści od rasy wypełniali *SS-Rassenkarten*, karty rasowe kandydatów. Drobiazgowo oceniali ich w dwudziestu jeden kategoriach (z pięcioma możliwymi odpowiedziami do wyboru), takich jak:

długość nóg (bardzo długie / długie / średnie / krótkie / bardzo krótkie);

ukształtowanie powieki górnej (słaba fałda / silna fałda / brak fałdy / epikantus / fałda mongolska);

szerokość nosa (bardzo wąski / wąski / średni / szeroki / bardzo szeroki);

potylica (wystająca / wypukła / umiarkowanie wypukła / płaska / zdeformowana);

kolor oczu (niebieskie / szaroniebieskie / szarozielone / jasnobrązowe / ciemnobrązowe);

budowa ciała (szczupły / potężny / średni / krępy / gruby);

rodzaj włosa (prosty lub lekko falujący / kręcony / mocno falujący / kędzierzawy / sprężynkowaty);

kolor skóry (różowa – biała / płowobiała – szarobiała / żółtawa / smagła / ciemnawa – brązowa).

Do obozu koncentracyjnego Hinzert nie trafił żaden polski robotnik przymusowy z Lauschied, a przynajmniej nie zachowały się żadne dokumenty na ten temat.

Czy mieliby szansę na zniemczenie? Jakie wnioski wyciągnęliby skrupulatni eksperci z ich kart rasowych, gdyby je sporządzono? Ojciec Gerta Eida, Stanisław Mazur, był dorodnym mężczyzną, podobał się Niemkom.

– Kiedy byłem już dorosły, babcia opowiadała, jak kobiety na niego patrzyły, gdy chodził podczas prac polowych z pięknym gołym torsem i trzymał lejce w ręku. Aha, pomyślałem, to nawet w głowach starszych rodziły się różne marzenia. Cóż się dziwić młodym – mówi Gert.

9

Dwie dekady temu Gert Eid wybrał mnie, by publicznie opowiedzieć o swoim powojennym losie niechcianego dziecka. Przed dwoma laty ujawnił, że jest gejem: wystąpił w telewizyjnym filmie dokumentalnym o homoseksualistach z Moguncji, po czym był gościem spotkań organizowanych przez instytucje zajmujące się równością.

– Przedtem nie chciałem, by w domu spokojnej starości mamie zadawano głupie pytania. Chroniłem ją, teraz jest mi to obojętne.

Gdy spotykamy się ponownie, podczas pierwszej rozmowy, w restauracji pod Moguncją z widokiem na Ren, temat przemyka wśród opowieści o sympatiach politycznych. W latach sześćdziesiątych Gert był w SPD, ale szybko z niej wystąpił. Dziesięć marek miesięcznie składki członkowskiej to było za dużo, tłumaczy. Zarabiał czterysta.

– Później zbliżyłem się do Zielonych, bo oni mówili, że są za homoseksualistami.

Tyle muskamy podczas tej rozmowy. Następnego dnia wiele godzin spędzamy w Lauschied. Tu pojawiają się inne tematy. Podczas drogi powrotnej autostradą do Moguncji w jego małym renault pytam o publikacje na temat jego prelekcji o prześladowaniach homoseksualistów, które znalazłem w internecie, między innymi w magazynie gejowskim „Schwulissimo”.

Mocno trzyma w rękach kierownicę, patrzy na prostą drogę. Opowiada, że od dziecka coś przeczuwał, ale nie wiedział, o co chodzi. Rodzina była

katolicka, nic się o tych sprawach nie mówiło. W wieku czternastu lat wyjechał do malowniczego nadreńskiego miasteczka Boppard, dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Lauschied i mniej więcej tyle samo od Moguncji.

– Uczyłem się tam zawodu u hotelarza i restauratora. Mieszkałem na czwartym piętrze jego hotelu, jak inni uczniowie. Miałem mały pokój. Do dziesiątej wieczorem pracowaliśmy, o jedenastej przychodził szef, sprawdzał, czy jesteśmy, i nas zamykał. Był z nami dwudziestoletni Włoch. Pewnego wieczora Włoch wszedł mi do łóżka. Byłem najmniejszy, chudziutki, mam zdjęcia, mogę pokazać. Inni mi rozkazywali: mały, przynieś to, zrób tamto. Włoch chwycił moją głowę, wcisnął w poduszkę. Brutalnie zgwałcił. Nie mogłem się bronić. Koledzy odkryli już swoją seksualność, ja nie, i zostałem w to szybko wrzucony. Boleśnie. To wina szefa, bo nas na noc zamykał, a nie Włocha; on już był aktywny seksualnie, w Niemczech byliśmy inaczej wychowywani. Włoch ledwo się wysławiał po niemiecku, przyjechał do pracy na jeden sezon, jak to gastarbeiterzy. Zarabiał nieźle jak na warunki, z których się wywodził. Był kucharzem. I moim kolegą.

Gert poszedł po tym do lekarza, a ten orzekł, że nic mu się nie stało, po prostu ma hemoroidy.

– Co było nieprawdą, ale lekarz był świnią. Właściciel hotelu, bogaty i wpływowy, na wszystko mógł sobie pozwolić, także na odpowiednią ekspertyzę medyczną. Gdybym opowiedział rodzicom, tobym usłyszał, że sobie nie radzę, kombinuję i kłamię. Dlatego nic nie mówiłem. Teraz ludzie takie rzeczy ujawniają.

10

Gert Eid próbował wieść życie heteroseksualne. Przez cztery lata spotykał się z kobietą, jeździł z nią na wakacje, ale nie podobało mu się to:

– To nie było moje życie. Mnie zawsze interesowali mężczyźni, wysocy, silni, z włosami na klatce piersiowej.

W Moguncji był żydowski przedsiębiorca ocalony z Holokaustu, pan Isidor. Odwiedził Gerta w knajpie, w której ten pracował jako kucharz. Zachęcił: „Możesz się przenieść do mnie, mam lokal, w którym mężczyźni mogliby się spotykać z mężczyznami”. Przedtem był tam bar, gdzie kobiety czekały na mężczyzn, którzy podchodzili, płacili za koniak czy coś innego. Interes się jednak nie kręcił, więc pan Isidor przerobił lokal.

– Nazwał go Petite Fleur, kwiatuszek. Mężczyźni nie musieli się szukać po toaletach. Ceny normalne, cola czy piwo za dwie marki. Dyrektor dużego hotelu, homoseksualista, przyprowadzał tu ludzi, był tłum. Szło dobrze, ale po dwóch i pół roku wszystko się skończyło. Były napady na Petite Fleur. Policja przychodziła i nic. Sprawcy nigdy nie zostali ukarani, jak za Adolfa. Nikt ich nie szukał. Służby interesowały się nami, a nie sprawcami. Obcokrajowiec tego nie może zrozumieć. Niemieccy policjanci zajmowali się wtedy prześwietlaniem środowiska homoseksualistów, nie obchodziło ich, że ktoś zniszczył lokal, ktoś wybił komuś zęby. Chcieli oglądać nasze dokumenty, wszystkich spisywali. To było dla nich ważne. Ci, którzy do nas przychodzili z kijami bejsbolowymi, byli starsi ode mnie, ja miałem trochę ponad dwadzieścia lat. To byli Niemcy, ale nie żadni skrajni prawicowcy, tak się zresztą wtedy nie mówiło. Normalni obywatele. Ludzie byli wtedy bardzo nietolerancyjni. Teraz widzę, że w Polsce coś się dzieje. I że to idzie od Kościoła, a ja jestem katolikiem.

Czy mama wiedziała, że jest homoseksualistą?

– Zawsze wiedziała, ale kiedyś twierdziła, że kłamię. Dla wielu najpierw byłem gównianym polaczkiem, potem pieprzonym gejem. Podejście się zmienia. Antyhomoseksualny paragraf sto siedemdziesiąty piąty niemieckiego kodeksu karnego, jeszcze z czasów kaisera, został ponad ćwierć wieku temu wycofany. Teraz Bundeswehra ma płacić gejom odszkodowania, ja też o nie wystąpię. Dawno nie ma już Petite Fleur, przerobiono go na mieszkania. Film dokumentalny, w którym wystąpiłem przed dwoma laty, był właśnie o naszym lokalu. Wystąpiłem nie dla poklasku, nie dla siebie. Dla dzisiejszych homoseksualistów, żeby mieli lepsze życie. Żeby ludzie nie myśleli, że to jakieś potwory.

11

Stanisław czy – jak go tu zwano – Stanislaus. Jan zwany Johannem. Te imiona polskich robotników przymusowych z Lauschied znałem już od lat. Nagle podczas ostatniej wizyty we wsi dowiaduję się o Konstantym. Konstantinie.

– Konstantin pracował u mojej rodziny – mówi obecny burmistrz Lauschied, Willi Marx.

W rozmowie uczestniczą też Gert Eid oraz sąsiad burmistrza. Czasami zagląda do nas, z kawą i ciasteczkami, żona burmistrza, Krystyna, elegancka blondynka, Polka pochodząca z Dolnego Śląska, która pracuje w sąsiedniej miejscowości Bad Sobernheim w ośrodku żydowskiej organizacji zajmującej się pomocą społeczną i integracją. Łączymy się telefonicznie ze znawcą miejscowej historii, mieszkającym obecnie nad Jeziorem Bodeńskim. Wszyscy wiedzą o moim reportażu sprzed dwóch dekad. Wszyscy coś słyszeli o zmarłych dzieciach. Wszyscy spotkali się ze zmową milczenia.

Przez dwadzieścia lat wieś Lauschied jeszcze bardziej się wyludniła. Miała sześciuset mieszkańców, teraz ma pięciuset dwudziestu. Piekarnię zamknięto w ubiegłym roku. Działa tylko jedna knajpa. Nie ma już tej z niemieckim jedzeniem, którą zapamiętałem; prowadzili ją Turcy, jedna z dwóch muzułmańskich rodzin we wsi. Mieszkańców cudzoziemskiego pochodzenia jest więcej, w tym dwie nowe polskie rodziny. Nikt natomiast tu nie dotarł w wyniku wielkiego exodusu imigrantów z 2015 roku.

Nadal jest to miejscowość katolicka, ale na msze do kościoła chodzi tylko czterdzieści–pięćdziesiąt osób, na pierwszym nabożeństwie po przerwie spowodowanej pandemią było ich jeszcze mniej. Przed świątynią znajduje się cmentarz, na którym od dawna nie ma już grobów niemowląt zmarłych zaraz po wojnie. Nikt się nimi nie interesował, zostały więc, zgodnie z przepisami, zlikwidowane po piętnastu latach.

– Ja oczywiście nie pamiętam Konstantina – mówi burmistrz Willi Marx. – Urodziłem się dziewięć lat po wojnie. Wiem o tamtych czasach stosunkowo mało. Dziadkowie zabraniali o tym rozmawiać z wnukami. „Zostawmy stare sprawy w spokoju”, mawiała babcia do dziadka Jaba,

czyli Jakoba. Ciotka opowiadała, że zaraz po wojnie Polacy chcieli tu dokonać linczu na gospodarzu, bo prześladował ich rodaka. Ale mówiła też nam, dzieciom, że Konstantin był dobrze traktowany. Słyszałem, że wbrew nakazom pozwalano mu siadać do stołu z naszą rodziną.

Gert Eid z uznaniem:

– To było ludzkie. Ale trzeba było uważać na donosicieli.

– Nie znam jego nazwiska – opowiada dalej Willi. – Był tu chyba do 1946 roku. Został nam wcześniej przydzielony, bo dziadkowie mieli tylko jednego syna, mojego przyszłego ojca, który poszedł na wojnę. Wrócił z rosyjskiego obozu dopiero w 1950 roku. W domu była jedyna córka dziadków, Hedwig. Chyba darzyła uczuciem Konstantina. Ale żeby miała z nim dziecko? Nie sądzę. Nie słyszałem o tym. Obiecał, że po powrocie do Polski będzie do niej pisać. Ale nie pisał. Hedwig nie mogła tego zrozumieć. Tłumaczyła sobie, że złapali go Rosjanie, siedział w więzieniu i nie mógł wysyłać listów.

– Pierwszy raz o tym słyszę, a jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat – komentuje Krystyna Marx. – Mąż nigdy mi nie wspominał, że jego rodzina miała swojego robotnika przymusowego, Polaka. Przecież to ważna informacja, o chwalebnych historiach szybko się dowiedziałam, o tym nie. Gdy idę z mężem do sklepu, to wszyscy się kłaniają. Gdy idę sama, udają, że mnie nie widzą, gdzieś tam się w innym kierunku patrzą. Coś wciąż siedzi w ludziach, głęboko.

12

Ojciec Gerta nigdy nie chciał mieć z nim kontaktu.

– Mama opowiadała, że wsadzała mnie do wózka i jechała na pole, gdzie pracował, by mnie pokazać. Liczyła, że zmięknie, bo Polacy przecież kochają dzieci. Nawet na mnie nie spojrzał.

Wtedy Stanisław Mazur już nieźle mówił po niemiecku. W czasie wojny rodzina, u której był przymusowo zatrudniony, go izolowała.

– Przychodził do naszego domu. Mój dziadek w czasie pierwszej wojny trafił do rosyjskiego obozu jenieckiego nad Donem i tam trochę nauczył się

rosyjskiego. I jakoś się z moim ojcem po rosyjsku dogadywali. Ojciec grał w domu dziadka na akordeonie, zauroczył moją mamę. Jako staruszka powiedziała mi, że dwa razy uprawiali seks. Urodziłem się 19 września 1946 roku.

Gert Eid opowiedział mi to dwie dekady po naszym pierwszym spotkaniu. Gdy się do mnie zgłosił, prawie nic nie wiedział o swoim ojcu. Stanislau Massur, tak za pierwszym razem zapisał jego imię i nazwisko. I rozpoczęliśmy poszukiwania.

W biurze meldunkowym rejonu Meisenheim, do którego należy Lauschied, dostałem do przejrzenia księgę rejestrową z lat 1943–1951. Gert płakał, gdy pokazałem mu wpis z numerem M/278. Stanisław Mazur, rolnik, urodzony 2 kwietnia 1921 roku w Zielonej. Potem sprawdziłem, że przed wojną w Polsce było trzydzieści dziewięć miejscowości o nazwie Zielona, większość na terenach, które zajęli później Sowieci. Do dzisiaj nie mam pewności, o którą chodzi, ale prawdopodobnie o wieś w pobliżu Lublina.

Rok po narodzinach syna Stanisław Mazur przeniósł się do kurortu Bad Kreuznach, w którym teraz w domu seniora mieszka sędziwa matka Gerta. Później znowu zameldował się w Lauschied, podając nowy zawód: rzeźnik. Stamtąd przeniósł się do obozu Diez w strefie francuskiej dla *displaced persons*, oczekujących tam na emigrację. I w końcu wyjechał. Ale nie do Polski. Nigdy nie dostał numeru PESEL. Gert podejrzewał, że udał się do Australii – takie wieści krążyły po wsi.

W księdze była jeszcze jedna informacja, która zaszokowała Gerta. W Diez Stanisław Mazur był z żoną, Evelyn Mazur, z domu Lesemer, Niemką urodzoną w Dortmundzie w 1927 roku.

– Ta Niemka była wdową po zestrzelonym pilocie, miała dwójkę dzieci. Miastowa pani. Chciała koniecznie wyjechać z Niemiec, zabierając ze sobą ojca, nazistę. Wiele rozmów na ten temat przeprowadziłem, nie wiem, co jest prawdą, a co nie. Podobno mieli do wywiezienia wiele cennych rzeczy, bo teść ojca brał udział w przejmowaniu żydowskiego majątku. Mój ojciec nie utrzymywał stosunków ze swoją rodziną w Polsce do końca życia, a miał ośmioro rodzeństwa. Nigdy do nich nie napisał. Myśleli, że na dobre przepadł w tej Rzeszy. Pewnie nie chciał się przyznać, że pomógł naziście.

O tym, że ojciec nie pisał, Gert Eid dowiedział się w 2008 roku od wujka Józefa, który był ostatnim żyjącym z ośmiorga braci i sióstr Stanisława Mazura. Znalazł jego adres dzięki Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Napisał list, który przetłumaczyła znajoma z Darmstadt.

Gert miał się spotkać z wujkiem Józefem w Polsce, z czym wiązał duże nadzieje. Ja miałem wystąpić w roli tłumacza. Nigdy do tego nie doszło, kontakt się urwał. Józef niczego się już nie dowiedział o swoim bracie Stanisławie i jego niemieckim synu, a Gert o polskiej rodzinie ojca.

13

Stanisław Mazur zmarł w Australii 14 kwietnia 2000 roku, zanim Gert Eid zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc w poszukiwaniach. Czterostronicowa wiadomość o śmierci ojca dotarła do niego kilka lat później od zajmującego się wyjaśnianiem losów ofiar wojny Biura Poszukiwań Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Była tam też informacja, że australijska rodzina zmarłego Stanisława Mazura nie życzy sobie żadnego kontaktu z jego synem.

– Byłem jego jedynym biologicznym dzieckiem – mówił Gert Eid podczas naszego ostatniego spotkania.

To raczej nie jest prawda. Sugerują to dokument i nekrolog, które znalazłem później, przeczesując internet. Pierwszy pochodzi z Archiwum Arolsen Międzynarodowego Centrum Badań Prześladowań Nazistowskich. To lista osób, które 20 września 1950 roku opuściły obóz Diez, by przesiedlić się do Australii. Są na niej Stanisław Mazur, robotnik rolny, z żoną Eveline, pielęgniarką (w księdze rejestrowej w Meisenheim była jeszcze Evelyn; co ciekawe, w dokumencie występuje jako posiadaczka polskiego obywatelstwa), oraz ośmiomiesięczną córką Octavią, która w rubryce „miejsce urodzenia” ma wpisane: Koblencja.

Na nekrolog trafiłem w internetowym archiwum dziennika „The West Australian”, wychodzącego w Perth. „Eveline Marianne Mazur odeszła w pokoju otoczona przez kochającą rodzinę w niedzielę 24 lipca 2011 roku, w wieku osiemdziesięciu czterech lat. Oddana żona (zmarłego) Stana”.

Wiek się zgadza, Evelyn jeszcze przed wyjazdem z Niemiec stała się Eveline, a Stanisław po przeprowadzce do Australii – Stanem. Angielskojęzyczny nekrolog zakończony jest niemieckimi słowami *Ich liebe Dich*, kocham Cię. Eveline Marianne Mazur żegnało pięcioro dzieci: znana już Octavia (w nekrologu: Oktavia) oraz Vera, Eva, Leonore i Chris. Nawet jeżeli dwoje z nich faktycznie miała z pilotem Luftwaffe, to pozostałe, w tym na pewno Octavię, ze Stanisławem Mazurem. To przyrodnie rodzeństwo Gerta Eida.

„Pocieszamy się, wiedząc, że znowu jesteś w ramionach Taty” – napisały dzieci Eveline Marianne Mazur.

Rzeźnia numer jeden

2020

Zwierzaki jak z komiksu, wszystkie radosne: brązowy byk z kółkiem w nozdrzach, biała krowa w czarne łaty i różowa świnka. Widnieją na reklamie na największej fabryce mięsa w Niemczech i w całej Unii Europejskiej. Kręcą się na dachu białego prostopadłościennego gmaszyska, na którym jest jeszcze tylko nazwa firmy: Tönnies. Kręcą się tam powoli, choć w rzeźni w Rhedzie-Wiedenbrücku tempo jest zupełnie inne. Szlachtuje się w niej do dwudziestu pięciu tysięcy zwierząt na dobę. Wbrew reklamie – wyłącznie świń. W wołowinie specjalizują się inne fabryki Tönniesa. Ale one raczej nie zapiszą się w historii.

To w Rhedzie-Wiedenbrücku, pięćdziesięciotysięcznym mieście w Nadrenii Północnej-Westfalii, połączyły się nagle wzbudzające największe emocje problemy. Te zupełnie nowe, które dominowały w połowie 2020 roku: pandemia, lockdown, kwarantanna, oraz te wcześniejsze: gastarbeiterzy, imigracja, ekologia, koszty wyścigu o obniżenie cen i zwiększenie zysków.

Przez kilka dni nie było w Niemczech ważniejszych tematów niż ognisko koronawirusa w rzeźni w Rhedzie-Wiedenbrücku i drugi niemiecki lockdown, wprowadzony w tutejszym powiecie Gütersloh i sąsiednim Warendorf.

Właściciel koncernu mięsnego, multimilioner i celebryta Clemens Tönnies, stał się wrogiem publicznym numer jeden. Gdy Niemcy się dowiedzieli, w jakich warunkach produkuje się ich kiełbasy i kotlety, cały przemysł mięsny przeżył wstrząs. Po tonie komentarzy i wpisów

internetowych można wręcz się było spodziewać, że lada moment w kraju pozostaną tylko wegetarianie i niewielka grupka tych, którzy nie mogą zrezygnować z mięsa, ale są skłonni zapłacić kilkakrotnie więcej, byleby nie mieć na sumieniu cierpienia zwierząt i zatrudnionych w rzeźniach gastarbeiterów.

1

Polka w wieku przedemerytalnym, była pracownica zakładu Tönniesa w Rhedzie-Wiedenbrücku:

– Pracowałam na drugiej zmianie, zaczynaliśmy o czternastej, wracałam do domu po trzeciej, nawet czwartej nad ranem. Dwie przerwy po dwadzieścia–dwadzieścia pięć minut, jedenaście godzin przy taśmie. Przez półtora roku nie dostałam w Tunisie żadnego dodatku za pracę w nocy, w święta, nigdy za cokolwiek. Słychać było, że biuro dostawało, pracownicy stojący przy taśmie – nie. Wszystko zabierali pośrednicy. Tu się nie choruje, bo się traci robotę. Robotnicy w Tunisie to niższa kategoria ludzi. Byłam na dziale produkcji i pakowania. Najpierw surowe mięso, potem formowanie: kotlety lub cordony. Kolega tnie, drugi rozkłada, ktoś kładzie ser, szynkę, ktoś obtacza panierką, ktoś pilnuje pieca. Potem mrożenie, pakowanie na palety i przygotowanie do wyjazdu. Non stop idzie taśma.

Polscy gastarbeiterzy zazwyczaj mówią, że pracują w Tunisie, jak w stolicy Tunezji. Nawet nie próbują wymówić umlautu w nazwisku Tönniesa, wykrzywić ust, wydobyć z siebie tego niepolskiego dźwięku. Odchodzą z rzeźni, zapisują się na dofinansowywane przez miasto kursy niemieckiego, a Tunis w ich języku zostaje.

– Już prawie dwa lata tam nie pracuję, ale moja współlokatorka nadal w tym tkwi, teraz ma zmianę w Tunisie – mówi moja rozmówczyni. Chodzi po malutkim mieszkaniu w dresie i bez makijażu. Córkę odchowała, do ojczyzny nie ma po co wracać; dokształca się, by znaleźć lepszą pracę w Rhedzie-Wiedenbrücku.

Współlokatorka informuje przez telefon, że nie chce ze mną rozmawiać. O warunkach pracy w wielkiej rzeźni wypowiadają się raczej ci, którzy już nie są tam zatrudnieni. Zdarzają się wyjątki, jak Polak w średnim wieku, który nadal pracuje u Tönniesa – nie na taśmie przy mięsie, lecz w dziale technicznym:

– Ze zdziwieniem słucham skarg. Nikt nikogo na siłę nie trzyma. Przecież mimo wyzysku oni tu i tak zarabiają dużo więcej niż w Polsce – mówi.

Rozmawiam też z Polką po trzydziestce, drobną blondynką w zaawansowanej ciąży. W salonie kręci się wiatrak, podwiewając jej sukienkę. Z drugiego pokoju słychać gaworzenie.

– To była moja pierwsza robota w Niemczech. Pracowałam przy rozbiorze szynki i na uboju wieprzowym. Gdy na uboju, to zaczynałam o czwartej rano, ale godzinę wcześniej musiałam być w Tunisie, naostrzyć noże, pobrać ubranie robocze. Na zmianie ze dwieście osób, jedna na drugiej, taki ścisk, Polacy i Rumuni. My przerabialiśmy tysiąc czterysta–tysiąc sześćset świń na godzinę, Rumuni mniej, bo nie zgadzali się na takie tempo, nasze kierownictwo tak, choć myślę, że Rumuni zarabiali więcej, pośrednicy im mniej zabierali. Niemcy w ogóle nie najęliby się do takiej roboty, choć dostaliby za to dwa razy tyle co my. Ściągnęła mnie tu polska firma ze Szczecina, a właściwie dwie firmy. Co kilka miesięcy zmieniały się umowy, raz z jedną firmą, raz z drugą. Po to, by nie objęły nas dodatki socjalne. I żebyśmy nie mogli sobie tutaj sami poradzić. Jak się ma ciągłość zatrudnienia, można się starać samemu o wynajęcie mieszkania, a potem myśleć o innej pracy. Uzależnialiśmy się od polskich pośredników, zabierali nam karty ubezpieczenia, dokumenty, wszystko poza dowodami osobistymi. Jak był wypadek w czasie pracy, to trzeba było zadzwonić po opiekuna, by przyjechał do Tunisu i zabrał do lekarza. Od razu nam powiedziano, że nie będzie żadnego chorobowego, niezależnie od tego, co się stało. A i lekarz nie był przypadkowy, lecz dogadany z polskim pośrednikiem, nawet po poważnym wypadku mówił, że za dwa dni już śladu nie będzie. Jeżeli ktoś znał trochę język, sam poszedł do lekarza i dostał zwolnienie, to po powrocie drżał przed majstrem, też Polakiem, że wyśle go na najgorsze stanowisko. Najgorsze to kościarz. Miałam wypadek

w pracy, przecięte ścięgna, potrzebowałam rehabilitacji, musiałam iść na zwolnienie, majster krzyczał, że oszukuję. To było poniżej godności. Odeszłam.

2

Przyjeżdżam do tego regionu kilka tygodni po tym, jak zasłynął na całe Niemcy. Zaczynam od wizyty w siedzibie największej lokalnej gazety – mającego długą tradycję dziennika „Die Glocke". Redakcja zajmuje duży oszklony budynek, którego w wielu krajach nie powstydziłby się dziennik ogólnokrajowy. Mieści się w trzydziestotysięcznym Oelde w powiecie Warendorf, tuż przy granicy z Gütersloh, tym bardziej znanym dzięki koronawirusowi.

– Wielu ludzi miało tu już lęki egzystencjalne, ale skończyło się lepiej, niż się spodziewałem; mogło przecież nie wystarczyć miejsc w szpitalach czy specjalistów – mówi Frank Möllers, człowiek numer dwa w redakcji.

Wydarzenia odtwarzam na podstawie artykułów z „Die Glocke", które dostałem od Möllersa.

17 czerwca 2020 roku w dzienniku pojawia się nagłówek: „Po nowych zakażeniach powiat pokazuje Tönniesowi żółtą kartkę". W ostatnim tygodniu testy na covid wypadły pozytywnie u stu dwudziestu ośmiu pracowników.

18 czerwca: „Przedszkola i szkoły zamknięte po wybuchu koronawirusa". Liczba zakażonych w rzeźni skoczyła nagle do sześciuset pięćdziesięciu siedmiu. „Powiat zatrzymuje szlachtowanie u Tönniesa". Co się stanie ze świniami? – pyta gazeta hodowcę. „Nie mamy gdzie ich odstawić, one wciąż rosną, wytrzymamy tak przez tydzień" – odpowiada.

19 czerwca: „Tönnies pod presją. Wybuch epidemii wywołuje wściekłość rodziców i dzieci". Dochodzi do demonstracji pod hasłem „Chcemy z powrotem do szkoły". Przypadków zakażenia jest siedemset trzydzieści. Bratanek Clemensa Tönniesa, Robert, domaga się jego dymisji.

20 czerwca: „Laschet [premier Nadrenii Północnej- -Westfalii] nie wyklucza lockdownu dla regionu". Pozytywne wyniki testu u ośmiuset

trzech pracowników.

22 czerwca: „Miasto nakłada kwarantannę na całe osiedle”. Chodzi o Verl, w którym mieszka wielu gastarbeiterów. Wokół ich domów pojawia się płot, ma siedemset pięćdziesiąt metrów długości. Zdjęcia obcokrajowców za drutami budzą niedobre skojarzenia. Powiat Gütersloh broni się jeszcze przed lockdownem. Zakażonych jest już tysiąc pięćset siedemdziesiąt pięć osób, z tego tylko szesnaście nie ma związków z zakładem mięsnym.

23 czerwca: „Przy tysiącu pięciuset zakażonych trzeba się liczyć z przypadkami śmiertelnymi”. To się nie potwierdziło. Nikt z pracowników rzeźni nie umarł na koronawirusa.

24 czerwca: „Lockdown dla powiatów Gütersloh i Warendorf”. Wprowadził go na tydzień rząd Nadrenii Północnej-Westfalii.

W następnych dniach gazeta opisuje, jak funkcjonują firmy ściągające do rzeźni obcokrajowców i obracające dziesiątkami milionów euro. Frank Möllers przyznaje, że przed masowym zakażeniem nawet miejscowi dziennikarze niewiele wiedzieli o losie zagranicznych pracowników w zakładach Tönniesa.

– Kontaktów było bardzo mało. Prawie w ogóle. Oni żyli w swojej społeczności – podkreśla.

Na tę społeczność miejscowi Niemcy zaczęli się skarżyć, gdy z powodu powiatowego lockdownu nie mogli wyjechać na urlop do atrakcyjnych turystycznie landów, a niektórym kazano nawet przerwać już rozpoczęty pobyt w kurortach. Krążyły plotki, że samochodów z literkami GT na tablicach rejestracyjnych, oznaczającymi powiat Gütersloh, nie wpuszcza się na promy na Morzu Północnym, a w innym regionach wyzywa się i obraża kierowców i pasażerów.

Niemcy z dwóch powiatów, w których mieszka łącznie sześćset czterdzieści pięć tysięcy ludzi, poczuli się stygmatyzowani. Słowo „stygmatyzacja” stało się na chwilę bardzo popularne. Złośliwy obcokrajowiec komentował: „No, wreszcie Niemcy poznali, co to znaczy. Przed chwilą sami stygmatyzowali gastarbeiterów, mówiąc, że to oni

przywlekli wirusa z rzeźni w sąsiednim landzie, Dolnej Saksonii, albo od siebie, z Rumunii czy Polski”.

– Zdarzały się przypadki niechęci wobec Rumunów czy Polaków, ale wściekłość wymierzona była przede wszystkim w fabrykę Tönniesa, która nigdy nie miała zresztą łatwo: wciąż odbywały się przed nią protesty wegetarian, obrońców zwierząt. To największa rzeźnia Europy, kojarząca się z nie najlepszą jakością, taką z dyskontu – mówi Frank Möllers. On sam nie jest wege. – Wolę jeść mniej mięsa, ale wyższej jakości, od rzeźnika, nie z fabryki. Chcę wiedzieć, co mam na talerzu.

3

Niemcy nie mogą już udawać, że nie wiedzą, jak mieszkają gastarbeiterzy.

– Były przypadki, że kołdra na łóżku nigdy nie była zimna, bo jak jeden wstawał do pracy, to drugi się już kładł. To nie są warunki, które pasują do dwudziestego pierwszego wieku w centrum Europy – mówi Thorsten Klute, czterdziestosześciolatek o młodzieńczej energii, szef socjaldemokratycznej partii SPD w powiecie Gütersloh. Jego ugrupowanie jest tu w opozycji. Klute rozmawia ze mną po polsku. Świetnie włada naszym językiem, ma żonę Polkę. Jest pełnomocnikiem rządu Nadrenii Północnej-Westfalii do spraw Polonii.

Polka, ta w zaawansowanej ciąży:

– Nawet po sześciu w jednym pomieszczeniu, jedna kuchnia na pięć, sześć pokoi. Tam, gdzie mieszkał na początku mój mąż, powstawiano łóżka piętrowe, jak w koszarach czy więzieniu. Nic nie remontowano, tłumacząc, że Polacy i tak o nic nie dbają, bo to pijacy, nie ma co w nich inwestować.

Polak w wieku średnim, od lat w Rhedzie-Wiedenbrücku, nigdy nie pracował w rzeźni:

– Nikt nie panował nad tym, kto w tych pokojach mieszka. Gdy przyplątał się koronawirus, niektóre firmy pośredniczące nie chciały dać namiarów na pracowników, powoływały się na ochronę danych osobowych. Inne podawały błędne informacje. Władze miasta i okolicznych miasteczek przez tydzień sprawdzały, gdzie i ile osób mieszka. Okazywało się, że

zamiast Kowalskiego był Nowak z żoną, a Ostrowskiego, który figurował na liście, nikt nie pamięta. Dla Niemców to był szok.

– Pracowników, którzy przybywają z innych krajów, musimy traktować jak mieszkańców naszych miast, a nie jak takich, co niedługo wyjadą do siebie – podkreśla Thorsten Klute. – To jak w bon mocie pisarza Maxa Frischa z lat sześćdziesiątych: „Wezwaliśmy gastarbeiterów, a przyszli ludzie”. Wtedy się myślało, że przyjadą ręce do pracy i po paru miesiącach wrócą do domu, nie warto się nimi zajmować. Mieliśmy tu, w Nadrenii Północnej-Westfalii, specjalne klasy dla włoskich dzieci, które towarzyszyły rodzicom gastarbeiterom. Uczyły się matematyki po włosku. Owszem, wielu Włochów wróciło, ale niektórzy zostali. Teraz jest tak samo z Polakami, Rumunami, Bułgarami. Niektórzy zostają, rodzą się dzieci, dlatego trzeba się zajmować ich integracją.

4

Polka w wieku przedemerytalnym:

– Kwarantanna była od piątku, ale już dzień wcześniej koleżanka zadzwoniła: „Biegają po zakładzie, denerwują się, coś się wydarzy, niektórych już w fabryce nie ma, w kantynie pustki”. Zrobiłyśmy szybko zakupy, mamy dwie lodówki, to, co się dało, zamroziłyśmy. Jakoś przeżyłyśmy, choć nikt z Tunisu do nas nie dzwonił, raz dostałyśmy paczkę z jedzeniem od miasta.

Polaków pracuje w rzeźni dwa tysiące, nie wiadomo dokładnie, ilu z nich się zakaziło. Gdyby wirus równo trafiał w przedstawicieli wszystkich zatrudnionych tam narodowości, to zakażonych byłoby około czterystu – średnio zachorował bowiem co piąty pracownik. W sumie jest ich siedem tysięcy, najwięcej Rumunów – trzy tysiące. Bułgarów pracuje pięciuset.

Polski konsul generalny Jakub Wawrzyniak kilkakrotnie przyjeżdżał w czasie lockdownu z Kolonii do Rhedy-Wiedenbrücku:

– Wiem o pięciu Polakach, którzy trafili do miejscowego szpitala, miałem okazję z nimi rozmawiać przez telefon. Jeden był na oddziale intensywnej terapii, ale szybko zweryfikowano, że jego stan nie ma

bezpośredniego związku z koronawirusem, a był jedynie przykrym wynikiem nieodpowiedzialnego zachowania tego Polaka podczas obowiązkowej kwarantanny.

Konsul towarzyszył zespołom mobilnym, które odwiedzały pracowników rzeźni na kwarantannie. Po mieście i okolicach krążyło czterdzieści takich zespołów – w ich skład wchodzili tłumacze, pracownicy Niemieckiego Czerwonego Krzyża i Ordnungsamtu, odpowiednika straży miejskiej.

Polka w wieku przedemerytalnym:

– Byłam uziemiona w tym mieszkanku przez cztery tygodnie. Jak przyjechał zespół mobilny zrobić test, kazali mi zejść na dół. Stałam obok swojej skrzynki na listy i spytałam kobietę w kombinezonie, czy mogę wyjąć pocztę albo czy ona może to zrobić. „Niech pani poprosi sąsiada”, odpowiedziała. Jak mam poprosić? Jedyny sąsiad, który nie przebywa na kwarantannie, jest arabskojęzyczny. Jak mu wytłumaczę, żeby mi przyniósł listy? Niemieckiego dopiero się uczę, ale on i tak nie zna.

5

Tatort Tönnies – taki tytuł pojawił się pod koniec czerwca na okładce największego opiniotwórczego tygodnika Niemiec „Der Spiegel”. Do tego ilustracja: kontur świni, ślady krwi, zabrudzony tasak. *Tatort* to po niemiecku „miejsce zbrodni”, a poza tym tytuł najsłynniejszego w tym kraju serialu kryminalnego. Tygodnik postawił pytanie: „Jak brutalny biznes produkujący tanie mięso stał się zagrożeniem dla ludzi?”. Podobne pojawiały się w innych mediach. Towarzyszyły im informacje o decyzjach wielkich sieci supermarketów i dyskontów: jedne miały zapewniać, że nie ma u nich w sprzedaży kotletów z zakładu w Rhedzie-Wiedenbrücku, inne, że w ogóle zrezygnowały z produktów Tönniesa.

Clemens Tönnies przerwał milczenie w połowie lipca, udzielając wywiadu lokalnemu dziennikowi „Die Glocke”. Jak to jest być wrogiem publicznym numer jeden? „Cierpię emocjonalnie, cierpię wraz z ludźmi, którzy musieli przejść przez lockdown” – wyznał.

Powiedział też o listach, w których grożono śmiercią jemu i jego rodzinie. Zapewnił, że zawsze trzymał się przepisów, kocha powiat Gütersloh, to jego *Heimat*, i że nie porzuci stanowiska w firmie, bo miejsce kapitana jest na mostku, a nie w kajucie.

„Naturalnie, tamte tygodnie wpłynęły negatywnie na nasz wizerunek” – przyznaje rzecznik koncernu André Vielstädte. Nie ma czasu na spotkanie, kontaktujemy się mejlowo. Pierwsze pytania wysyłam, stojąc pod największą rzeźnią Europy.

Przed nią na parkingu, wyglądającym jak klepisko, z brudnymi od wapna kałużami, czekają dziesiątki tirów z rejestracjami z całego kontynentu. Oraz autobus pełen przysypiających Rumunów.

„Trzeba powiedzieć, że z dzisiejszego punktu widzenia wiele zarzutów okazało się fałszywych. Nieprawdą jest także, że ktokolwiek zrezygnował ze sprzedaży naszych produktów. Oczywiście, nie było dostaw z tego zakładu, gdy produkcja była wstrzymana, ale gdy ją już wznowiono, wróciliśmy do współpracy ze wszystkimi klientami. Pełną parą ruszył też eksport” – zapewnia rzecznik i dodaje, że w sierpniu szlachtowano szesnaście tysięcy świń dziennie, o kilka tysięcy mniej niż przed lockdownem.

6

Historia koncernu zaczęła się pół wieku temu. Rzeźnik Klemens Tönnies, ojciec obecnego króla kotletów o takim samym, lecz inaczej pisanym imieniu, w starej części miasteczka Rheda, wówczas jeszcze niepołączonego z Wiedenbrückiem, szlachtował od siedmiu do dziesięciu świń tygodniowo.

Gdzie była ta mała rzeźnia? – pytam w punkcie informacji turystycznej naprzeciwko ratusza. Wchodzę w maseczce po odczekaniu w kolejce przed drzwiami, bo do środka wpuszczają pojedynczo. Nikt nie wie. Pracownica wydzwania do koleżanek, ale bez skutku. Miejsce narodzin największych zakładów mięsnych Europy najwyraźniej nie jest atrakcją turystyczną.

Ze strony internetowej Tönniesa dowiaduję się, że starszy syn Klemensa, Bernd, w 1971 roku uruchomił przedsiębiorstwo hurtowej sprzedaży mięsa zatrudniające dwadzieścia osób. Z kilku świń tygodniowo zrobiło się osiem milionów rocznie na początku tego wieku. Koncern zatrudnia szesnaście i pół tysiąca ludzi, z tego siedem tysięcy w Rhedzie-Wiedenbrücku. Roczne obroty wynoszą 6,65 miliarda euro. Ponad połowa produkcji idzie na eksport.

Majątek urodzonego w 1956 roku Clemensa Tönniesa, który po przedwczesnej śmierci brata Bernda stanął na czele rodzinnego biznesu, przed czterema laty szacowano na ponad miliard euro, tak w każdym razie pisał „Der Spiegel". Amerykański „Forbes", który umieścił biznesmena wraz z rodziną na 1196. miejscu listy najbogatszych na świecie, podsumował go na równowartość 1,98 miliarda euro.

Clemens Tönnies nie porzucił rodzinnych stron; mieszka za lasem, w którym Polacy zbierają grzyby. Jest zaangażowany w życie miejscowej społeczności, finansuje różne projekty.

– Podziwiam go. Przecież to prosty człowiek, kształcił się na rzeźnika, poznał silną rękę ojca, obracał się wśród chuliganów. Wielu pomógł, jak już mógł. – Podobne opinie słyszę od kilku osób.

– Jako szef otaczał się zawsze ludźmi, którzy umieli i chcieli pracować, mieli pomysły. Sam stawał przy taśmie, gdy robotnicy się skarżyli, że tempo jest zbyt duże. „Co? Nie da się tego zrobić?", pytał, po czym zdejmował marynarkę, chwytał piłę, przez godzinę czy dwie ciął świnie wiszące na hakach. „Da się", mówił, gdy skończył – opowiada weterynarz.

Clemens Tönnies obok budynku zarządu koncernu postawił stadion o nazwie Tönnies Arena z miejscami dla czterech tysięcy widzów. Gra na nim regularnie kilkanaście drużyn zakładowych, a czasem także kluby z lig okręgowej, regionalnej, a nawet drugiej Bundesligi. To tyle, jeśli chodzi o futbol w wydaniu męskim. W żeńskim Tönnies Arena ma jeszcze większe znaczenie – na jego murawie gości przeciwniczki pierwszoligowy klub FSV Gütersloh.

7

Tönnies jest celebrytą przede wszystkim dzięki swoim związkom z futbolem. Przez prawie dwie dekady stał na czele rady nadzorczej klubu piłkarskiego Schalke 04 z Gelsenkirchen, do którego z głównej siedziby koncernu mięsnego jest sto kilometrów. To jedna z najważniejszych drużyn w Niemczech, dla robotniczych (dawniej też górniczych) środowisk w regionie będąca obiektem kultu. W latach międzywojennych zwano ją *Polackenverein*, klubem polaczków, bo grali w niej potomkowie imigrantów z Mazur, czasem też ze Śląska i Wielkopolski. Największymi gwiazdami tamtego Schalke 04 byli Ernst Kuzorra, którego matka nie znała słowa po niemiecku, a ojciec ledwie potrafił sklecić zdanie w tym języku, oraz Fritz Szepan, syn chłopów spod Nidzicy. W pierwszym składzie razem z nimi na boisko wybiegali zawodnicy o nazwiskach Badoreck, Burdenski, Jaszek, Kalwitzki, Tibulski, Zajonz. „Mistrzostwo Niemiec w rękach Polaków!" – pisał z dumą w czerwcu 1934 roku „Przegląd Sportowy", gdy Schalke 04 sięgnął po najważniejszy tytuł futbolowy w Trzeciej Rzeszy. Sprawa była jednak bardziej skomplikowana: imigranci z Mazur, zwłaszcza w pierwszym pokoleniu, nie byli traktowani przez rodowitych Niemców jak Niemcy, ale też rzadko identyfikowali się z polskością.

W czasach Tönniesa piłkarze Schalke 04, dawnego klubu polaczków, zaczęli biegać w koszulkach reklamujących głównego sponsora: Gazprom, wielki koncern kontrolowany przez Kreml, a strona internetowa klubu dorobiła się, oprócz niemieckiej i angielskiej, również rosyjskojęzycznej wersji.

Król kotletów szczycił się swoimi kontaktami z Władimirem Putinem. Niemieckie media pisały o ich „męskiej przyjaźni". Na spotkania z prezydentem Rosji Tönnies przynosił osobiście przygotowaną w domu golonkę. „Pan Putin lubi peklowaną. Gdzie golonka? – to pierwsze, o co zawsze pyta" – wyznał niegdyś w wywiadzie dla dziennika „Der Tagesspiegel".

Niecały rok przed wybuchem pandemii wielka przygoda z Schalke 04 po raz pierwszy stanęła pod znakiem zapytania. Tönnies, w którego drużynie grali też czarni piłkarze, zasugerował, że jeżeli Niemcy wybudują w Afryce

elektrownie, to Afrykanie przestaną wycinać drzewa i płodzić po ciemku dzieci. Tak odpowiedział na plany podniesienia podatków na cele klimatyczne. Oburzenie było na tyle duże, że multimilioner i celebryta wydał oświadczenie skierowane do kibiców, członków i szefów Schalke 04: „W 1000 procentach popieram nasze klubowe wartości. Są wśród nich walka z rasizmem, dyskryminacją i wykluczeniem”.

Do bolesnego rozstania z Schalke 04 doprowadził koronawirus. 30 czerwca Clemens Tönnies poinformował klub, że rezygnuje z szefowania radzie nadzorczej. „Rozumiemy, jak trudna to była dla niego decyzja, dlatego zasługuje na wielki szacunek” – skomentował zarząd.

Prawie nikt nie zauważył, że na osłodę pozwolono mu pozostać w Schalke w zarządzie klubu przyjaciół golfa.

8

– Gdybym był kolegą Putina, tobym się tym nie chwalił – mówi Thorsten Klute, szef SPD w powiecie Gütersloh. O innym koledze Putina, byłym kanclerzu i wciąż najsłynniejszym polityku SPD Gerhardzie Schröderze, nie rozmawiamy.

W siedzibie partii, gdzie się spotkaliśmy, pełną parą idą przygotowania do wyborów samorządowych.

– Gütersloh to powiat raczej konserwatywny, trochę jak Podkarpacie, tu zawsze rządziła CDU – podkreśla Klute.

– Czy Tönnies też jest związany z CDU?

– Ideowo jest bliski. Ostatnio media opublikowały listę jego dotacji na tę partię z kilkunastu lat, w sumie około stu pięćdziesięciu tysięcy euro. Śmiesznym symbolem powiązań CDU z koncernem mięsnym jest *Gurkenpolitik*, polityka ogórkowa. Człowiekiem numer jeden CDU w powiecie jest starosta Sven-Georg Adenauer, pół-Szwed. Ma ładne hobby: szwedzką kuchnię, przepisy przejął od mamy. Zrobił szwedzką sałatkę ogórkową, edycję limitowaną. Tak się złożyło, że jedyne trzy miejsca, w których można ją było kupić w słoiku z jego zdjęciem

i podpisem na etykiecie, to były sklepy firmy Tönnies – śmieje się Klute i krytykuje Adenauera, że za późno zareagował na zagrożenie pandemiczne.

SPD nie wykorzystała jednak w kampanii wyborczej fali wściekłości mieszkańców, którą ledwie kilka tygodni wcześniej wywołał tu dodatkowy lockdown.

– Na plakatach się do tego nie odnosimy, chcemy pozytywnej kampanii, a nie agresywnej. To raczej pasuje do partii radykalnych, z lewej czy z prawej strony. Nie chcemy też używać haseł typu „Koniec z Tönniesem".

Ukarania CDU przez wyborców nie obawiał się polityk tej partii Theo Mettenborg, od 2009 roku burmistrz Rhedy-Wiedenbrücku. Obawiał się natomiast tego, co ja napiszę. Miałem z nim całkiem długie spotkanie, ale nie pozwolił nagrać rozmowy ani dokładnie go cytować, bo ma złe doświadczenia z mediami. Mogę przedstawić ogólne wrażenia: Mettenborg był pewny zwycięstwa. I miał rację, wygrał w pierwszej turze, podobnie jak jego partyjny kolega starosta Adenauer.

Burmistrz unika krytyki wpływowych i możnych, o Tönniesie najchętniej by w ogóle nie mówił. Pochodzi z pogranicza Rhedy i Wiedenbrücku, które połączyły się w jedno w 1970, rok przed jego urodzeniem. Jego rodzice mieli gospodarstwo rolne, ale tam szlachtowano na użytek własny ledwie jedną świnię na rok, i to było wielkie wydarzenie.

Clemens Tönnies zachował jeszcze jedno stanowisko – niektórzy twierdzą, że z jego utratą nie mógłby się pogodzić. Stoi na czele Schützenverein zu Rheda, stowarzyszenia strzeleckiego. Takie organizacje są popularne w tym regionie Niemiec; tutejsze istnieje od 1833 roku. Nie chodzi tylko o strzelanie, choć strzelnica wygląda imponująco. To także klub miejscowych elit, w którym istnieje hierarchia, ważne są symbole i tradycja. Wybiera się króla kurkowego, nosi fraki, cylindry, szarfy, medale, organizuje turnieje strzeleckie, bale i festyny.

Oglądam na stronie internetowej stowarzyszenia zdjęcia z poprzednich lat. W tym roku – jak zarząd informuje „Drogie Strzeleckie Siostry, Drogich Strzeleckich Braci, Drogich Gości" – z powodu koronawirusa wszystko odwołano.

Tönnies był i jest pierwszym przewodniczącym Schützenverein zu Rheda, przysługuje mu tytuł generała. I tylko jemu.

9

Weterynarz powiatowy, przez ćwierć wieku pracował w rzeźni Tönniesa:

– Tysiąc sześćset świń na godzinę? Nie, to przesada, Polka, z którą pan rozmawiał, koloryzuje. Maksymalnie bywało tysiąc dwieście–tysiąc trzysta, więcej się nie dało. Jedna grupa wyładowuje i nagania zwierzęta do kojców po sto dziesięć–sto dwadzieścia sztuk, następna zajmuje się naganianiem do narkozy, czyli do tak zwanej eutanazji. Następnie wykrwawianie i do kotła oparzelnika. A potem rozbieranie, to robota rzeźników, też wyspecjalizowanych. Jeden rozcina brzuchy, drugi wybiera wnętrzności. Tchawica i język trafiają na tace, a płuca na haki. Specjalista ze służby kontroli sprawdza stan tych narządów, czy to się nadaje do spożycia, a przy nim stoi weterynarz, który może coś odesłać do badania szczegółowego. W wielkich rzeźniach nie można ryzykować; jeżeli cokolwiek wzbudzi podejrzenie, wyrzuca się całość. W mniejszych czasem się coś wytnie, a resztę zostawi. Ci, co kupują u Tönniesa, dokładnie wszystkiego pilnują, to wielkie sieci niemieckich supermarketów i dyskontów, do tego Chińczycy czy Amerykanie.

Narkoza, tak zwana eutanazja. Krążymy wokół tego niezręcznego tematu.

– Jak są zabijane świnie w rzeźni? – pytam.

– Widział pan kiedyś windę zwaną paternoster? – odpowiada pytaniem weterynarz.

Później sprawdzam, że po polsku to dźwig okrężny, choć nazwę „paternoster” też się stosuje. Otwarte kabiny czy klatki połączone w łańcuch, jak paciorki w różańcu, przesuwają się bez przerwy i powoli, w dół, potem w górę, robią okrążenie. Ten cykl kojarzył się z odliczaniem dziesięciu paciorków i jednoczesnym odmawianiem *Zdrowaś Mario*, po których następowało jedno *Ojcze Nasz*, czyli *Pater Noster*. Paternostry

przewożą urzędników i klientów w urzędach, górników w kopalniach. I świnie na śmierć w rzeźni.

– Do klatki paternostra wpycha się sześć–siedem świń – wyjaśnia weterynarz. – Tam, gdzie zjeżdżają, jest dwutlenek węgla. Eutanazja trwa do piętnastu sekund, moim zdaniem długo, ale świnia oddycha w taki sposób, że szybciej się nie da. Przez te ćwierć minuty zwierzęta próbują wyskoczyć z klatki, łamią sobie nogi. Są po tym czasie ogłuszone, ale serce jeszcze bije. Martwe są, gdy nastąpi skrwawienie.

Żona weterynarza:

– Długie lata nic o tym nie wiedziałam. Mąż opowiadał w domu, ale nie dopuszczałam tego do siebie. Choć jak dzwonił, to czasem słyszałam przez telefon przeraźliwe odgłosy zwierząt. Pewnego razu, gdy Tönnies organizował otwartą niedzielę, stwierdziłam: „Pójdziemy z dziećmi zobaczyć, co ten ojciec tam robi". W niedzielę maszyny stoją, wypucowane, ale wiało grozą, unosił się odór. Wróciłam chora. Potem mąż mi mówił, że modli się za te świnie.

– Kwik straszny, wilgoć, zimno zimą, ciepło latem, ale w przeciwieństwie do starych, małych rzeźni nikt nie ma zakrwawionych rąk – mówi weterynarz. – Dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza; ci, co pracują na dole, dokąd spływa gaz, po dwóch, trzech godzinach są już otumanieni. I spokojni.

Świnia czuje, jak pies. Jest inteligentna. W normalnych warunkach podchodzi, patrzy, podstawia się do drapania. Ale w rzeźni nikt nie zdąży jej pogłaskać. Jeśli nie chce iść, jest zestresowana, do akcji wkracza naganiacz. Od małego była przyzwyczajona do ograniczonej przestrzeni, widziała tylko klatki, rusztowania – pierwszy raz ujrzała światło słoneczne w drodze na śmierć.

W regionie są też staroświeckie gospodarstwa, w których świnie wychodzą na pastwisko, przez parę tygodni widzą słońce. Tuż przy drodze niedaleko wielkiej rzeźni jest ferma kur, które prawie całe życie spędzają pod gołym niebem, biegają po dużym terenie, dziobią, co chcą i gdzie chcą. Mięso z takich gospodarstw i jajka z takich ferm kosztują dwa–trzy razy więcej niż te z wielkich zakładów. Można je kupić na targu odbywającym

się dwa razy w tygodniu pod ratuszem w Rhedzie-Wiedenbrücku. Nie ma na nim tłoku.

Weterynarz:

– Trzy tygodnie przestoju z powodu koronawirusa to rozpacz i katastrofa dla rzeźni. Świnie nabierały wagi, co najmniej pół kilo dziennie, przechodziły do gorszej klasy, taniały w oczach. Teraz jest moda na zwierzęta od dziewięćdziesięciu pięciu do stu pięciu kilogramów, żeby nie było zbyt dużo tłuszczu. Sto dwadzieścia kilogramów to już tylko na rynek rosyjski, tam takie lubią. Przed laty było inaczej, mody się zmieniają. Raz ściągnięto gigantyczne knury z Hiszpanii, jakimś handlarzom musiało się to opłacać. Niektóre ważyły trzysta pięćdziesiąt kilogramów, kolosy, tam nie do ubicia, nie ma taśmy, na której by się zmieściły. Nie wiem, jaki był z nich użytek, trudno to pokroić, twarda skóra. Mięso z dużego knura, nie mówię już o takich hiszpańskich gigantach, śmierdzi, czuć mocznik, to mocny samczy zapach.

10

W czasie rozmowy w domu weterynarza na stole pojawia się salami. Następnego dnia rano w hotelu w Rhedzie-Wiedenbrücku idę na śniadanie. Jest szwedzki stół, raczej niezalecany w czasie pandemii, bo wszyscy dotykają wszystkiego. W bemarach skwierczący bekon i parówki z wody. Na półmiskach kilka rodzajów szynki, metka, wątrobianka i salceson.

11

Kościół Świętego Klemensa, neoromański, z dwiema spiczasto zakończonymi wieżami, stoi w strategicznym miejscu Rhedy: z jednej strony dworzec kolejowy, z drugiej starówka, z trzeciej zamek i park zamkowy. To najważniejszy adres dla katolików. W środę wieczorem i w ostatnią niedzielę miesiąca o czternastej odbywają się tutaj msze po polsku.

Ksiądz Antoni Klemens, Ślązak wyświęcony w Opolu, od jedenastu lat jest tu proboszczem. Mówi o sobie Klemens od Klemensa (świętego) przy Clemensie (Tönniesie):

– Zbyt dużo pracowników od Tönniesa do mnie nie przychodzi. Bo to specyficzna grupa. Przyjeżdżają ciężko harować, zarobić i znikają. Boga, Kościoła nie potrzebują. Ja z tych pracowników znam dobrze z dziesięć osób. Moja klientela to ci, którzy odeszli z Tönniesa i znaleźli inną pracę, mają stałe zatrudnienie, dobry zarobek, chcą zostać, dzieci chrzcić, ślub wziąć. Wdzięczna klientela, wdzięczni wierni. Pytają o przedszkole dla dzieci, potem o szkołę, starają się uczyć języka. Pracują w innych rzeźniach, w zakładach sprzętu AGD koncernu Miele, który się wywodzi z tego regionu, w służbach miejskich. Albo w firmach budowlanych, w nich Polacy są chętnie widziani jako dobrzy fachowcy. Mam takich wiernych od czterech do pięciu tysięcy, z tego powiatu i sąsiedniego.

Ksiądz Klemens nasłuchał się opowieści o wycwanionych Polakach, którzy za drobną poradę biorą pieniądze od rodaków nieznających języka.

– Za wydrukowanie krótkiej informacji o koronawirusie zdzierali dziesięć euro. Przetłumaczą stronę formatu A4 z niemieckiego na polski i życzą sobie siedemdziesiąt euro. Niektórzy są od takich uzależnieni, miasto oferuje pomoc, ale ona nie zawsze trafia, gdzie trzeba. Część Polaków po raz pierwszy jest za granicą, nie znali większego miasta w Polsce. Młodzi dają radę, przetłumaczą sobie przez Google Translator. Ale starsi, nawet czterdziestolatkowie, zwłaszcza kobiety, mają kłopoty. Przychodzą do kościoła i płaczą. Bo adres się nie zgadza albo telefon był nie taki, przyjechali na ślepo.

Na rodaków skarży się też ciężarna Polka, była pracownica rzeźni:

– Polak Polakowi wilkiem. Nikt ci nie pomoże za darmo. No, jedynie ci, którzy tu mieszkają od dwudziestu–trzydziestu lat, bywają bezinteresowni. Teraz sobie już trochę radzę z niemieckim, ale wcześniej dziewczyna, która szła ze mną do lekarza, brała dwadzieścia euro. Wizyta trwała pięć minut. Za pomoc językową dla szwagra w firmie, w której się starał o pracę, policzyła sobie sto pięćdziesiąt euro.

– Część pośredników wykorzystuje ludzi, jak się tylko da – mówi ksiądz Klemens. – Polacy Polaków, Rumuni Rumunów. Ale te firmy

pośredniczące przez lata były chwalone, zwiększały zysk, obniżały koszty, mówiono, że pchają gospodarkę do przodu. Nikogo nie interesowało, za jaką cenę. Nagle w listach do redakcji czytelnicy zaczęli pisać: „*Mea culpa*, kupowałem tanie mięso, cementowałem system”.

Rozmawiamy w altanie ogrodowej przed plebanią. Widać z niej budynek, w którym do niedawna było przedszkole: chodziło tam pięćdziesięcioro dzieci dwudziestu sześciu narodowości.

12

Początek nowego roku szkolnego w Nadrenii Północnej-Westfalii wypada w drugim tygodniu sierpnia. To pierwszy ludny land, w którym dzieci idą do szkoły w czasie walki z koronawirusem. Cały kraj jest zainteresowany, w telewizjach śniadaniowych pełno ekspertów i rodziców rozprawiających o zasadach bezpieczeństwa epidemiologicznego. Wcześniej ruszyła nauka w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, słabo zaludnionym landzie na północnym wschodzie, gdzie covidu prawie nie było. Za to pojawił się edukacyjny chaos. Pierwszego dnia nie było maseczek, drugiego – nagła zmiana i maseczki stały się obowiązkowe, ale nie dla wszystkich: dla uczniów od piątej klasy oraz dla nauczycieli i personelu i nie w czasie zajęć. Następnego dnia dwie szkoły trzeba było zamknąć, bo ktoś przywlókł zarazę, czyli stało się to, czym straszyli przeciwnicy przywracania nauki w klasycznym stylu przed zakończeniem pandemii.

Nadrenia Północna-Westfalia, land o największej liczbie mieszkańców, wprowadziła inne zasady. Wszystkie dzieci wchodzą do szkoły w maseczkach, poruszają się w nich w budynku. Nakaz zasłaniania w czasie lekcji nosa i ust nie obowiązuje najniższych klas, od pierwszej do czwartej.

Idę zobaczyć, jak wygląda pierwszy dzień nauki w szkole podstawowej Wenneber w starej części Rhedy, parę przecznic od ratusza. Nie wiem jeszcze, że czeka mnie jedno z najdziwniejszych doświadczeń w Niemczech, niemające nic wspólnego z covidem.

Przed wejściem kłębią się rodzice, głównie kobiety, część w muzułmańskich chustach, kilku ojców. Przygotowuję aparat i smartfon, czekam za płotem, aż zadźwięczy dzwonek i wybiegną dzieci w maseczkach.

Pojawiają się, zaczynam robić zdjęcia, szerokie plany z gromadą uczniów, fragmentem boiska i napisem z nazwą szkoły na murze. Nie trwa to długo. Przerywają mi matki i jeden ojciec.

Wszyscy, jak się mówi w Niemczech, z tłem migracyjnym, przeciętnie lub kiepsko posługujący się niemieckim, większość z nich ma korzenie chyba w krajach szeroko pojętego Bliskiego Wschodu. Otaczają mnie, gniewni, krzyczą, że nie wolno robić zdjęć. Zachowują się, jakby byli przekonani, że złapali pedofila. Nie protestuję, gdy pada postulat, by mnie przesłuchała dyrektorka szkoły. W gabinecie, pod jej okiem, usuwam wszystkie świeże kadry z aparatu i smartfona. Daję do skopiowania swoje dokumenty, w tym legitymację prasową.

Przepraszam i tłumaczę dyrektorce: nie przypuszczałem, że zrobienie zdjęcia wielu osób przebywających w przestrzeni publicznej, w tym wypadku dzieci przed szkołą, na dodatek zazwyczaj w maseczkach na twarzy, jest zakazane.

Żegnam się z dyrektorką, wychodzę ze szkoły. Sprawa wydaje się zakończona, ale tłum rodziców znowu mnie otacza. Ciasnym pierścieniem. Coraz ciaśniejszym.

– Ja bym za to obciął panu głowę! – rzuca mi prosto w twarz mężczyzna. To ojciec uczennic. Zyskuje aplauz matek.

– To grożenie śmiercią, poważna sprawa – odpowiadam.

Matki się śmieją.

– A kto to potwierdzi? My nic nie słyszałyśmy – podkreśla najbardziej elokwentna.

Tkwię w pierścieniu pokrzykujących na mnie nie tylko po niemiecku rodziców, coraz bardziej agresywnych. Pada w końcu pomysł, który przyjmuję z nadzieją:

– Dzwonimy po policję.

Funkcjonariusze pojawiają się po paru minutach, w samochodzie policyjnym z rejestracją NRW 4-6273. Młodzi, dwóch typowych Niemców, trzeci pochodzenia migranckiego. Sprawdzają wszystkie dokumenty, które mam, nawet kartę kredytową, spisują moje dane, wypytują, drążą, przeglądają stare zdjęcia w aparacie i smartfonie. Przeszukują teczkę i torbę, na co wyraziłem zgodę, czując, że nie byłoby dobrym pomysłem stawianie oporu.

– Ma pan coś do dodania?

– Grożono mi obcięciem głowy za zrobienie zdjęć, których już nie ma.

I wtedy słyszę niezwykłe słowa.

– To zrozumiałe – mówi o groźbie trzeci funkcjonariusz. – Rodzice są przecież zdenerwowani.

Pozostali policjanci, typowi Niemcy, wyglądają na zakłopotanych, ale nie reagują na słowa kolegi. Rodzice spoglądają z poczuciem triumfu.

13

Z powodu masowego zakażenia w rzeźni w Rhedzie-Wiedenbrücku może się poprawić los gastarbeiterów w całych Niemczech. Wydarzenie wywołało taki szok, że posłowie Bundestagu zaczęli nagle debatować nad nowymi zasadami pracy w przemyśle mięsnym. W zakładach zatrudniających powyżej czterdziestu dziewięciu pracowników wszyscy będą musieli mieć normalne umowy, a nie odpowiednik śmieciówek, zawieranych na dodatek z pośrednikami.

Koncern Tönnies obiecał, że nie będzie czekał, aż ustawa zostanie przegłosowana. Zapewnił, że do końca roku sam podpisze umowy o pracę z gastarbeiterami, zarobią według stawek takich jak dla Niemców, będą mieli urlopy i nie będą się musieli obawiać wziąć zwolnienia, gdy przytrafi się choroba. Clemens Tönnies w wywiadzie dla „Die Glocke” opowiedział się nawet za znacznym podwyższeniem płacy minimalnej w przemyśle mięsnym. Sam tego jednak nie może zrobić, stwierdził – to zadanie dla całej branży. Wspomniał też o polepszeniu warunków zakwaterowania dla pracowników.

Koncern na swojej stronie internetowej opublikował „koncepcję mieszkań dla singli, apartamentów dla par oraz domów dla większych rodzin”. Wzorem mają być akademiki uczelni technicznej z pobliskiego Lemgo. Oglądam je na stronie internetowej: jasne, z dużymi oknami, zadbane. Mieszkanie dla pracujących w rzeźni singli ma mieć szesnaście metrów kwadratowych, apartament dla pary dwadzieścia siedem metrów kwadratowych. Zawsze z prywatną łazienką i aneksem kuchennym. Podano nawet wysokość czynszu, z wliczonymi ogrzewaniem, ciepłą wodą i wywozem śmieci – mniej więcej trzysta euro dla samotnych, czterysta–czterysta pięćdziesiąt euro dla par. Studenci z Lemgo płacą mniej.

– Trzysta euro to nie jest mało jak na ten region. Ale to, że koncern przejmuje się naszym zakwaterowaniem i umowami, pozytywnie zaskakuje. Byle się nie zniechęcił. Bo o koronaaferze szybko tu zapominają – słyszę na spotkaniu z miejscowymi Polakami.

14

Ostatni raz podjeżdżam pod największą rzeźnię Europy. Za murem trwa produkcja w rytmie kilkunastu świń na minutę. Wolniejszym niż dwa miesiące temu, przed wielkim atakiem wirusa na gastarbeiterów. Przed zakładem stoją dziesiątki ciężarówek chłodni. Ciszę zakłóca tylko dźwięk włączanego silnika, gdy kierowcy przesuwają się w kolejce. Jest i autobus pełen przysypiających Rumunów.

Libijczyk zostaje tutaj

2020

Oślepiające zachodzące słońce. Gdy pierwszy raz usłyszałem tę pieśń, prawie dziesięć lat temu oraz dwa i pół tysiąca kilometrów stąd, słońce też oślepiało. Wtedy nie wiedziałem, że on jest jej autorem. Potem go szukałem, zbierałem informacje, zarzucałem sieć. I również w sieci nawiązałem z nim kontakt. Upłynęła niemal dekada. Od razu go rozpoznałem wśród kilkudziesięciu gości najbardziej znanej kawiarni tego niemieckiego miasteczka. Choć był w okularach przeciwsłonecznych i czapeczce bejsbolowej. Choć przy wielu stolikach siedzieli mężczyźni pochodzenia arabskiego. Jak on.

1

Afryka Północna i Niemcy – tematy się krzyżują. Bohaterowie przechodzą z jednej książki do drugiej. Adel el-Mszaiti pojawił się w tomie reportaży o przemianach w świecie muzułmańskim *Mój brat obalił dyktatora*.

Szukałem go w Bengazi, drugim co do wielkości mieście w Libii, podczas rewolucji przeciw dyktatorowi Muammarowi Kaddafiemu. Do spotkania dochodzi w końcu w Niemczech, przed moim powrotem do Polski po kilku dniach zbierania materiałów o koronawirusie w zakładach mięsnych Tönniesa.

– Znam tę rzeźnię – mówi.

Mimo że tyle czasu czekałem na to spotkanie, zaczynamy rozmowę od fabryki w Rhedzie-Wiedenbrücku. Pierwszym tematem stają się kotlety,

choć po głowie chodzi mi tyle pytań związanych z nim, niezwykłym Libijczykiem.

Adel el-Mszaiti jest lekarzem. Ale nie z tego powodu stał się przed laty bohaterem reportażu. Wtedy, gdy ja szukałem go w Libii, pracował w pogotowiu ratunkowym w Gütersloh, z którego do wielkiej niemieckiej rzeźni jest kilkanaście kilometrów.

– Byłem w tej rzeźni po wybuchu dwutlenku węgla – opowiada mi teraz. – Cały dzień pracowaliśmy, woziliśmy ludzi do szpitali, na miejscu było ze trzydziestu lekarzy. Ja z moją ekipą pojawiłem się tam pierwszy. Ale szczegółów nie pamiętam, to był chyba rok 2012. Wie pan, do czego w rzeźni jest używany dwutlenek węgla?

Już wiem. Dla niego, muzułmanina, wielka przetwórnia świńskiego mięsa to coś nieczystego. To zabawne, że zaczynamy od wieprzowiny. Adel el-Mszaiti kojarzył mi się z duchowym uniesieniem, z rozpaczą libijskich wdów, z miłością do ojczyzny. I z tajemnicą. Z tajemnicą będzie się kojarzył nadal.

2

Odnoszę wrażenie, że się ukrywa. Że prześladują go nie tylko wspomnienia z czasów dyktatury. Prawie pięć lat spędził w najgorszym więzieniu Kaddafiego, Abu Salim.

– Nie, to nie było więzienie, bo w więzieniu ma się jakieś prawa, choćby do odwiedzin, ma się adwokata. Tam ludzie znikali. Nie wytoczono mi żadnego procesu, od 1996 do 2000 roku moja rodzina nie wiedziała, czy żyję, a ja nie wiedziałem, co z moją mamą, rodzeństwem. To nie było więzienie, lecz izolacja, zapomnienie. Przez długie miesiące nie istniałem. Nie widziałem słońca – opowiada mi Adel el-Mszaiti w gwarnej kawiarni na starówce niemieckiego miasteczka. Czterdziestopięciolatek, szczupły, drobny, o młodzieńczym wyglądzie, z krótko przystrzyżonym czarnym zarostem. Okulary zdejmuje tylko raz, gdy pada pytanie o tęsknotę za Libią. Wróciłby tam natychmiast, gdyby mógł. Nie może.

Wydusza ze mnie obietnicę, że nie podam, gdzie dokładnie mieszka i pracuje. Mogę napisać tylko tyle, że w Dolnej Saksonii, dużym landzie na północy. I zachowam dla siebie jeszcze kilka innych szczegółów.

W internecie prawie nic o El-Mszaitim nie ma, zwłaszcza o jego pobycie w Niemczech. Jego nazwisko pojawia się na liście pracowników gabinetu lekarskiego w dolnosaksońskim miasteczku. Ale to nieaktualny trop, zmienił miasto, gabinet ma już swój. Nie ma go w książce telefonicznej, trudno znaleźć jakikolwiek artykuł o nim w niemieckich portalach, choć dzieło Adela el-Mszaitiego uzyskało i w Niemczech spory rozgłos. Najpierw, gdy Libijczycy wystąpili przeciw dyktaturze. I kilka lat później, gdy jego pieśń *Zostaniemy tutaj* (po arabsku *Sawfa nabka huna*) śpiewali niechciani we wschodnich landach uchodźcy z Bliskiego Wschodu. Chór złożony z młodych imigrantów i Niemców w specyficzny sposób uczcił rocznicę powstania antymuzułmańskiej organizacji Pegida. Zaśpiewał utwór El-Mszaitiego na placu przed operą w Dreźnie, na którym lubili demonstrować zwolennicy Pegidy. Pieśń była uzupełniona niemieckim tekstem: „Żadnej Pegidy. Drezno jest nasze, Drezno jest kolorowe i dlatego nie ma tu miejsca dla nazistów. Zostaniemy tutaj". Tę wersję *Sawfa nabka huna* śpiewali też uczniowie w kilku szkołach w mniejszych miastach Saksonii, co wywołało debatę w mediach społecznościowych. Dominowało w niej oburzenie: niewinne dzieci indoktrynuje się hymnem „islamistów", a wszystkich przeciwników masowej migracji przedstawia się jako nazistów.

3

Sawfa nabka huna to hymn arabskich rewolucji, od Libii po Syrię. Dawno oderwał się od twórcy i pierwszego wykonawcy, śpiewały go gwiazdy z Egiptu, Libanu, Tunezji i Maroka. Jedno tylko nagranie pieśni, w wykonaniu egipskiego piosenkarza Ramiego Mohameda, obejrzano na YouTubie siedemdziesiąt milionów razy. Autorem nikt się nie interesuje. Tak było i w 2011 roku w jego ojczystej Libii – choć pieśń śpiewało pół kraju, radio rewolucjonistów puszczało ją w przerwach między

informacjami z frontu, była dzwonkiem w telefonach, dobiegała z posterunków, samochodów, kawiarń, domów.

Nie jestem muzykalny, rzadko czuję ciarki na plecach, gdy słyszę śpiew. Ale pod koniec lutego 2011 roku w Bengazi czułem. Stałem przed kilkoma rzędami śpiewających kobiet w chustach – wdów, matek i sióstr ofiar reżimu Kaddafiego, trzymających w rękach zdjęcia młodych mężczyzn, czarno-białe, staroświeckie, wykonane przed laty. Nie trzeba było rozumieć arabskiego tekstu, by łzy same cisnęły się do oczu. To wtedy pierwszy raz usłyszałem tę pieśń, przed gmachem sądu w Bengazi, który przemienił się w siedzibę władz rewolucyjnych.

Wszyscy znali *Sawfa nabka huna*, ale nikt nie znał autora.

– To tekst wyjątkowy jak na Libię. Wyrafinowany. Tu jest prosty naród i teksty, nawet poetyckie, są proste. Aż trudno uwierzyć, że to napisał lekarz – mówiła Marta Trzopek, polska arabistka mieszkająca w Bengazi. Razem z mężem, Libijczykiem Chalifą Hamadem Miladem, przetłumaczyła dla mnie tekst pieśni na polski. Trzymam to tłumaczenie, wypisane ręcznie, równo i wyraźnie, w teczce z czerwono-czarno-zieloną flagą z półksiężycem i gwiazdą oraz arabskim napisem: „Wolna Libia. Rewolucja 17 Lutego”.

Nie bacząc na agresję, na całą tę nienawiść
Postaramy się, aby wszyscy wiedli dostatnie życie
[…] Nie przestaniemy dążyć do celów najwyższych
I staniemy się naprawdę najlepszym wśród narodów.

Na dole data tłumaczenia: 3 marca 2011 roku.

Trzymam w teczce także tekst oryginalny, złożony z wykorzystaniem kaligraficznych ozdobników; niektóre litery ciągną się na parę centymetrów.

4

Wolontariuszka, która pomagała zagranicznym dziennikarzom w siedzibie władz rewolucyjnych w Bengazi, obiecała mi, że dowie się, kto jest

autorem pieśni. Po kilku dniach zapisała mi w notesie, który też przechowuję w prywatnym archiwum, nazwisko po angielsku: Adel Elmshaiti, z dopiskiem „doctor”. Zapisała je także po arabsku, czego wówczas nie umiałem odczytać. Opanowałem alfabet kilka miesięcy później.

Wolontariuszka nie miała pojęcia, gdzie szukać doktora El-Mszaitiego. Potem się dowiedziałem, że niegdyś pracował w najważniejszym szpitalu Bengazi, Al-Dżala, do którego w pierwszym dniu buntu przeciw Kaddafiemu w lutym 2011 roku zwożono rannych i zabitych, ponad dwieście ciał.

Już dawno jednak go tam nie było, pracował w Niemczech.

– Jestem tu od 2009 roku. Gdybym marzył o karierze naukowej, to sensowniej byłoby się dostać do USA czy Wielkiej Brytanii. Od strony praktycznej, pracy z pacjentem, Niemcy są dla lekarza jednak lepsze. Choć język trudny. – Doktor El-Mszaiti mówi teraz do mnie po niemiecku, dobrze, choć nie perfekcyjnie. – Gdy wyjeżdżałem z Libii, następowała tam liberalizacja. Rewolucja w 2011 roku bardzo mnie zdziwiła.

5

W kawiarni podchodzi do naszego stolika Niemka, jego pacjentka. Jest wdzięczna za skuteczną terapię, dręczyły ją bóle, a doktor El-Mszaiti to wybitny specjalista od ich zwalczania. Pacjentka nie wie, skąd pochodzi lekarz. Prawie nikt nie wie, że jest Libijczykiem i że napisał pieśń, która ma masę fanów nawet w dalekiej Malezji i Indonezji.

– Nikomu o tym nie mówię, ale większość kolegów po fachu w okolicy wie, sami się dowiedzieli. Ja skupiam się na pracy. Nie dbam o rozgłos, także w mediach społecznościowych – mówi.

Przypominam sobie, że gdy w 2011 roku znalazłem go na Facebooku, miał tam ledwie dziewiętnastu znajomych. W Libii dyktator wyłączył wówczas internet i międzynarodowe połączenia telefoniczne. Można było jedynie wysyłać SMS-y. Przekazałem w ten sposób prośbę do berlińskiego korespondenta „Rzeczpospolitej”, by skontaktował się z El-Mszaitim.

Udało się. Adel powiedział korespondentowi, że pracuje w Gütersloh. Jeszcze nie ukrywał swojego miejsca zamieszkania, choć wolał pozostać w cieniu. Zaszył się na dobre parę lat później.

Przed dekadą mieliśmy kontakt facebookowy, już wtedy poznałem historię jego uwięzienia w Abu Salim. Pomagał rannym w czasie demonstracji przeciwko Kaddafiemu. Opatrywał, podawał lekarstwa. 11 kwietnia 1996 roku tuż po północy jego dom w Bengazi otoczyły policyjne samochody. Potem były tortury i kilka lat w izolacji i zapomnieniu.

– Nie miałem nic wspólnego z polityką, nie byłem żadnym opozycjonistą. Byłem studentem medycyny – mówi teraz.

Pieśń *Sawfa nabka huna* powstała, gdy po opuszczeniu więzienia wrócił na uniwersytet. Napisał ją na ceremonię rozdania dyplomów. Opowiada o Libijczyku, który kończy studia, obiecuje, że zostanie w kraju i będzie pomagał rodakom. Teraz śpiewa ją wielu absolwentów uczelni w różnych krajach arabskich.

– Muzyka to moje hobby od dzieciństwa, miałem w domu akordeon, wsłuchiwałem się w uliczny folklor Bengazi. To trochę inny akordeon niż używany w Europie, ten nie ma ćwierćtonów. W muzyce arabskiej, która jest bardziej skomplikowana, są. To był mój pierwszy instrument, drugi to ud, czyli lutnia arabska, a potem keyboard. Na instrumentach elektronicznych wszystko można zagrać. W rodzinie nie miałem profesjonalnych muzyków, choć trochę grywano. Ojciec miał sklep, ale potem nie było już można prowadzić własnych biznesów, pracował jako urzędnik.

O jego pieśni dowiedzieli się ludzie reżimu. Rok po ceremonii, na której ledwie kilkudziesięciu absolwentów wydziału medycyny słuchało pierwszego wykonania *Sawfa nabka huna*, zaproponowali, by wystąpił w telewizji Kaddafiego w specjalnym ramadanowym programie.

– Nie miałem wyjścia, zaśpiewałem, chcieli mnie przeciągnąć na swoją stronę. Syn dyktatora Saif al-Islam próbował wpuścić do kraju trochę wolności – opowiada El-Mszaiti. Ale on, gdy tylko pojawiła się okazja, wybrał emigrację.

6

Czy Niemcy to dobre miejsce dla imigranta z Libii?

– Jest tu rasizm, ale ja nie mam żadnych problemów, ani moja żona i troje dzieci. Wobec nas Niemcy są raczej mili. Lekarzy się ceni, nikt im nie mówi, by sobie poszli, bo są tutaj niezbędni. Niemcy nie mogą już funkcjonować bez imigrantów. W pierwszym szpitalu, w którym mnie zatrudniono dekadę temu, ponad czterdzieści procent personelu to nie byli Niemcy. Nawet cudzoziemcy, którzy teraz nie pracują, mają przecież dzieci; one się uczą, kiedyś będą fachowcami i będą płaciły podatki. Niemcy mają mało dzieci. Przyznam, że byłem przeciwnikiem wpuszczenia w krótkim czasie miliona imigrantów w 2015 roku. Ale przecież nie można ich było zatrzymać tak po prostu, zwłaszcza że Niemcy nic nie zrobiły w sprawie wojny w Syrii. Nie można szturmującym granicę powiedzieć: „Wracajcie do siebie i umierajcie”. Niedawno znajomy internista, też pochodzący z Libii, zorganizował spotkanie z okazji Id al-Adha, Święta Ofiar. Złożyliśmy w ofierze dużego barana, piętnastu muzułmanów, sami medycy, poza Libijczykami koledzy z Libanu, Turcji, Arabii Saudyjskiej; wszyscy są dobrze wykształceni i wszyscy pracują tu dla dobra Niemców. Zdarza się, że cały personel to muzułmanie, a Niemcy to tylko pacjenci. W moim gabinecie pracują też Niemcy i dwie pielęgniarki pochodzenia tureckiego. W gronie specjalistów jest wielu Arabów, w naszym mieście: urolodzy, gastrolog i anestezjolodzy.

7

Tak jak przed laty, teraz również nawiązałem kontakt z El-Mszaitim dzięki Facebookowi.

Zagląda na swoje konto rzadko, na odpowiedzi na moje pytania czasem czekałem wiele dni. W pierwszej wiadomości podał mi nazwę miasta, w którym mieszka. Gdy tam dotarłem, poinformował mnie, że chodzi o inną miejscowość, ale położoną w pobliżu.

Kilka dni po spotkaniu dostałem wiadomość. El-Mszaitiego dręczył dokument, który mu pokazałem. To jedyny tekst w sieci, w którym występuje jego imię i nazwisko wraz z informacją, że jest muzykiem i lekarzem mieszkającym obecnie w Niemczech. Bez żadnych szczegółów. Podczas spotkania El-Mszaiti sprawiał wrażenie wstrząśniętego, że taki dokument można znaleźć w internecie. Przeglądał nerwowo kilka stron, które miałem ze sobą. Sfotografował je telefonem komórkowym.

8

Ten dokument był związany ze sprawą, która wstrząsnęła Stanami Zjednoczonymi. Z jej powodu Amerykanie dowiedzieli się o istnieniu Bengazi. Banda brodatych dżihadystów uzbrojonych w granatniki przeciwpancerne, moździerze, kałasznikowy i kanistry z benzyną zabiła w tym mieście amerykańskiego ambasadora Christophera Stevensa. Zafascynowany światem arabskim dyplomata opuścił Trypolis, w którym urzędował od paru miesięcy, by złożyć wizytę w stolicy libijskiej rewolucji. Z nieliczną ochroną odbywał spotkania w zatłoczonych miejscach, nocował w również słabo strzeżonej misji amerykańskiej w tym mieście. Był 11 września 2012 roku, jedenasta rocznica zamachów Al-Kaidy na Amerykę. Atak na misję w Bengazi zaplanowany przez miejscowego klona Al-Kaidy trwał kilkanaście godzin. Ambasador Stevens nie żył po kilku. Przyczyna śmierci brzmi naukowo: hipoksja. Niedotlenienie. Udusił się. Osaczony w placówce dyplomatycznej słyszał, jak dżihadyści rozlewają benzynę na terakotowej posadzce, rzucają puste kanistry. Jak krzyczą wrogie słowa, podpalając lont. Rozumiał je, od dawna znał arabski.

Wstrząs był wielki. Od trzydziestu trzech lat nikt nie zabił amerykańskiego ambasadora. Jak mogło do tego dojść? W taki dzień, w takim miejscu. Pełnym fundamentalistów islamskich, podzielonych na zwalczające się frakcje, połączone jednak nienawiścią do Zachodu.

Dlaczego zignorowano ostrzeżenia? Stevens był na czarnej liście dżihadystów. Po jego śmierci musieli się tłumaczyć najważniejsi ludzie w USA, od sekretarz stanu Hilary Clinton po prezydenta Baracka Obamę.

Republikanie wykorzystywali śmierć ambasadora w Bengazi w walce z demokratami.

9

I w tej historii pojawił się Adel el-Mszaiti, autor hymnu libijskiej rewolucji. Dokument, którego wydruk oglądał z zaniepokojeniem w kawiarni w niemieckim miasteczku, pochodzi z sądu dystryktowego Stanów Zjednoczonych dla Dystryktu Kolumbii. To opinia sędziego w sprawie Mustafy Mohameda Mufty al-Imama, oskarżonego o udział w przygotowaniach ataku na placówkę dyplomatyczną Stanów Zjednoczonych w Bengazi w 2012 roku. Al-Imama amerykańscy agenci złapali pięć lat później w libijskiej Misracie i natychmiast zabrali się do przesłuchań na pokładzie cumującego w pobliżu okrętu amerykańskiej marynarki. Wśród zarzutów znalazło się wspieranie ataku terrorystycznego ze skutkiem śmiertelnym. Al-Imama skazano w styczniu 2020 roku na dziewiętnaście lat i osiem miesięcy więzienia.

Adel el-Mszaiti drobiazgowo tłumaczył mi, jak to się stało, że w pobocznym wątku sprawy Mustafy Mohameda Mufty al-Imama pojawiło się jego nazwisko. W tle słychać było szum kawiarnianych rozmów, głównie po niemiecku. Oślepiało nas słońce zachodzące nad renesansowym zamkiem.

Po kilku dniach poprosił, bym zachował tę opowieść dla siebie.

Muszę to uszanować. Lepiej rozumiem, dlaczego nie może wrócić do ojczyzny, nie ciągnie go do Bengazi. Autor hymnu libijskiej rewolucji *Zostaniemy tutaj* zostaje tu, w Niemczech.

Buntownicy z enerdowskiej prowincji

2019

„Cóż to za życie? Tu, gdzie wszystko wydaje się stracone” – proste słowa nieznanego autora, wywieszone na murach, zmobilizowały przed trzydziestu laty mieszkańców Arnstadt do protestów przeciw komunistycznej władzy.

Trzydziestotysięczne miasto, trzysta kilometrów na południowy zachód od Berlina (teraz to land Turyngia, wtedy okręg Erfurt), zbuntowało się wcześniej niż wiele dużych ośrodków w NRD. Bohaterów małej rewolucji w Arnstadt odwiedziłem dziesięć i dwadzieścia lat po wydarzeniach z jesieni 1989 roku. W 2019 roku pojawiam się tam po raz trzeci.

Ten, który zrobił największą karierę polityczną, był przez trzy kadencje burmistrzem, nie daje się już namówić na rozmowę. Stwierdza przez telefon, że nie ma nic do powiedzenia. Może obawia się pytań o mocno prawicowe sympatie, które wykazywał, zanim stało się to masowe w dawnej NRD (teraz AfD, Alternatywa dla Niemiec, ma na wschodzie poparcie jednej czwartej wyborców). Główny dysydent z tamtych czasów, teraz chory na raka, krytykuje, jak przed dwudziestu i dziesięciu laty, sposób, w jaki potraktowano wschodnich Niemców po zjednoczeniu: „Nie dbano o nich, lecz o interes zachodnich koncernów”.

Nadal zachwycona przemianami jest pani doktor, prześladowana przez enerdowską bezpiekę, która w wieku osiemdziesięciu pięciu lat wciąż pracuje, prawie codziennie przyjmuje w swoim prywatnym gabinecie, a czasem ma dyżury w szpitalu.

Ten, który swoimi słowami porwał setki mieszkańców do buntu, wciąż nie ukrywa frustracji. Nie jest już bezrobotny, jak przed dekadą – prowadzi organizację charytatywną pomagającą przede wszystkim nowym imigrantom. Uważa, że jego wiersz rozwieszany na murach przed trzydziestoma laty stał się znowu aktualny. A brzmiał tak:

Cóż to za życie?
Tu, gdzie prawda staje się kłamstwem
gdzie fałsz berło dzierży
Cóż to za życie?
gdzie wolność martwa na świat przychodzi?
gdzie wszystko wydaje się stracone
Cóż to za życie?
gdzie starcy rządzą
gdzie ludzie na granicach zdychają.

1

Ostatnie dni września 1989 roku. Nikt nie mógł jeszcze przewidzieć, że historia NRD dobiega końca. Kilka tygodni później padł mur w Berlinie, a po roku nie było już niemieckiego państwa, któremu z upiornym poczuciem humoru wpisano w nazwę demokrację.

Funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa Stasi rozwścieczyły ulotki, które w nocy pojawiły się na murach. Autor wzywał „wszystkich obywateli Arnstadt” do udziału w pokojowej demonstracji przeciw „despotycznej polityce komunistycznej partii SED”. Nie były to kopie, każdą napisano oddzielnie. Oprócz apelu o udział w wiecu na Holzmarkcie, Rynku Drzewnym, na ulotkach był też wspomniany wiersz.

Ulotki na pożyczonej od kolegi maszynie napisał Günther Sattler. Dwudziestoczteroletni syn milicjanta, prosty chłopak, który szkolił się na ślusarza, kucharza i rzeźnika, a pracował jako palacz i zarabiał tyle, ile kosztowała niezła kurtka. Dusił się w NRD, ale uważał, że zamiast wyjechać, musi żyć tu. Nie znał dysydentów, z kolegami z pracy nie dało się szczerze porozmawiać o tym, co się myśli o władzach. Günther działał sam. Dlaczego zdecydował się na ulotki? Gdy spotkaliśmy się pierwszy raz,

tłumaczył, że rozrzucali je przecież rewolucjoniści, uczył się o tym na lekcjach o ruchu robotniczym. Samotnego Sattlera zastała przy nocnym stukaniu w maszynę jego dziewczyna, matka ich malutkiego synka. Zaczęła krzyczeć, że nie może wypisywać takich tekstów, że nie może tak ryzykować. Wybiegła z domu, zostawiła mu klucze. Pomyślał wtedy, że jego świat właśnie zawalił się do końca. Nie czuł strachu, był gotów rozpocząć swoją małą wojnę z reżimem. Nie miał już nic do stracenia.

Mimo gorączkowych poszukiwań, mimo kontroli maszyn do pisania w całym mieście, mimo wzmożonej aktywności donosicieli Stasi nie odnalazła autora ulotek. Nie znał go też nikt z ludzi, którzy na jego wezwanie przyszli 30 września 1989 roku na Holzmarkt. Niektórzy nie mieli pewności, czy to nie prowokacja służb, ale zdecydowali się zaprotestować. Sattler obserwował wiec z okna mieszkania swojego kolegi. Demonstrowało kilkuset ludzi, agenci Stasi szacowali, że od stu pięćdziesięciu do trzystu, a jeden z uczestników zanotował w pamiętniku, że było ich siedmiuset.

2

Günther Sattler jest coraz bardziej zgorzkniały. Nie widzi powodu do świętowania okrągłej rocznicy protestu w Arnstadt ani obalenia muru.

– Zawsze podkreślałem, że gdyby czas się cofnął do epoki NRD, zrobiłbym to samo. To płynęło z głębi serca, przechodziłem proces uświadamiania sobie, kim jestem. Niestety, taki wiersz mógłbym napisać jeszcze raz po pięciu latach, dziesięciu, dwudziestu i teraz po trzydziestu też. Robi się coraz gorzej, i to jest problem – mówi dziś, gdy znowu spotykamy się w jego domu w miasteczku Plaue, położonym dziewięć kilometrów na południe od Arnstadt. Nie zmienił poglądów, wciąż wygląda też podobnie: szczupły, o zadziornym spojrzeniu, tylko trochę posiwiał i twarz pokryła się zmarszczkami. Partnerka, która się przeraziła, gdy pisał na maszynie *Cóż to za życie?*, już dawno odeszła. „I dzięki Bogu”.

Syn ma trzydzieści trzy lata, nie mieszka już w dawnej NRD, lecz w graniczącej z Turyngią Bawarii. W rodzinnej miejscowości żony, z którą

prowadzą przejętą po jej rodzicach firmę transportową.

– Ale wesele odbyło się u mnie – śmieje się Günther Sattler.

Nie jest to zwykły dom. To zabudowania gospodarskie z osiemnastego wieku, z pruskiego muru w stylu charakterystycznym dla Turyngii, z dziedzińcem wyglądającym jak połączenie ogrodu ze skansenem, pełnym starych naczyń, zegarów, narzędzi rolniczych, szyldów i reklam z dawnych czasów. Odnowił budynki, bo marzyło mu się organizowanie spotkań, dyskusji. Z tym w czasach konsumpcjonizmu, którego tak nie lubi, jest ciężko. Choć, podkreśla, zaprasza tu ludzi, którym tak jak jemu zależy na bezinteresownym kontakcie. Miejsce nazywa się Birkenhof, Brzozowy Dwór, jest zabytkiem, który jako atrakcję turystyczną zachwalają władze liczącego dwa tysiące mieszkańców miasteczka.

Coraz gorzej, zdaniem Sattlera, robi się nie tyle w całych Niemczech, ile na wschodzie, w dawnej NRD:

– Szybko przeskoczyliśmy z socjalizmu do kapitalizmu. Nasila się rozwarstwienie między bogatymi a biednymi, do tego dochodzą uchodźcy, którzy nas zaskoczyli. Partie głównego nurtu są nie do odróżnienia. I nagle pojawia się Alternatywa dla Niemiec, za którą ludzie idą jak szczury za szczurołapem z Hameln. Może i ma w programie sporo słusznych postulatów, nie wszyscy w niej są skrajnymi prawicowcami, ale jakoś tak przypomina klimatem Trzecią Rzeszę.

AfD wzbudza w Güntherze niepokój, strachu jeszcze nie. On sam jest zdecydowanie lewicowy, zwłaszcza w sprawach społecznych. Nie wiąże się jednak z żadnym ugrupowaniem.

– Oni tam mówią do siebie „towarzyszu”, za bardzo kojarzy mi się to z NRD.

3

Dwadzieścia lat temu, gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy, kończył swoją przygodę z prywatnym biznesem. Upadał ostatni z sieci jego barów przekąskowych – przy dworcu w Arnstadt. Günther stał się bankrutem, bezrobotnym, i chorował. Teraz jest szefem Arnstädter Tafel. Każdy

w Niemczech wie, co to Tafel, są ich setki w całym kraju – to instytucje, które wspierają biednych artykułami spożywczymi, a czasem i meblami czy naczyniami (tak jest w Arnstadt). W innych krajach zwie się je zazwyczaj bankami żywności, niemiecka nazwa nawiązuje do stołu biesiadnego.

Siedziba Arnstädter Tafel mieści się w starej kamienicy przy stromej uliczce. W środy i w piątki o czternastej pojawiają się tu podopieczni z dużymi torbami, często na kółkach. Zabiorą w nich żywność, która albo już się przeterminowała, ale nadal jest dobra, albo niedługo upłynie jej termin ważności. Płacą za to trzy euro tygodniowo; te wpłaty przeznaczane są na organizowanie dostaw. Zanim ruszą do pomieszczenia, w którym są skrzynki pełne warzyw, owoców, napojów mlecznych czy jajek, czekają na swoją kolej, siedząc przy stołach. Rozmowy się nie kleją, liczniejsi obcokrajowcy zazwyczaj nie znają niemieckiego, a to byłby najlepszy sposób komunikacji zarówno z Niemcami, jak i z innymi cudzoziemcami. Konwersuje kilkanaście kobiet w kolorowych chustach na głowach, wszystkie są z Afganistanu.

Przy jednym stole siedzą Syryjczyk, Afgańczyk, Ghańczyk i syryjski Kurd. Pierwszy zna angielski. Ma czterdzieści siedem lat. Uciekł z Syrii w 2015 roku, najpierw do Francji. Tam mu się nie powiodło. W Arnstadt uczy się niemieckiego i robi kurs kucharski. Nie ma pracy, żyje wraz z rodziną z tego, co zapewnią mu Niemcy, państwo i osoby prywatne. W Dajr az-Zaur, dwustutysięcznym mieście na wschodzie Syrii, które przez dwa lata było oblegane i częściowo opanowane przez dżihadystów z ISIS, też był kucharzem.

– Nie wrócę tam. Chcę założyć dobrą restaurację, ale w dużym niemieckim mieście, nie w Arnstadt, bo nie byłoby wystarczająco dużo gości; tu wielu żywi się w Tafel.

Przychodzi przede wszystkim po owoce.

– Dla dzieci, mam ich trójkę, one są najważniejsze, szybko opanowują w szkole niemiecki. Będą miały normalne życie, moje pokolenie jest stracone. Ja zawsze będę przybyszem z arabskiego kraju.

Do ojczyzny nie zamierza także wrócić trzydziestoczteroletni Afgańczyk, który również trafił do Niemiec wraz z wielką falą imigrantów

w 2015 roku. On w przeciwieństwie do Syryjczyka pracuje i nieźle mówi po niemiecku.

– Gdy nauczę się jeszcze lepiej, a chodzę na kursy, to dostanę lepszy etat w miejscowym szpitalu – podkreśla. Teraz wykonuje tam najprostsze prace. Jest przedstawicielem społeczności Hazarów, wyznających szyicką odmianę islamu i często prześladowanych przez dominujących w Afganistanie Pasztunów, którzy są zazwyczaj sunnitami.

Günther Sattler:

– Tygodniowo pomagamy mniej więcej siedmiuset osobom, prawie dwie trzecie z nich to obcokrajowcy czy nowi obywatele. Są prawdziwi uchodźcy, których z domów wygnała wojna, i nieprawdziwi, czyli imigranci ekonomiczni, tych jest zresztą większość. W tym przybysze z krajów Unii Europejskiej, Romowie z Bułgarii i Rumunii. W sumie przedstawiciele dziewiętnastu narodowości. Zarejestrowanych w naszym Tafel jest wiele starszych Niemek, skromnych kobiet, które czują się skrępowane, przyjmując pomoc. Bardzo mało zarabiały w NRD, pracowały jako fryzjerki czy sprzedawczynie, a po upadku muru berlińskiego często traciły pracę i tak już pozostało. Dostają teraz pięćset–sześćset euro emerytury. Gdy widzę te panie z tak niskim uposażeniem i jednocześnie imigrantów, którzy dotarli tu bez żadnej kontroli, czy coś posiadają, czy nie, i oni dostają w Niemczech tyle samo, to czuję się rozdarty. Kanclerz Merkel powiedziała w związku z wielkim napływem imigrantów: „Damy radę”, ale większość miejscowych raczej nie daje sobie z tym problemem rady.

4

W 1989 roku na czele demonstracji na Holzmarkcie, do której wezwały ulotki Sattlera, stał Arnd Effenberger. Zakładał w Arnstadt oddział Nowego Forum, pierwszej dużej organizacji opozycyjnej w upadającej NRD. Uważają się z żoną za ludzi lewicy, głosują albo na socjaldemokratów z SPD, albo na Zielonych.

– W naszym mieście jest dużo obcokrajowców, czasem ludzie czują lęk. Byliśmy na spacerze w lesie, niedaleko, bo nie mogę dużo chodzić, ale

miałem skuter elektryczny i wysunąłem się do przodu. Nagle pojawiło się czterech mężczyzn, właściwie miło wyglądali – opowiada mi siedemdziesięciodziewięcioletni Effenberger.

– Czterech czarnych! – włącza się żona Karin.

– Zatrzymałem się i poczekałem, aż zniknęli, a Karin nadeszła i powiedziała, że się trochę boi.

– Gdybym tak sama trafiła na czterech czarnych młodych ludzi w lesie, no cóż, to nawet nie wiadomo, jak by zareagowali – dodaje żona.

Arnd Effenberger uważa, że sposób, w jaki główne media informują o incydentach wywoływanych przez imigrantów, prowadzi do tego, że normalny obywatel zaczyna nazywać prasę kłamliwą, rozpowszechniającą fake newsy:

– A potem osuwa się w kierunku skrajnej prawicy.

Podejście małżeństwa dawnych dysydentów do tego, co się stało z Niemcami wschodnimi trzy dekady po upadku muru, się nie zmieniło. Byli i są „raczej niezadowoleni".

Dziesięć lat temu wydawało mi się, że zaczęło im się lepiej wieść. Bo zmienili mieszkanie, przenieśli się do eleganckiego domu na starym mieście, tuż obok Holzmarktu. Jeszcze dziesięć lat wcześniej byli bez pracy, mieszkali w bloku na osiedlu z czasów przed zjednoczeniem, a ich enerdowskie meble kuchenne ukrywały się pod zachodnią drewnianą okleiną. Karin Effenberger mówiła wtedy, że bohaterowie rewolucji siedzą w domu. To się już nie zmieniło.

Arnd Effenberger, doktor matematyki, nie zrobił kariery naukowej. Zanim przeszedł na emeryturę, uczył parę godzin tygodniowo informatyki w szkole pedagogicznej. Mieszkanie zmienili tylko dlatego, że poprzednie się spaliło, dziecko sąsiada wywołało pożar.

– Inaczej sobie wyobrażałem demokrację, nie tak, że wszystko jest na sprzedaż, że człowieka mierzy się tylko zasobnością kieszeni – mówił mi w 2009 roku Arnd Effenberger, a jego żona dodawała:

– Na zachodzie tak pewnie było i wcześniej, ale my o tym nie wiedzieliśmy. Jest jednak niewątpliwie lepiej niż w NRD.

Długo zachowywali urok dawnych dysydentów, brodaty Arnd wyglądał jak zbuntowany artysta z bloku wschodniego. W czasach NRD pisywał skecze do kabaretów, które zauroczyły piękną Karin. Teraz jest ciężko chory na raka płuc, przy nosie zwisa mu rurka, oddycha z trudem i mówi powoli, przechodząc czasami machinalnie na miejscowy dialekt:

– Nadal są dwie kategorie ludzi: ci z zachodu, lepsi, i ci ze wschodu, gorsi. NRD została wcielona do Republiki Federalnej i całkowicie jej podporządkowana. To zachodnie powiernictwo decydowało, co sprywatyzować, co zaś zrównać z ziemią. Nie dla naszej korzyści, lecz w interesie niemieckich koncernów. Efekt jest taki, że wszystkie przedsiębiorstwa z pierwszej trzydziestki notowanej na giełdzie frankfurckiej mają siedziby tam. Oczywiście gdy się spojrzy na wygląd wschodnioniemieckich miast, to można mówić o cudzie, tak wypiękniały, a wtedy były bliskie rozpadu. Ludzie nie zawsze są najszczęśliwsi wtedy, gdy sytuacja gospodarcza jest dobra – dodaje. – Byliśmy na spotkaniu w szkole z uczestnikami wydarzeń sprzed trzydziestu lat. Powiedziałem wtedy, że w czasach NRD związki z ludźmi były silniejsze i serdeczniejsze. I wielu dawnych dysydentów potraktowało to jak objawienie: tak właśnie było! To nie znaczy, że NRD była lepsza niż dzisiejsze Niemcy. To była dyktatura. Poza narodzinami dzieci wydarzenia z jesieni 1989 roku były najważniejsze w moim życiu. Zbrodniczy reżim upadł.

5

– To trochę przerażające, że nawet lewicowcy w starszym wieku są tu niechętni przybyszom. Mówią, że to w większości imigranci ekonomiczni, a nie żadni uchodźcy uciekający spod gruzów zbombardowanych domów. Może i tak, ale przecież miejscowi Niemcy chcieli się przed trzema dekadami wydostać z NRD na zachód właśnie po to, by lepiej żyć, zarabiać i wydawać w zachodnich markach – mówi mi emerytowana wykładowczyni uniwersytetu w pobliskiej Jenie, mieszkająca w Arnstadt. Prosiła o niepodawanie nazwiska, bo to bardzo niepopularny pogląd.

Na starym mieście cudzoziemcy są bardzo widoczni, wieczorem na uliczkach wśród pięknie odnowionych kamienic słychać częściej języki egzotyczne niż niemiecki. Jest kilka barów z kebabami, są sklepy z arabską żywnością, jeden prowadzi znający tylko podstawowe słowa po niemiecku Syryjczyk, któremu jednak dzielnie pomaga po zajęciach w szkole córka.

W weekendy pojawiają się niemieccy turyści. Arnstadt, które do końca pierwszej wojny światowej było największym miastem malutkiego księstwa Schwarzburg-Sondershausen, ma sporo atrakcji. Największe zainteresowanie turystów budzi Bachkirche, kościół Bacha. To tu w wieku osiemnastu lat rozpoczął swoją pierwszą pracę, jako organista, Jan Sebastian Bach. Jego pomnik jest atrakcją na rynku. Arnstadt posługuje się nawet dodatkową nazwą: Bachstadt, Miasto Bacha. Jest tu również muzeum lalek. W informacji turystycznej dowiaduję się, że odwiedzający pytają też o wydarzenia sprzed trzydziestu lat. I oglądają niewielki pomnik z napisem „Cóż to za życie", który postawiono na Holzmarkcie.

Arnstadt ma teraz dwadzieścia siedem tysięcy mieszkańców, kilka tysięcy mniej niż w ostatnim roku istnienia NRD – wielu zaraz po upadku muru wyjechało na zachód. W ostatnich wyborach do rady miasta, w maju 2019 roku, trzy pierwsze miejsca zajęły partie prawicowe, zdobywając wspólnie pięćdziesiąt cztery procent głosów. Na pierwszym miejscu mocno prawicowe lokalne stowarzyszenie Pro Arnstadt, na drugim jeszcze bardziej prawicowa i izolowana przez partie głównego nurtu Alternatywa dla Niemiec, a na trzecim CDU – prawica głównego nurtu.

Stowarzyszenie Pro Arnstadt założył jeden z bohaterów wydarzeń z 1989 roku Hans-Christian Köllmer, gdy CDU nie chciała go wystawić jako kandydata na burmistrza. Piastował to stanowisko przez trzy kadencje i, co podkreślają nawet jego przeciwnicy polityczni, wiele zrobił dla miasta, od renowacji starówki po przekonanie do inwestycji dużych koncernów. Przeciwników mu nie brakowało, bo zasłynął na cały kraj sympatią do nacjonalistów i populistów; był pierwszym burmistrzem w Niemczech, który się z tym obnosił. Był fanem Jörga Haidera, zmarłego w 2008 roku przywódcy skrajnej prawicy w Austrii.

– Tak, byliśmy zaprzyjaźnieni – przyznał mi Köllmer w 2009 roku; dziesięć lat później już nie chciał rozmawiać. – Haider odwiedził Arnstadt.

Ja odwiedzałem go w Karyntii w jego rezydencji. To był bardzo sympatyczny człowiek. Lewica przesadza z oceną Haidera, czynią z niego diabła. Mamy demokrację, mamy wolność słowa. Nie możemy się cofać do czasów NRD i zabraniać ludziom głoszenia innych poglądów – mówił.

On głosił pogląd, że to niedobrze, iż do władzy dopuszczono ludzi odpowiedzialnych za enerdowską dyktaturę.

Zrobił największą karierę ze wszystkich buntowników z Holzmarktu, choć – jak złośliwie komentował jeden z jego znajomych – przyłączył się do nich i wstąpił do Nowego Forum, gdy nie było to już niebezpieczne. Wyróżniał się na tle innych byłych dysydentów – oni chodzili w dżinsach i kurtkach, on w dwurzędowym garniturze, w okularach w srebrnych oprawkach.

– W życiu trzeba się umieć zareklamować, dobrze sprzedać, czego nie umieją moi dawni, dziś sfrustrowani koledzy. Kariera nie ma nic wspólnego z przypadkiem. Ja nawet w NRD nieźle żyłem, pracując w gastronomii. Zawsze obserwowałem, co warto robić. Inni też mogą – przedstawiał mi przed laty swoje credo.

6

Tradycyjnie zadowolona z przemian jest doktor Johanna Voigt, która wraz z Arndem Effenbergerem zakładała tutejsze Nowe Forum.

– Nie rozumiem, dlaczego inni nie są – mówi pani doktor, wysoka, szczupła, białowłosa. Wciąż prowadzi prywatną praktykę lekarską na starym mieście, dwie minuty spacerem od Holzmarktu. Przyjmuje mnie w swoim gabinecie, na biurku leżą stetoskop, ciśnieniomierz, sterta papierów i opakowania lekarstw, nad nim wisi lampa w japońskim stylu z papierowym kulistym abażurem. Od rana doktor miała wielu pacjentów, starszych Niemców i młodą Arabkę w czarnej chuście na głowie i w czarnej długiej szacie. Towarzyszył jej brodaty mąż. – Może ludzie są rozczarowani, bo myślą, że coś stracili, gdy kraj przyjął tylu cudzoziemców. Ja byłam za przyjęciem. Oni musieli uciekać. Mam pacjentów z Afganistanu, Syrii, Iraku, Libii. Nie mówią po niemiecku lub mówią

bardzo słabo, zazwyczaj przychodzą z tłumaczami, też cudzoziemcami, którzy od dawna są w Niemczech. Powtarzam im: „Chodźcie na kursy, uczcie się”. Integracja musi potrwać.

Johanna Voigt za każdym razem, gdy się widzieliśmy, podkreślała, jak rozwinęła się dawna NRD: w sklepach jest wszystko, można podróżować (ona dotarła nawet do Kanady), a w okolicy pędzić po nowych autostradach.

Poprawiło się nawet na rynku pracy. Dwadzieścia lat temu bezrobocie wynosiło tu dziewiętnaście procent. Teraz jest prawie nieodczuwalne (poniżej pięciu procent). Syn pani doktor nie może znaleźć pracowników do zakładu handlującego częściami zamiennymi do samochodów. To rodzinna firma, była pierwszym w Arnstadt przedsiębiorstwem, które dawni właściciele odzyskali po upadku NRD. Nie odcina się od kraju, który nacjonalizował majątek, sprzedaje też części do samochodów osobowych, dostawczych i ciężarowych enerdowskiej produkcji: wartburgów, trabantów, roburów, barkasów.

– Najważniejsza jest wolność, to zyskaliśmy – mówi Johanna Voigt, która w czasach NRD była inwigilowana przez służbę bezpieczeństwa. Szczególnym zainteresowaniem Stasi cieszyła się jej działalność w gminie ewangelickiej.

Po latach to doktor się zainteresowała, co zawierają jej teczki. W pierwszej znalazła donosy sąsiada, oficera milicji (po zjednoczeniu Niemiec zrobił karierę w policji). Zajmował się spisywaniem rejestracji samochodów, którymi przyjeżdżali do Johanny Voigt goście z Kościoła ewangelickiego z Niemiec zachodnich. Były tam też raporty współpracującej z nią przez lata pielęgniarki, której jako jedynej wybaczyła, bo życie ją ciężko dotknęło – została inwalidką.

Potem dostała kolejne dokumenty, w tym kopię swojej karty osobowej. Pracownicy bezpieki wpisywali, czy dom obserwowanej osoby ma dodatkowe wyjścia albo czy dzwonek jest tylko przy drzwiach mieszkania, czy także przy wejściu do klatki schodowej.

Dopiero dziewiętnaście lat po upadku muru doczekała się odpowiedzi z zajmującego się materiałami enerdowskiej służby bezpieczeństwa urzędu

Gaucka w sprawie dla niej szczególnie ważnej – ujawnienia nazwisk donosicieli. Tajnym współpracownikiem Stasi o kobiecym pseudonimie Marie był nobliwy szef ewangelickiej rady parafialnej. Jego ojciec zajmował podobne stanowisko przed wojną i nie dał się złamać narodowym socjalistom, nawet więcej – ratował niepełnosprawne dzieci przed zgładzeniem w ramach akcji T4, likwidowania „życia niegodnego życia". Syn zdecydował się na współpracę z komunistyczną służbą bezpieczeństwa.

Potwierdziły się też podejrzenia doktor Voigt dotyczące jej szefa w przychodni. Posługiwał się, z niezrozumiałych dla niej przyczyn, rybim pseudonimem Ukelei (ukleja).

– Był ginekologiem. Słabym. Po zjednoczeniu wyjechał z Arnstadt na zawsze na zachód – mówiła mi przed dekadą Johanna Voigt, którą w pracy szpiegował też kierowca karetki pogotowia posługujący się najprostszym pseudonimem Fahrer (czyli właśnie kierowca). – Wszyscy, którzy donosili, nie dostrzegali potem swojej winy. Zapewniali, że chcieli dobrze.

7

30 września 2019 roku w ratuszu na uroczystościach z okazji trzydziestolecia wydarzeń na Holzmarkcie pojawili się ich bohaterowie, a także wielu młodych ludzi, którzy całe życie przeżyli w zjednoczonych Niemczech. Najdłużej spośród byłych dysydentów wytrzymała najstarsza Johanna Voigt. Po zakończeniu powiedziała mi:

– Spotkamy się za kolejne dziesięć lat.

I odjechała na rowerze do domu.

Jajo ortolana

2019

Poprzednim razem byłem w Zittau, saksońskim mieście leżącym u zbiegu granic z Polską i Czechami, dwadzieścia lat temu. Wtedy, w spokojny lipcowy weekend, w południowej dzielnicy zabudowanej czteropiętrowymi klockowatymi blokami z czasów NRD ktoś wrzucił do skrzynek pocztowych ulotkę, z której wynikało, że miasto przez pomyłkę należy do Niemiec i 1 stycznia 2002 roku znajdzie się w Polsce – miejscowi stracą niemieckie obywatelstwo, a zostać w mieście zwanym po polsku Żytawa będą mogli tylko wtedy, jeżeli wykażą się znajomością języka polskiego „w mowie i piśmie".

Ulotka wyglądała jak pismo urzędowe. Opatrzona była nagłówkiem „Saksońskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Minister Klaus Hardraht" i stemplem „Wolne Państwo Saksonia". Tłumaczyła mieszkańcom, że przebieg granicy między Polską a Niemcami nie odpowiada ustaleniom konferencji jałtańskiej (powinna przebiegać 5,24 kilometra na zachód od miasta), a więc trzeba to przeoczenie naprawić i oddać Zittau Polsce.

1

– W przeciwieństwie do wielu tutejszych Niemców nie oceniam Polaków źle, nie uważam, że tylko kombinują i kradną. Ale to nie znaczy, że chciałabym się znaleźć nagle w granicach Polski. Przez chwilę myślałam więc o pożegnaniu z Zittau, przecież w moim wieku nie nauczę się już polskiego – mówiła mi wtedy Hansi Zumpe, pięćdziesięcioszećciolatka

mieszkająca w jednym z odnowionych bloków. Kiedyś pracowała w pobliskiej kopalni odkrywkowej węgla brunatnego, ale gdy zakład zamknięto, nigdy już nie zatrudniono jej nigdzie indziej. Była jednak, jak niewielu jej rówieśników, pogodzona z upadkiem NRD. – Po przeczytaniu ulotki po raz drugi uznaliśmy z mężem, że to dowcip. Choć niektórzy uwierzyli. Poza tym władze miasta zapewniły przez lokalne radio i telewizję, że nie przechodzimy pod polską administrację – dodała z uśmiechem, patrząc, jak jej wnuczka buja się na huśtawce wśród suszących się na sznurkach prześcieradeł.

Wszystko to działo się pięć lat przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Osiem lat przed wejściem Polski do strefy Schengen, gdy granica przestała być kontrolowana. Oraz czternaście lat przed powstaniem Alternatywy dla Niemiec, która w ostatnich wyborach do rady miasta Zittau, 26 maja 2019 roku, zdobyła 23,7 procent głosów i wygrała.

2

– Nic takiego nie pamiętam – mówi Jana Ulbrich, dziennikarka z lokalnego oddziału „Sächsische Zeitung", największego dziennika w landzie, gdy pokazuję jej ulotkę sprzed dwudziestu lat. Redakcja mieści się w kamienicy przy podłużnym, pięknie odnowionym placu w starej części miasta.

– Jak to? – dziwię się. Przecież wówczas w ratuszu urywały się telefony z pytaniami o przejście miasta pod polską kontrolę, a na rynku stały wozy transmisyjne najpopularniejszych niemieckich telewizji.

– Byłam wtedy szefową oddziału, a pracę tu zaczęłam zaraz po upadku muru berlińskiego, chyba nie mogłoby mi coś takiego umknąć? – dodaje Jana, elegancka i tryskająca energią. Siada do komputera i przeszukuje redakcyjne archiwum. Wrzuca hasła „ulotka", „Polska", „granica", „Hardraht" (ówczesny szef saksońskiego MSW, wymieniony w nagłówku ulotki), ogranicza poszukiwania do 1999 roku. I nic nie znajduje.

Pamięta inną historię, „chyba z 1993 roku", gdy jakiś mężczyzna stał przy prowadzącej do polskiej granicy Chopinstrasse z plakatem „Nie

kupuję u Polaków”:

– To wywołało protesty, bo przypominało hasło z Trzeciej Rzeszy „Nie kupuj u Żydów”.

W tamtych czasach, kilka lat po upadku komunizmu, w Polsce prawie wszystko było tańsze, Niemcy z Zittau kupowali w Sieniawce, leżącej po drugiej stronie Nysy Łużyckiej, nawet chleb i masło. Teraz znacznie atrakcyjniejsze cenowo pozostały papierosy.

Zdaniem Jany Ulbrich mimo upływu lat postrzeganie Polaków w Zittau niewiele się zmieniło. Po wejściu Polski do strefy Schengen liczba przestępstw popełnianych tu przez przybyszów z drugiej strony granicy nawet wzrosła (pokazuje mi dane policji).

– Polacy przyjeżdżają i kradną samochody, wielu staje przed sądem. To ludzi porusza – mówi.

I to napędza wyborców AfD. W ten sposób Polacy wpływają na losy wyborów w Saksonii.

W gazecie Jany Ulbrich można było ostatnio przeczytać o złodziejach, którzy zanim wrócili na drugi brzeg Nysy Łużyckiej, grasowali w nocy po pobliskim saksońskim miasteczku, próbowali się włamać do różnych budynków i ciężarówki, a w końcu ukradli silnik do maszyny rolniczej. Pisano także o pustoszeniu pól kukurydzy kilka kilometrów dalej czy włamaniach do przedszkola i prywatnej firmy – choć w tych przypadkach bez sugestii, skąd byli sprawcy.

– Granice są otwarte, ale miejscowi wciąż czują się odcięci od świata. Zapomniani na samym krańcu Niemiec. Niewielu widzi korzyści w tym, że obok są teraz łatwo dostępne Czechy i Polska. Od upadku muru berlińskiego w Saksonii zawsze rządziła CDU, najpierw sama, potem w koalicji. I co robiła CDU? Zamykała szkoły, likwidowała etaty w policji, a ludzie tu mają codziennie do czynienia z pograniczną przestępczością. Emerytura nie wystarcza na miejsce w domu opieki. Kluczowy jest problem uchodźców, pojawili się ludzie, o których nie wiadomo, kim są. I dla nich było wszystko, a jak mówią miejscowi, dla nas brakuje. Wielu zajęło wobec tego napływu przybyszów takie stanowisko jak oficjalnie Polska: u nas to nie przejdzie – tłumaczy popularność AfD dziennikarka „Sächsische

Zeitung”. – Teraz CDU w kampanii wyborczej obiecuje tysiąc nowych policjantów, naśladując Alternatywę, ale kto w to uwierzy?

Czytelnicy skarżą się też, że nową drogę buduje się tu od dwudziestu lat i końca nie widać. Ma prowadzić do Czech przez kawałeczek terytorium Polski. Czeski i polski odcinek już dawno są gotowe, a niemiecki nie.

– Wszystko z powodu ustaw o ochronie przyrody. To miejsce lęgowe małego ptaka, ortolana z rodziny trznadli. Trzy razy już zmieniano przebieg drogi, by nie zagrozić jajom ortolanów. Mieszkańcy się denerwują, że dba się nie o ich interesy, lecz ptaków. To wszystko pcha w objęcia Alternatywy dla Niemiec – mówi Jana Ulbrich.

3

Ulotkę z 1999 roku pamięta nadburmistrz Thomas Zenker. Przyjmuje mnie w imponującym gmachu ratusza, zbudowanego w stylu weneckiego *palazzo*.

– Nie mieszkałem wtedy w Zittau, ale regularnie tu bywałem, to moje rodzinne miasto. Zapewne była to prowokacja lewicowych anarchistów. Wtedy byli aktywni w Zittau i okolicy, organizowali wiele skierowanych przeciwko prawicowym ekstremistom happeningów, malowali graffiti. To do nich pasuje. Ale to tylko podejrzenia – mówi Zenker, który w czasie gdy NRD zniknęła z map, miał czternaście lat. To przedstawiciel nowoczesnej generacji wschodnich Niemiec, reprezentuje stowarzyszenie wyborców „Zittau kann mehr” („Zittau może więcej” – drugą siłę po AfD w radzie miasta), którego poglądy określa jako bliskie Zielonym i lewicowym liberałom.

Dlaczego lewicowi anarchiści mieliby być autorami ulotki, która straszyła przyłączeniem miasta do Polski? Można się tego domyślić po przeczytaniu pierwszego zdania tego pisma do „Wielce Szanownych Mieszkańców i Mieszkanek Miasta Zittau” z 23 lipca 1999 roku. Wynikało z niego, że „na wniosek niemieckich Zrzeszeń Wypędzonych w Bundestagu wschodnia granica Niemiec została ponownie zmierzona” z efektem niekorzystnym dla wnioskodawców. Zrzeszenia to fikcja, ale prawdziwy

Związek Wypędzonych ledwie kilka lat wcześniej nie chciał się zgodzić na ostateczne uznanie, że tereny za Odrą i Nysą Łużycką należą do Polski, a w czasie gdy pojawiły się ulotki, domagał się, by władze Niemiec postawiły weto w sprawie przyjęcia Polski do Unii Europejskiej, jeżeli „nie uleczy ran” wysiedlonych, zwracając majątki i płacąc odszkodowania.

W 1999 roku policja poszukiwała dwojga ludzi w wieku około dwudziestu pięciu lat, których widziano przy łatwo dostępnych skrzynkach pocztowych na osiedlu z czasów enerdowskich. Wszystko wskazuje na to, że nigdy ich nie odnaleziono. A sprawa nie była błaha. Jak mi wówczas mówił prokurator Nils Rittscher, z którym spotkałem się w monumentalnym gmachu sądu, groziło im do pięciu lat pozbawienia wolności. W końcu sfałszowali urzędowe pismo, a na dodatek niewykluczone, że okrągła pieczęć Wolnego Państwa Saksonii, którą stemplowano ulotki, była prawdziwa.

Przed dwudziestu laty w ratuszu przyjmował mnie nadburmistrz Jürgen Kloss, oczywiście z CDU, jak wówczas prawie wszyscy ważni w Saksonii. Utrzymał władzę przez dwie kadencje. On nie ukrywał, że Niemcy kojarzą Polaków z kradzieżami samochodów.

– Dwa lata temu i ja stałem się ofiarą polskich złodziei. Skradziono mi służbowe audi – opowiadał.

Skąd pewność, że zrobili to Polacy?

– Akurat co do tego nie mam specjalnych wątpliwości. – Uśmiechnął się tajemniczo i po chwili wyjaśnił: – Skradziono je z dziedzińca ratusza w Bogatyni.

Obecny nadburmistrz, młodszy o dwa pokolenia i zdecydowanie wyższy, jest ostrożny w ocenach Polaków. Jego zdaniem skojarzenia nie są już tak jednoznacznie negatywne, choć przyznaje, że w ostatnich miesiącach zdarzyło się stosunkowo dużo kradzieży samochodów budowlanych i traktorów:

– Jasne jest, że wiele znika za Nysą. Często kradzieże organizują wspólnie Polacy, Czesi, Ukraińcy oraz Niemcy – mówi Thomas Zenker.

Dla niego ważnym tematem są ekologiczne problemy stwarzane przez sąsiednią polską Bogatynię. Pokazuje mi na smartfonie mapę z Google’a,

na której widnieje wielka biała plama, dwa razy większa niż całe Zittau. To polska kopalnia węgla brunatnego, która wciąż poszerza swoje terytorium. No i jest jeszcze elektrownia, której gigantyczne dymiące kominy widać z drogi prowadzącej ze stolicy powiatu, Görlitz, do Zittau.

– Piszemy z czeskimi kolegami z Hrádka nad Nisou i Liberca, jakie to sprawia kłopoty. Po pierwsze kurz, po drugie hałas, po trzecie zanikanie wód gruntowych. Taki rodzaj kurzu jest tylko w dużych miastach i u nas – skarży się i dodaje, że tu węgiel jest wszędzie, także pięć metrów pod ratuszem. Ale po niemieckiej stronie granicy po upadku muru berlińskiego się go nie wydobywa. Zadecydował o tym ostatni, już demokratycznie wybrany rząd NRD.

4

„Sächsische Zeitung" nie izoluje polityków Alternatywy dla Niemiec. W kampanii wyborczej każdy kandydat w okręgu jednomandatowym dostał tyle samo miejsca na wywiad, także ten z AfD.

– Zresztą aktywiści AfD to nie są żadni prawicowi ekstremiści. To znaczy są tam i tacy, ale znaczna większość to normalni ludzie, którzy rozczarowali się polityką CDU – mówi Jana Ulbrich.

Jak krótko scharakteryzowałaby lokalnych polityków Alternatywy?

– Głównie mężczyźni od czterdziestego piątego roku życia w górę.

W Zittau, okręgu numer sześćdziesiąt w wyborach do saksońskiego landtagu, kandydatem partii jest Christian Siegert, lat sześćdziesiąt cztery, inżynier rolnictwa, specjalizujący się, jak sam zaznaczył w partyjnych materiałach reklamowych, w ochronie przyrody i rolnictwie (na zdjęciu występuje z sową). Nie udało mi się z nim porozmawiać, nie odpowiedział na moją prośbę.

W wywiadzie dla „Sächsische Zeitung" oprócz krytykowania energii wiatrowej, z której miliardowe środki powinny jego zdaniem pójść na energię atomową („skrzydła wiatraków zabijają rocznie w Niemczech

tysiąc sto myszołowów, dwa tysiące czterysta kań, dwadzieścia cztery tysiące nietoperzy”), wypowiada się też na temat polityki imigracyjnej.

„Uchodźca, który u siebie musi się obawiać o życie, ma prawo u nas zostać. Ale uchodźców gospodarczych w ogóle się nie powinno wpuszczać. Przyczyny, które ich sprowadzają, powinny być zwalczane na miejscu. A przestępców należy deportować”. Spytany o brak rąk na niemieckim rynku pracy – dotyczy to zwłaszcza opiekunów dla osób starszych (lokalna AfD wykazuje w swoich wystąpieniach troskę o seniorów) – odrzekł, że rozwiązaniem nie jest sprowadzanie „analfabetów”.

O imigrantach mówi się dużo podczas kampanii wyborczej w Saksonii, choć jak na Niemcy nie są tu liczni. Według danych z 31 grudnia 2018 roku w tym landzie było 207 515 cudzoziemców, co stanowi 5,1 procent mieszkańców, a średnia dla całej Republiki Federalnej to 13,2 procent. Oczywiście nie wszyscy są uchodźcami.

– W Zittau odsetek cudzoziemców jest nieco wyższy niż w całym landzie, ale my tu mamy uczelnię, na której studiują, i kolegium dla obcokrajowców. W 2015 roku dotarło do miasta maksymalnie siedmiuset uchodźców, z tego do dziś zostało trzystu. Nie bardzo rozumiem, dlaczego ma to być problem; przecież od czasu upadku muru berlińskiego Zittau straciło kilkanaście tysięcy mieszkańców (teraz ma dwadzieścia sześć i pół tysiąca), którzy ruszyli na Zachód. Na dodatek przyjęcie uchodźców cztery lata temu było dobrze zorganizowane, nie trafili do jednego ośrodka, ale w wiele miejsc – mówi nadburmistrz Zenker.

Wśród tych kilkuset uchodźców dominowali Syryjczycy, było też sporo Afgańczyków i Czeczenów z rosyjskim paszportem.

Nadburmistrz podkreśla, że lokalna AfD w ogóle nie poruszała tematyki imigrantów w czasie kampanii przed ostatnimi wyborami do rady miasta. Miała wyłącznie program komunalny. I wygrała.

5

– Niby tych imigrantów tak mało, ale są bardzo widoczni – mówi wyborca AfD w wieku średnim, wskazując kobiety w muzułmańskich

chustach spacerujące przed ratuszem, jedna z wózkiem dziecięcym. Turcy uwijają się w kilku restauracjach na starym mieście, pełnym pięknych i bogato zdobionych czterokondygnacyjnych kamienic. W jednej jest sklep z warzywami prowadzony przez ledwie mówiącą po niemiecku Azjatkę. W drogerii prawie same klientki o rysach bliskowschodnich.

Mieszkający tu od lat Polak radzi, bym pojechał na osiedle z czasów enerdowskich, gdzie wieczorami pod centrum handlowym „zbiera się ich mnóstwo, wygląda to jak w Mogadiszu".

Jadę tam. Ale poza pracownikiem azjatycko-tureckiego baru Little Panda nie odnajduję nikogo, kto mógłby wyglądać na imigranta. Z radością natomiast zauważam, że jest to osiedle, na którym w 1999 roku wrzucono do skrzynek pocztowych najwięcej ulotek straszących przekazaniem Zittau Polsce. Tam właśnie spotkałem Hansi Zumpe pilnującą wnuczki, która bujała się na huśtawce.

Dziennikarka Jana Ulbrich przyznaje, że nie ma w tym regionie wielu uchodźców i nie stanowią znaczącego odsetka wśród sprawców przestępstw:

– Ale ludzie obserwują w sieciach społecznościowych, co się dzieje w innych częściach kraju, czytają o Erytrejczyku, który wepchnął dziecko pod pociąg we Frankfurcie nad Menem, żyją najgłośniejszymi sprawami z zachodnich landów i wydaje im się, że imigrantów jest więcej. Boją się i myślą, że tak mogłoby być i tu.

Podobnie mówią mi politycy AfD, których spotykam w stolicy powiatu – w pięćdziesięciopięciotysięcznym Görlitz, trzydzieści pięć kilometrów na północ od Zittau. Najważniejszy z nich to Sebastian Wippel, kandydat w tutejszym okręgu jednomandatowym. Nie mieści się w profilu zarysowanym przez Janę Ulbirch, jest młodszy, ma trzydzieści sześć lat. Wysoki, szczupły, w koszuli w kratę. Policjant, przez wiele lat pracował jako funkcjonariusz w zachodnim landzie – Dolnej Saksonii. Wstąpił do AfD zaraz po jej powstaniu, przedtem był w liberalnej FDP.

– Niemcy z zachodnich landów mówią: „Wy nie macie żadnych problemów, bo jest u was tak mało cudzoziemców". Owszem, ale my nie chcemy mieć też kłopotów w przyszłości. Polityk musi myśleć

perspektywicznie. Z danych statystycznych mogę wywnioskować, czy rozwój wydarzeń będzie korzystny dla mojego landu, czy też nie. A niekontrolowany masowy napływ przybyszów właśnie z krajów arabskich i północnoafrykańskich nie jest dobry – podkreśla Wippel.

Próbuję mu zrobić zdjęcie, gdy pod niebieskim parasolem z napisem Alternatywa dla Niemiec rozmawia z potencjalnymi wyborcami. Nie pozwala mi, bo pali papierosa, a to „niedobry przykład" dla społeczeństwa.

6

– Pytałem Arabów, którzy u nas teraz mieszkają: „Kiedy wracacie do domu?". A oni na to, że zostają, bo bardzo im się tutaj podoba, życie jest wspaniałe. To przecież zmieni naszą kulturę, wpłynie na przestępczość, widzimy to już w dużych miastach na zachodzie. I tego nie chcemy – mówi najważniejszy polityk AfD w Görlitz.

Jego konkurentem w okręgu jednomandatowym numer pięćdziesiąt osiem jest premier Saksonii, Michael Kretschmer z CDU, urodzony w 1975 roku w Görlitz.

Kretschmer w kampanii chętnie przyznaje się do błędów, które AfD wytyka saksońskim rządom, i przejmuje jej hasła, zapewniając, że zatrudni tysiąc policjantów – a jak będzie trzeba, to wykształci się jeszcze więcej. „Bo Saksonia powinna być najbezpieczniejszym landem w całych Niemczech" – powiedział miejscowej telewizji publicznej MDR.

Rok wcześniej w wywiadzie dla stołecznego dziennika „Berliner Morgenpost" wyliczał „obiektywne problemy" związane z uchodźcami: przez nich brakuje miejsc w przedszkolach i szkołach, a część nie przestrzega „naszych wartości i praw" i „zagraża współżyciu" w społeczeństwie. Na pytania, czy islam jest częścią Saksonii – tak twierdził jego poprzednik na czele saksońskiego rządu Stanislaw Tillich, też z CDU – Kretschmer odpowiedział wykrętnie, że muzułmanom, którzy stawiają religię ponad konstytucję, trzeba dać wyraźnie do zrozumienia: tak w Niemczech żyć nie można. Udzielał wywiadu kilka dni po zapewnieniach szefowej partii i kanclerz Angeli Merkel, że islam też jest częścią Niemiec.

Premier Kretschmer stara się prześcignąć Alternatywę dla Niemiec w prorosyjskości. Wbrew polityce CDU na poziomie federalnym. W czerwcu 2019 roku pojechał do Petersburga na spotkanie z Władimirem Putinem, w świat poszło zdjęcie, na którym spogląda na rosyjskiego prezydenta z mieszaniną pokory i zachwytu. Zaprosił go do saksońskiej stolicy, Drezna, gdzie w czasach NRD Putin pracował jako oficer KGB. Kretschmer zażądał zniesienia nałożonych na Moskwę unijnych sankcji tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Kretschmer jest przeciwnikiem współpracy z AfD. Ale jeżeli jako premier landu ze mną nie wygra, to mam nadzieję, że umocni w ten sposób konserwatywne skrzydło w saksońskiej CDU. Dzięki temu można sobie wyobrazić, że wejdziemy do rządu, nawet nie czekając na następne wybory do landtagu. Pod warunkiem, że CDU się zmieni i przyjmie najważniejsze punkty naszego programu – mówi Sebastian Wippel.

Wsłuchując się w wypowiedzi miejscowych polityków CDU, odnosi się wrażenie, że nie powinno to być trudne – już w wielu sprawach mówią jak AfD.

7

Ostritz. Miasteczko mające nieco ponad dwa tysiące mieszkańców leży w połowie drogi między Görlitz a Zittau przy linii kolejowej łączącej te dwa miasta. Jednak stacja kolejowa dla Ostritz, choć zatrzymują się na niej tylko niemieckie pociągi, znajduje się po polskiej stronie granicy i nosi nazwę Krzewina Zgorzelecka. Trzeba do niej przejść po małym i wąskim moście nad Nysą Łużycką. Oficjalnie most jest dla pieszych i rowerzystów, ale nocami złodzieje przeciskali przez niego ukradzione w Niemczech samochody. Teraz jest to już niemożliwe. Od kilku tygodni przed wejściem na most od strony niemieckiej leży głaz narzutowy. Miejscowy radny, aktywny w mediach społecznościowych, cieszył się, że droga dla kradzionych aut została zablokowana. Ale ten głaz to ledwie mały kamyczek w walce z przestępczością na granicy, dodał.

W Ostritz jest posterunek policji. Ostał się, choć miał paść ofiarą redukcji etatów; mieszkańcy wybronili go, podpisując petycję. W dni powszednie widać tu nawet konne patrole. Ale w weekendy nikt na posterunku nie odbiera telefonów.

– Powinien działać na okrągło. Nie można przecież poprosić złodziei, by kradli wyłącznie od poniedziałku do piątku w godzinach urzędowania – ironizuje Lutz Jankus, szef klubu AfD w radzie miasta Görlitz.

Jankus nieoczekiwanie okazuje się obrońcą dobrego imienia Polaków. Tłumaczy, że przestępcami na pograniczu są głównie oni, bo to granica z Polską. Niestety, wielu zwykłych ludzi raczej nie udaje mu się przekonać, są sąsiadom zza Nysy nieprzychylni, przyznaje. Jego pozytywne nastawienie do naszego kraju ma swoje uzasadnienie. Przed trzydziestu laty na dyskotece w pobliskim Löbau poznał Polkę, która pracowała w tamtejszych zakładach tekstylnych. Została jego żoną. Lutz Jankus świetnie mówi po polsku, jest nawet tłumaczem przysięgłym.

Granica enerdowsko-polska była w Ostritz ściśle strzeżona. Z mostu korzystali głównie Polacy pracujący w pobliskich miejscowościach w NRD, gdzie były duże zakłady tekstylne i kopalnia węgla brunatnego.

Na polskim brzegu jest teraz mały sklepik, handlujący głównie papierosami. Niektórzy stali klienci z Ostritz kupują na zeszyt, u siebie takich możliwości nie mają. Zawsze spłacają kredyty, gdy tylko dostaną wypłatę, chwali Niemców polski sprzedawca.

8

Są w Zittau i polscy przedsiębiorcy. Jako pozytywny przykład i nadburmistrz, i reporterka „Sächsische Zeitung” podają firmę Mega Holz, sprzedającą okna i, jak nazwa wskazuje, produkty z drewna.

Radosław Spychalski jest współwłaścicielem Mega Holz. Drugim jest Niemiec z Düsseldorfu, czyli z zachodu. Poznali się na studiach w Zittau pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Spychalski pochodzi z okolic oddalonego o siedemdziesiąt kilometrów Lubania, gdzie jego rodzice prowadzą przedsiębiorstwo, którego wyroby sprzedaje Mega Holz.

– Trochę stereotypów jeszcze jest, jednak ja jako Polak nie miałem tu większych problemów. Są różnice w mentalności, ale mój wspólnik wciąż widzi różnice także między Niemcami ze wschodu i Niemcami z zachodu – mówi. Niedawno jego znajomy Niemiec odwiedził duże polskie miasta i był pod wrażeniem, jak się rozwijają. Większość miejscowych w ogóle do Polski nie jeździ.

Z doświadczenia Spychalskiego wynika, że Niemcy nie są tak elastyczni jak Polacy, dla nich termin to termin. A gdy się zaparkuje tutaj odwrotnie do kierunku jazdy, to zaraz pojawia się policja.

Pokazuję mu ulotkę z 1999 roku, z czasu, kiedy już był związany z Zittau. Nie widział jej wcześniej, zrobił sobie kopię. Pokazał ją potem swojemu pochodzącemu z Düsseldorfu wspólnikowi. On pamiętał, że ulotki się pojawiły, ale jaki był dalszy ciąg tej historii, nie wiedział.

Jest i inny przykład. Najbardziej tajemniczy Polak w Zittau, biznesmen Zdzisław Niewiadomski. Od dziesięciu lat właściciel budynków najważniejszego zakładu przemysłowego z czasów enerdowskich, fabryki samochodów Robur.

Roburem jeździła na reportaże telewizyjne grana przez Krystynę Jandę dziennikarka w *Człowieku z marmuru* Andrzeja Wajdy. Były autobusy i ciężarówki Robur, także dla wojska.

– Zakład zatrudniał dziewięć tysięcy ludzi, w tym trzy i pół tysiąca w fabryce, która należy teraz do pana Niewiadomskiego – mówi Peter Hoyer, który pracował w niej do zakończenia produkcji, czyli do 1993 roku. Jako instruktor napraw jeździł po krajach socjalistycznych w Europie, a także do Angoli, Zambii i Chin. – Były łatwe w obsłudze i bardzo łatwe do naprawy – podkreśla Hoyer, pracujący teraz w niewielkiej firmie odnawiającej stare robury.

Zakłady Robura koło dworca w Zittau wyglądają jak ruina: porozbijane okna, graffiti na murach, zakratowane wejścia i napisy w trzech językach, niemieckim, polskim i czeskim: „Teren prywatny, wstęp wzbroniony”. Nikt w mieście nie wie, co Zdzisław Niewiadomski chce zrobić z gmachem po kultowym zakładzie z czasów NRD. Mówi się, że chciał tam produkować paliwo ekologiczne z oleju rzepakowego. Nadburmistrz Zenker ma nadzieję, że miastu uda się kiedyś odkupić zakład. Po odnowieniu byłby

świetnym miejscem na spotkania i imprezy. Jednak Zenker nie miał okazji porozmawiać z polskim biznesmenem.

Mnie się to udało. Podszedłem pod bramę, nad którą widać jeszcze napis „Robur-Werke”, i zadzwoniłem. Starszy pan wyjrzał przez okno na pierwszym piętrze, przedstawiłem się. Zanim zszedł, rozległo się szczekanie, dwa duże psy bronią dostępu do fabryki.

Usłyszałem, że jest za wcześnie, by mówić, co chce zrobić. Jest zabobonny. To będzie duży temat do rozmowy, ale nie teraz. Potrwa jeszcze co najmniej rok, zanim plany się wykrystalizują. I to właściwie wszystko, czego się dowiedziałem. Zdzisław Niewiadomski, mężczyzna po siedemdziesiątce, prawdopodobnie ze Świętokrzyskiego, bo za oszkloną bramą widać samochód na kieleckich numerach, jest wyraźnie nieufny. Pytania o olej rzepakowy i zainteresowanie władz miejskich budynkiem pozostają bez odpowiedzi.

9

Pomylono kraje. Tak dwadzieścia lat temu zareagował Peter Liesegang, młody wykładowca Instytutu Międzynarodowego w Zittau, małej uczelni mającej siedzibę przy rynku, gdy w radiu usłyszał o ulotkach zapowiadających korektę granic na korzyść Polski.

– Wydawało mi się, że jeżeli już ktoś mówi o przyłączeniu Zittau, to ma na myśli Czechy, a nie Polskę. Miałoby to przynajmniej historyczne uzasadnienie. Czesi są sąsiadami od wieków, Polacy od dekad, od zakończenia drugiej wojny – dodał Liesegang.

Miejscowi nadal lepiej znają Czechy niż Polskę. Mniej dzieci uczy się też polskiego niż czeskiego.

– Jest jedna duża szkoła podstawowa, w której od pierwszej klasy jest czeski. Ale z językami obcymi jest ten problem, że wszyscy chcą opanować przede wszystkim angielski. Już sto lat temu niemieckie dzieci wysyłano z Zittau na wakacje w czeskich domach w Libercu, by nauczyły się języka. Tam też tradycyjnie jeździ się turystycznie, na wędrówki – mówi nadburmistrz Thomas Zenker.

Nazwa Zittau pochodzi od słowiańskiego żyta (w dawnych czasach oznaczającego wszystkie zboża), widać to w odpowiednikach czeskim i polskim: Žitava i Żytawa. Te nazwy odżywają dzięki mapom Google'a i internetowemu systemowi rezerwacji miejsc noclegowych.

Peter Liesegang już przed dwoma dekadami był przekonany, że autorów ulotek nigdy nie poznamy. „Zrobili sobie żart. Jednorazowy. Zmienię zdanie, jeżeli pojawi się tu jakaś Polska Armia Wyzwolenia Żytawy" – mówił wtedy. Do dzisiaj nic o tamtych autorach nie wie. Dawno porzucił Zittau, mieszka w Berlinie, często jeździ po Europie Wschodniej.

– Ale akcja była *cool* – podkreśla.

Dżihadystka z Breitenbach

2019

Ma dziewiętnaście lat, cztery spędziła na Bliskim Wschodzie, służąc ISIS. Bardzo chciałaby wrócić w rodzinne strony we wschodnich Niemczech. Zdecydowana większość mieszkańców sobie tego nie życzy.

Leonora Messing uciekła do Syrii w marcu 2015 roku. Na ostatnim zdjęciu zrobionym w Niemczech widać szczupłą dziewczynkę z grzecznie zaczesanymi włosami, w czarnej sukience z krótkimi rękawami i białym kołnierzykiem. Parę miesięcy później pozowała w czarnym stroju zakrywającym całe ciało, z twarzą włącznie, obok dwóch podobnie wyglądających kobiet, z którymi dzieliła w Syrii jednego męża, niemieckiego dżihadystę.

Ostatnio pojawiły się fotografie, na których wciąż jest w czerni, ale twarz ma już odsłoniętą – umęczoną i zupełnie niedziecięcą. Pozuje z malutką blondwłosą córeczką Habibą, są razem w kontrolowanym przez syryjskich Kurdów obozie dla rodzin dżihadystów w Al-Hawl. Próbuje przekonywać, że to dziecięca naiwność pchnęła ją w objęcia ISIS. Marzy o powrocie do dawnego życia w Niemczech.

Od paru lat stara jej się w tym pomóc ojciec, Maik Messing. Najpierw próbował zorganizować jej wywiezienie z Ar-Rakki, stolicy samozwańczego kalifatu. Potem napisał o niej książkę i wystąpił w poświęconym jej filmie dokumentalnym telewizji publicznej NDR.

Odwiedzam strony rodzinne Messingów po emisji filmu i po ukazaniu się książki na niemieckim rynku. Ojciec Leonory odmawia jednak kontaktów z mediami, wydawnictwo na jego życzenie odprawia zainteresowanych dziennikarzy; był już oblężony przez prasę i nie chce tego przeżywać jeszcze raz. Przyjaciel domu prosi o zrozumienie: ile ta rodzina już przeżyła, ile się nasłuchała…

Gniewnie na moją wizytę reagują krewni Messinga i pracownicy jego sieci piekarń w okolicach Sangerhausen, miasta we wschodnioniemieckim landzie Saksonia-Anhalt. Mają to nazwisko na szyldach. Odwiedziłem kilka, już w pierwszej usłyszałem, że „nie będzie żadnych informacji, żadnych rozmów”. Dzień wcześniej lokalna telewizja MDR powtórzyła film dokumentalny o młodej dżihadystce. Obejrzało go ponad dwieście osiemdziesiąt tysięcy widzów, w tym zapewne wielu klientów Bäckerei Messing.

– Chyba ojciec Leonory zbyt dużo naopowiadał w telewizji i dostał po głowie od rodziny. Sprawa stała się jeszcze głośniejsza, a przecież Niemki, które wyjechały do Syrii i służyły w organizacji obcinającej niewinnym ludziom głowy i przygotowującej zamachy w Europie, nie wzbudzają u nas specjalnej litości. Widzi się w nich terrorystki islamskie, a terroryzm i islam to najgorsze połączenie, jakie tu można sobie wyobrazić – mówi mi miejscowy czterdziestokilkulatek.

Prominentna mieszkanka Breitenbach odkłada słuchawkę, gdy przedstawiam się jako dziennikarz, i więcej jej nie podnosi. Przez Sangerhausen przeszły dwie fale dyskusji o Leonorze. Cztery lata temu, gdy dziewczyna wyjechała, i teraz, gdy chce wrócić z Syrii.

– Zdecydowana większość mieszkańców uważa, że ona powinna tam zostać – przyznaje Frank Schedwill, dziennikarz lokalnego oddziału dziennika „Mitteldeutsche Zeitung”.

2

Leonora mieszkała w Breitenbach. Wioska, która ma dwustu dwunastu mieszkańców, leży oficjalnie w granicach dwudziestosześciotysięcznego

Sangerhausen, ale do miasta jedzie się ponad pół godziny. Pusto tu i cicho, w Breitenbach nie ma żadnego sklepu ani restauracji, rano przyjeżdża samochód z pieczywem, papierosy można kupić w automacie. Nieduże domy ze spadzistymi dachami, krytymi zazwyczaj czerwoną dachówką. Czysto i porządnie. Jaki kontrast z rozedrganą, tłoczną, pełną kurzu Ar-Rakką, w której przez wiele miesięcy mieszkała Leonora. I z pełnym kobiet i dzieci obozem Al-Hawl, w którym teraz przebywa.

Z okien swojego domu w Breitenbach widziała wieżę kościoła Świętego Marcina, uroczego zabytku z ciemnego kamienia wzniesionego w początkach dziewiętnastego wieku.

– Odbywa się tu ledwie jedno nabożeństwo na miesiąc, na które przychodzi dziesięciu, góra kilkunastu wiernych. O sześćdziesięciu mieszkańcach Breitenbach można powiedzieć, że są ewangelikami, jest jeszcze kilku katolików, którzy przybyli na ten tradycyjnie protestancki teren jako wysiedleni ze Śląska po drugiej wojnie światowej. Reszta, czyli znaczna większość, to ludzie bez wyznania – mówi pastor Folker Blischke. Stoi na czele parafii ewangelickiej w Rossli, do której należy znajdujące się piętnaście kilometrów na północ Breitenbach.

Jak dodaje pastor, chrześcijaństwo nie wpływa tu już na kulturę. Większość ewangelików, którzy i tak są mniejszością, to wierni Kościoła tylko na papierze, a nie z przekonania. To przede wszystkim dziedzictwo NRD, w którym z chodzeniem do kościoła konkurowało na tym terenie uprawianie sportu albo hodowla drobiu. Od zjednoczenia Niemiec minęło już prawie trzydzieści lat, ale w tej okolicy ponad dziewięćdziesiąt procent dzieci wciąż przystępuje do *Jugendweihe*, uroczystości wchodzenia w dorosłość propagowanej przez enerdowskie władze komunistyczne jako świecka odpowiedź na ewangelicką konfirmację i katolickie bierzmowanie.

Zanik ewangelickiej wiary ma tu wymiar symboliczny. W powiecie Mansfeld-Südharz, którego stolicą jest Sangerhausen, urodził się w 1483 roku i umarł w 1546 roku Marcin Luter – w drugim co do wielkości mieście Eisleben (oficjalna nazwa ma dodatek Lutherstadt, miasto Lutra).

Leonora zaliczała się do większościowej grupy bezwyznaniowców, podobnie jak jej ojciec. Związki z Kościołem ewangelickim, mówi pastor,

zakończyły się na dziadku po mieczu, twórcy piekarniczego biznesu rodziny.

W Breitenbach nie ma muzułmanów. Na terenie całej parafii Folkera Blischkego, w której mieszka około pięciu tysięcy ludzi, są tylko dwie rodziny muzułmańskie, i to niepraktykujące. Jedna to demonstrujący świeckość Turcy, druga przyjechała tu z Czeczenii w latach dziewięćdziesiątych, ale po stroju ani zachowaniu nie sposób poznać, że mają coś wspólnego z islamem. Jest jeszcze dwóch dojeżdżających do pracy w pizzerii w Rossli mężczyzn, którzy pochodzą z byłej Jugosławii. W sąsiednim miasteczku nienależącym już do tej parafii jedna uczennica przychodzi do gimnazjum w hidżabie, muzułmańskiej chuście.

– Nie pojawił się tu żaden uchodźca z wielkiej fali migracyjnej 2015 roku. Trafili do miast, w tym Sangerhausen, ale nie do tutejszych wsi, bo jak powiedziała radna powiatowa z postkomunistycznej partii Die Linke: „Nie chcemy złej atmosfery”. Ja osobiście uważam, że w liczącej dwa tysiące mieszkańców Rossli dalibyśmy sobie radę, gdyby przybyło do nas pięćdziesięciu uchodźców. – Pastor Blischke nawiązuje do hasła „damy radę”, którym posługiwała się wówczas kanclerz Angela Merkel.

W miejscowościach, których duszpasterzem jest pastor Blischke, w ostatnich wyborach lokalnych i do Parlamentu Europejskiego sukcesy odnosiła posługująca się antyislamską retoryką AfD. W niektórych zajęła pierwsze miejsce.

3

Powrót do ojczyzny nie będzie łatwy, nawet ojciec Leonory przyznaje, że jest ona nie tylko uwiedzioną przez radykalny islam dziewczyną, ale także przestępczynią. Wynika to wyraźnie z książki pod tytułem *Leonora. Wie ich meine Tochter an den IS verlor – und um sie kämpfte* [Leonora. Jak straciłem córkę na rzecz ISIS i o nią walczyłem], którą napisał z dwoma dziennikarzami, Volkmarem Kabischem i Georgiem Heilem, i filmu dokumentalnego pokazanego pierwszy raz w wieczornym paśmie centralnej telewizji publicznej ARD, które ma ponad milion widzów.

Głównym autorem filmu jest wspomniany Volkmar Kabisch, który studiował nauki o islamie w Niemczech i Egipcie, a jako dziennikarz specjalizował się w sprawach Bliskiego Wschodu. To on rozmawiał z Leonorą w obozie Al-Hawl i z jezydką, którą kupił, a potem odsprzedał z dużym zyskiem rodzinie mąż Leonory.

„On zaprzecza, że chciał na niewolnicy zarobić. Może to być uznane za zbrodnię wojenną, o tym jednak zadecyduje sąd. Ja nie znalazłem dowodów na to, że dopuścił się na niej gwałtu” – podkreśla Volkmar Kabisch, z którym kontaktowałem się mejlowo.

Jak dodaje, sąd będzie też musiał ustalić, co mąż Leonory robił w aparacie bezpieczeństwa ISIS. Jest jasne, że zaczynał w policji religijnej, zwanej *hisba*, a potem przeniósł się do tajnych służb. On sam twierdzi, że pracował jedynie w „wydziale technicznym”.

„Wątpię, by tak było, ale nie mogę dowieść, że brał udział w egzekucjach czy torturowaniu. Jestem jednak pewien, że jako pracownik tajnych służb przesłuchiwał co najmniej dwóch Niemców” – podkreśla dziennikarz. Leonora, choć temu zaprzecza, zapewne też współpracowała z tajnymi służbami ISIS: „Są na ten temat zeznania świadków”.

Przed jej domem w Ar-Rakce spalono w klatce pięciu mężczyzn, o czym w żartobliwym tonie informowała drogą internetową swojego ojca.

4

Jak piętnastolatka z wioski Breitenbach, z której do najbliższego meczetu jest osiemdziesiąt kilometrów, stała się radykalną muzułmanką? Zainteresowała się islamem przez internet. Ojciec o tym wiedział, nawet zachęcił ją, by kupiła niemieckie tłumaczenie Koranu.

Leonora Messing miała bliską koleżankę, wyznającą islam Kurdyjkę o imieniu Emine. Chodziły razem do szkoły w Sangerhausen, do której dojeżdżała autobusem. Droga do miasta prowadzi przez wąskie i często kręte drogi. Niedaleko stąd do gór Harz, zdarzają się wąwozy, skały. Mija się lasy liściaste, które jesienią przybierają barwy czerwieni, brązu i żółci,

pola, na których pasą się owce, i sady owocowe. Bardzo malowniczo i zupełnie inaczej niż na Bliskim Wschodzie.

Gdy w 2015 roku Emine dostała poprzez komunikator internetowy informację od koleżanki, że ta jest już w Turcji, blisko Syrii, była przerażona i namawiała ją do powrotu. Bezskutecznie.

Przed ucieczką Leonora sprawiała wrażenie przeciętnej nastolatki, nawet nagrywała filmiki na YouTubie, w których pokazywała nowe szminki i lakiery do paznokci. Ojciec przeoczył, że robi sobie także zdjęcia w czarnym arabskim stroju i prowadzi dziennik pełen wpisów o Allahu, który dał jej dużo siły. Odkryli go w domu w Breitenbach śledczy.

Dlaczego nagle postanowiła porzucić spokojne życie na niemieckiej prowincji? „Może poczuła się niepotrzebna w rodzinie?" – mówi narrator w filmie dokumentalnym. Jej rodzice się rozwiedli, ojciec znalazł sobie nową żonę. Zdjęcie Leonory, grzecznie uczesanej i w sukience z krótkimi rękawami, zrobiono na jego ślubie.

Już wtedy uważała się za muzułmankę, już wtedy chciała wyjechać do Syrii, co nastąpiło parę miesięcy później. Przed wyjazdem planowała też ślub z Niemcem – znała tylko jego arabskie imię Nihad Abu Jasir (w Syrii jeszcze czasem dodawał do tego Al-Alamani, czyli Niemiec). Autorzy książki *Leonora* opisują, jak nastolatka radykalizowała się na islamskich forach internetowych, gdzie miała konto oficjalne i nieoficjalne – z arabskim pseudonimem. Męża poleciła jej ukrywająca się pod arabskim pseudonimem Francuzka, która przyjechała do Niemiec na studia. Leonora poznała ją poprzez stronę internetową sklepu z muzułmańskimi strojami. Francuzka była pierwszą żoną Nihada Abu Jasira; jeszcze w Niemczech poślubił też drugą kobietę – uchodźczynię z Dagestanu. Leonora, stuprocentowa Niemka, tak bardzo chciała być muzułmanką, że w wirtualnym świecie chwaliła się swoimi rzekomymi tureckimi korzeniami i odwiedzinami w Turcji u rodziny babci po kądzieli.

Nihad Abu Jasir, rocznik 1990, naprawdę nazywa się Martin Lemke i jest z zawodu spawaczem. Pochodzi z miasta Zeitz, leżącego jak i wioska Leonory w landzie Saksonia-Anhalt. Tam też nie było muzułmanów, przynajmniej w czasie gdy on, czując, że czegoś mu brakuje w życiu, zwrócił się ku islamowi. Było to w roku 2010. Stał się uczniem

radykalnego imama z meczetu Ar-Rahman w Lipsku i szybko zainteresował się nim niemiecki kontrwywiad. Na Facebooku Martin wzywał bowiem do wprowadzenia szariatu w Niemczech, nawiązał też kontakt listowny z siedzącymi w niemieckim więzieniu islamistami.

Piętnastoletnia Leonora, gdy dostała propozycję poślubienia nieznanego jej mężczyzny i zobaczyła jego zdjęcie, napisała w pamiętniku: „Jest bardzo piękny i słodki". Potem wyjechała do Syrii i poznała go osobiście – robił karierę w strukturach ISIS. Początkowo było zachwycona. Jak mówiła w wysłanej do ojca wiadomości głosowej, dał jej z okazji ślubu złoty łańcuch i siedemset pięćdziesiąt dolarów w gotówce. Chwaliła się też mieszkaniem w Ar-Rakce, ze ścianami w jej ulubionym liliowym kolorze i bez kanap jak w Niemczech, za to z mnóstwem poduszek.

Sielanka nie trwała jednak długo, Leonora zrobiła się zazdrosna o pozostałe żony. Po paru miesiącach chciała uciec. Mimo że ojciec pojechał na tereny opanowane przez ISIS, by jej w tym pomóc, i był już z nią nawet umówiony w Ar-Rakce, wiedział, jak ją rozpoznać w tłumie ubranych na czarno kobiet, nagle kontakt się urwał. Przez wiele tygodni nie wiedział, czy córka żyje.

Teraz Leonora ma dziewiętnaście lat, razem z dwójką dzieci przebywa w obozie Al-Hawl. Jest tam także Martin Lemke. W rozmowie z Volkmarem Kabischem zapewniał, że nie dopuścił się żadnej zbrodni, nikogo nie zabił, a jezydzką niewolnicę kupił, bo była chora i chciał jej pomóc, tak jak nakazuje islam. Trudno w to uwierzyć.

5

Leonora nie jest jedyną nastolatką z Niemiec wschodnich, która uciekła z domu rodzinnego na teren kontrolowany przez ISIS. Wcześniej najwięcej było słychać o Lindzie Wenzel z Pulsnitz pod Dreznem w Saksonii. W lipcu 2017 roku złapano ją wraz z odziałem uzbrojonych dżihadystek cudzoziemek w tunelu pod irackim Mosulem, największym miastem znajdującym się w granicach samozwańczego kalifatu. Miała wtedy szesnaście lat. Była ranna. Zdjęcie schwytanej przez iracki oddział młodej

Niemki zamieściła wówczas jezydzka posłanka Wian Dachil, która określiła ją mianem „snajperki ISIS". „Chcę do domu!" – powiedziała Linda przesłuchującym ją prokuratorom. Po rocznym pobycie na Bliskim Wschodzie miała dość wojny, broni, hałasu.

Kilka miesięcy później usłyszała wyrok w sądzie w Bagdadzie, co nagłośniły obserwujące proces niemieckie media. Łagodny, sześć lat więzienia. Nie jest jasne, czy jako nastolatce groziła jej kara śmierci, choć premier Iraku publicznie stwierdził, że jeżeli nieletni mordują niewinnych ludzi, to mogą być za to powieszeni.

Nie udało się udowodnić, że brała udział w zabijaniu, choć krążyły pogłoski, że sama przyznała się do strzelania do irackich żołnierzy. Oficjalnie Linda twierdziła, że nie miała nic wspólnego z walkami, była „gospodynią domową".

Sąd uznał ją za winną udziału w organizacji terrorystycznej. Była między innymi w składającej się głównie z cudzoziemek żeńskiej brygadzie Al-Chansaa, która wykonywała zadania policji obyczajowej. Brygada wyłapywała kobiety, które nie przestrzegały surowych zasad szariatu. Za nieodpowiedni ubiór, niedostatecznie ukrywający żeńskie kształty, wymierzano karę kilkudziesięciu batów.

Linda również zainteresowała się radykalnym islamem przez internet i również mieszkała w okolicy, w której nie było muzułmanów. W Syrii poślubiła czeczeńskiego dżihadystę, który zginął w czasie bitwy o Mosul, dokąd się razem przenieśli.

Rząd Niemiec nie sprowadza do kraju niemieckich dżihadystów. W sierpniu 2019 roku po raz pierwszy zorganizował wywiezienie z Syrii trzech sierot po poległych niemieckich bojowniczkach ISIS, w wieku od dwóch do siedmiu lat, oraz chorego niemowlęcia, którego matka żyje i jest nadal w obozie Al-Hawl. Była to skomplikowana, przygotowywana w tajemnicy operacja. Wymagała współpracy z oddziałami Kurdów syryjskich z Powszechnych Jednostek Ochrony, które Ankara, ważna dla Berlina, uważa za filię Partii Pracujących Kurdystanu, organizacji terrorystycznej tureckich Kurdów. Szef dyplomacji Heiko Maas powiedział, że władze niemieckie będą się starały sprowadzić pozostałe dzieci

niemieckich dżihadystów. Jest ich około setki. „One nie są odpowiedzialne za czyny swoich rodziców” – podkreślił.

A co z dorosłymi? Co z Leonorą? Wielu Niemców nie chce, by ci, którzy służyli ISIS, wchłaniali fundamentalistyczną propagandę i wcielali ją w życie, wrócili do ojczyzny. Mogą być niebezpieczni, poza tym powinni odpowiedzieć za swe zbrodnicze czyny tam, gdzie się ich dopuszczali.

Władze tłumaczą, że nie mogą się zajmować obywatelami niemieckimi w Syrii, bo nie prowadzą na jej terenie działalności konsularnej – placówka w Damaszku jest od kilku lat zamknięta.

„Osobiście uważam, że wcześniej lub później rząd będzie musiał zabrać Niemców i to zrobi. Ale to wróżenie z fusów. Jest jasne, że Leonora chciałaby wrócić do Niemiec, choć wie, że mógłby ją tu czekać proces” – twierdzi Volkmar Kabisch.

Pytam pastora Folkera Blischkego, czy mieszkańcy Sangerhausen i okolic boją się, że ich dzieci ulegną fanatykom i spotka je taki los jak Leonorę, zwykłą, jak się wydawało, dziewczynę z niemieckiej prowincji.

– To jest tak szalona historia, że nikt nie wierzy, by w jego rodzinie mogło się wydarzyć coś podobnego – odpowiada.

Mama Żydówka, tata esesman i komunista

2019

Rudolf Dörrier żył sto trzy lata. Widział kilka epok: cesarstwo, Republikę Weimarską, Trzecią Rzeszę, NRD i zjednoczone Niemcy. Był wybitnym archiwistą. Wszystko, co o nim było wiadomo, pochodziło od niego samego. Dużo o sobie pisał, opowiadał. Wybudował sobie pomnik, na którym głębokie rysy pojawiły się kilkanaście lat po jego śmierci.

Wypłynęły wtedy dwa dokumenty, jeden z Państwowego Archiwum Wojskowego w Moskwie, drugi z archiwum byłej enerdowskiej służby bezpieczeństwa Stasi. Dowodzą, że przez osiem miesięcy, które Dörrier miał, jak sam twierdził, spędzić w niemieckiej armii, służył w SS. I to w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, trzydzieści pięć kilometrów na północ od Berlina.

Czy suche dane z odnalezionych dokumentów oddają prawdę o tym, co działo się pod koniec drugiej wojny światowej? I, przede wszystkim, a tak twierdzą jego córka i przyjaciele, czy służba w SS była jedynym sposobem na uratowanie najbliższej rodziny Dörriera? Bo miał żonę Żydówkę.

1

Holokaust, SS, NRD. Wyjątkowa mieszanka niemieckich tematów. Od razu przyszło mi to do głowy, gdy przeglądając w berlińskim hotelu lokalną gazetę, znalazłem na odległej stronie informację o szkole, która nosi imię

Rudolfa Dörriera, dyrektora biblioteki i założyciela kroniki dzielnicy Pankow, i zapewne będzie musiała je zmienić.

Kilka miesięcy później się przekonałem, że w lokalnej społeczności sprawa budzi wielkie emocje, które są jednak wstydliwie ukrywane przed obcymi. Dawno nie doświadczyłem takiej niechęci do rozmów; miałem wrażenie, że dotknąłem tabu. Po wymianie telefonów i mejli z sekretariatem szkoły otrzymałem ostateczną odpowiedź: dyrektorka się ze mną nie spotka. Nie chciało się ze mną spotkać też kilka innych osób zaangażowanych w debatę o zmianie nazwy. Niektóre rozmowy przeprowadziłem tak, jakbym zdobywał informacje o powiązaniach władzy z mafią, potajemnie, bez podawania nazwisk. Ważny uczestnik sporu pilnował, czy wbrew umowie nie nagrywam go dyktafonem.

Udało mi się spotkać i porozmawiać z historykiem, który wszczął lokalną debatę w 2017 roku, gdy ujawnił dokument o służbie Dörriera w SS w Sachsenhausen odnaleziony w archiwum w Moskwie. Przede wszystkim zaś z córką Dörriera, która ma osiemdziesiąt sześć lat.

Może to ostatnia opowieść dotycząca tej wyjątkowej mieszanki niemieckich tematów, w której wypowiada się świadek wydarzeń. Upłynęło już trzy czwarte wieku od momentu, gdy główny bohater – dawno nieżyjący – podejmował decyzję, która teraz zaważy na tym, jak będzie postrzegany przez następne pokolenia.

2

Ostatniego wywiadu Dörrier udzielił w maju 2000 roku, gdy miał sto jeden lat. Przeprowadził go dla stołecznego periodyku „Berlinische Monatsschrift” Bernd S. Meyer. Rudolf Dörrier na zdjęciu zrobionym w jego mieszkaniu wygląda na pełnego energii: noga założona na nogę, wnikliwe spojrzenie zza dużych okularów, uśmiech. Siedzi w fotelu na tle regału z książkami. Na ceglanej ścianie domu przy Hiddenseestrasse 2, w którym jest to mieszkanie, do dziś wiszą dwie miedziane tablice: na górnej jest portret, na dolnej informacja o zasłużonym mieszkańcu.

Dörrier opowiada w wywiadzie o roku 1944: „Znowu powołano mnie do wojska, a w styczniu 1945 zostałem zwolniony”. To właśnie okres, w którym służył w SS. Ta nazwa jednak nie pada, zastąpiona przez niebudzące tak złych skojarzeń *Militär*, „wojsko”.

Trudno powiedzieć, czy inne fragmenty życiorysu poddał podobnym zabiegom upiększającym. Zapewne zdawał sobie sprawę, że wywiad to ostatnia szansa na przedstawienie własnej wersji. Oto ona.

Żonę, Lily Wassmund, poznał na wakacjach w ośrodku dla księgarzy nad Bałtykiem. On był z Brunszwiku, ona z Berlina. Przeprowadził się do stolicy, gdzie dostał wymarzoną pracę w Julius-Springer-Verlag, renomowanym wydawnictwie naukowym. Rok później, w 1930, wzięli ślub. „Teściowie, pochodzenia żydowskiego, mieli drobne wątpliwości wobec goja, ale nie odegrało to właściwie żadnej roli. Byli bardzo liberalni, co mi się podobało”.

Po dojściu Hitlera do władzy wydawnictwo „musiało oczywiście czasem wydrukować jakieś nazistowskie publikacje”. Od 1935 roku wszyscy pracownicy byli zobowiązani do udowodnienia swojej aryjskości. „Musiałem też załatwić wstecznie takie dowody dla mojej żony, co trochę trwało”.

Władze Trzeciej Rzeszy były jednak dociekliwe w sprawie czystości rasowej. Gdy trwała już wojna, Dörrierem zainteresował się urząd sprawdzający genealogię i deklarowaną aryjskość. Uratowało go powołanie do armii. Trafił na front francuski. „Myślałem, że tak długo, jak jestem żołnierzem, mojej żonie nic się nie stanie”. Po zwycięstwie nad Francją wrócił do pracy w wydawnictwie i przetrwał tam czas triumfów Trzeciej Rzeszy. Aż do 1944 roku, gdy znowu powołało go „wojsko”.

Był koniec kwietnia 1945 roku. Dörrier ukrywał się w bunkrze, słyszał, że coś się dzieje na ulicy: Rosjanie już tu są! „Pojawił się kolejny oddział Rosjan. Jeszcze się interesowali, czy mężatka. A ty niezamężna? – to chodź. Na początku pytali. Wydaje mi się, że te kobiety oddano do użytku żołnierzom. Choć gdy oczywiście porównam to z tym, co my wyrządziliśmy w Związku Radzieckim…”

W nocy przyszedł rosyjski podoficer. „Dobrze znał niemiecki. Rozmawialiśmy, nie zachowywał się jak zdobywca. Ja go tak nie

postrzegałem. Wypiliśmy razem wino, to było święto zwycięstwa, w którym braliśmy udział. Bo dla mnie to faktycznie było święto zwycięstwa” – przedstawił swoją wizję zakończenia wojny Rudolf Dörrier.

Parę miesięcy przed udzieleniem wywiadu dostał federalny Krzyż Zasługi na Wstędze.

3

Gescheiterte Entnazifizierung in der DDR – Rudolf Dörrier [Nieudana denazyfikacja w NRD – Rudolf Dörrier]. To tytuł tekstu, który w 2017 roku historyk Harry Waibel opublikował w poświęconym tematyce żydowskiej portalu. Było to piętnaście lat po śmierci Dörriera i trzynaście po nadaniu jego imienia szkole w sielankowej części Pankow. Zasłużony bibliotekarz i kronikarz dzielnicy stał się w ten sposób symbolem całego zjawiska nierozliczenia nazistów we wschodnich Niemczech.

Już na trzecim zjeździe komunistycznej partii SED, w 1950 roku, ogłoszono, że „faszyzm został w NRD wykorzeniony”. Doktor Waibel podkreśla, że przypadek Dörriera, także członka SED, dowodzi, że tak się nie stało. Nawet więcej: jest szczególnym przykładem tuszowania w NRD zbrodniczej działalności w SS przyszłych towarzyszy.

– Służba bezpieczeństwa Stasi wiedziała, że Dörrier był esesmanem. Zachował się dokument z 1971 roku, który tego dowodzi. Nie wiadomo, od kiedy Stasi miała tę informację i czy ją wykorzystała. Dörrier nadawał się do wywierania nacisku – mówi historyk, z którym spotykam się w jego skromnym mieszkaniu w zachodniej dzielnicy Schöneberg.

Urodzony w 1946 roku Waibel przyjechał do Berlina Zachodniego na fali buntu 1968 roku, przyświecały mu antyfaszystowskie ideały. Pochodzi z samego krańca Niemiec zachodnich, z Badenii-Wirtembergii. Teraz zajmuje się mrocznymi tajemnicami NRD: rasizmem, antysemityzmem czy antypolonizmem w miastach pogranicznych. I sprawą Dörriera. Zawsze napotyka opór: Bo jak to? Niemiec z zachodu miesza się w nasze wschodnie sprawy?

Podstawą jego tekstu o zasłużonym kronikarzu z Pankow jest dokument pochodzący z rosyjskiego archiwum wojskowego. To nie Waibel go znalazł, dostał kopię opisu dokumentu z Miejsca Pamięci i Muzeum Sachsenhausen. Nosi on tytuł: „Informacja na temat byłego członka personelu obozu koncentracyjnego”. Ten członek to Rudolf Dörrier.

Dörrier służył w batalionie wartowniczym SS. Stopień w momencie wstąpienia: Unterscharführer. Najniższy podoficerski w SS. Zaciągnął się 21 maja 1944 roku, a zwolniony został 19 stycznia 1945 roku. Miejsce wstąpienia: Brunszwik. Jego rodzinne miasto.

– Rudolf Dörrier nie chciał pojechać na front. Udał się do miasta, w którym się urodził i pobierał nauki, i dobrowolnie zgłosił się do SS – mówi Harry Waibel.

– Skąd wiadomo, że dobrowolnie?

– Nie ma dokumentu, że ktoś go zmusił. Od 1929 roku mieszkał w Berlinie, wiedział, że tu nie może się zgłosić do SS, bo wyszłoby, że ma żonę Żydówkę, a takich nie przyjmowali. W Brunszwiku, to moja interpretacja, mógł to przemilczeć. Nie było innego powodu, by tam jechał w tej sprawie. Jest dla mnie jasne, że brał udział w aktach przemocy przeciwko więźniom, choć córce opowiedział, że cały czas siedział na wieży strażniczej i nigdy nie używał swojej broni maszynowej. Zacząłem drążyć, co się działo w 1944 roku w KZ Sachsenhausen. W listopadzie tego roku zamordowano tam jeńców wojennych. Czy Dörrier w tym uczestniczył, nie wiadomo, ale nie można tego wykluczyć. Sam publicznie słowem się nie zająknął o swojej działalności w SS w Sachsenhausen. To świadczy przeciwko niemu, bo gdyby nie było tak źle i gdyby naprawdę chodziło tylko o to, by ratować żonę, to dlaczego milczał?

Ja też zwróciłem się o wydanie dokumentu na temat służby Dörriera w SS. Rzecznik Miejsca Pamięci i Muzeum Sachsenhausen doktor Horst Seferens odmówił przesłania mi kopii, ale ujawnił, że w oryginalnym dokumencie, *SS-Stammkarte*, znajdującym się w Moskwie, jest ręczny dopisek uzasadniający powód zwolnienia: „Żonaty z Żydówką”. Wyjaśnił, że batalion wartowników pilnował w Sachsenhausen obozu

koncentracyjnego i więźniów poza nim, w tym transportów z dworca. Wartownicy trafiali też do komanda wykonującego egzekucje.

– Z tym ratowaniem rodziny to kłamstwo – twierdzi Harry Waibel. – Gdy Niemiec, czyli Aryjczyk, poślubił Żydówkę, to naziści podejmowali decyzję, czy małżeństwo będzie podlegało ochronie. Zgodnie z nazistowską terminologią istniało *privilegierte Mischehe*, uprzywilejowane małżeństwo mieszane – mówi historyk. I zaraz dodaje: – Uprzywilejowane to znaczy, że niezabijane. Takie związki były rejestrowane. Moim wykładowcą na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, z którym byłem potem zaprzyjaźniony przez trzydzieści lat, był profesor Gerd Doerry. On był owocem takiego uprzywilejowanego małżeństwa, ojciec Aryjczyk, matka Żydówka. Opowiadał mi, że żydowska część małżeństwa była pod ochroną. Brzmi to komicznie, ale tak było.

Dziadkowie po kądzieli profesora Doerry'ego zostali zamordowani w Auschwitz, teściowie Dörriera w Theresienstadt.

– Ochrona dotyczyła tylko żony oraz dzieci, choć od pewnego momentu nie mogły one już należeć do hitlerowskich organizacji młodzieżowych. Doerry opowiadał mi, że gdy jeszcze było to możliwe, jako dziesięciolatek odwiedził w mundurze Hitlerjugend babcię Żydówkę. Pozował przed nią z dumą, a niedługo później ona została wysłana do Auschwitz. Tej sceny nigdy nie zapomniał – opowiada Waibel.

Teściowie Dörriera, Julius i Margarete Wassmundowie, zostali wywiezieni do getta Theresienstadt w lipcu 1942 roku, gdzie zostali zabici odpowiednio w styczniu i lutym 1943 roku. Przed domem, w którym mieszkali, przy Binzstrasse, spokojnej uliczce w dzielnicy Pankow, są poświęcone im kamienie pamięci, *Stolpersteine*, małe tabliczki wkomponowane w chodnik. Są na nich imiona, nazwiska, data deportacji i dzień, w którym zostali zamordowani.

– Dörrier przejął biznes po wysłanych do Theresienstadt teściach – twierdzi Waibel.

– Ach, ten pan Waibel! – mówi zdenerwowana Vera Dörrier-Breitwieser, córka Rudolfa. – Byliśmy rodziną dotkniętą przez Holokaust. Mama była Żydówką. Ja pół-Żydówką, miałam dokument o rasowym przyporządkowaniu do grupy mieszańców [*Mischling*] pierwszego stopnia. Byliśmy skrajnie zagrożeni. Krewni i dziadkowie ze strony mamy zostali wywiezieni, jednemu wujkowi udało się uciec do Ameryki. Ojciec uratował mi życie. Dziadek przed zesłaniem na śmierć do Theresienstadt zapisał na mnie, nieletnią wnuczkę, działkę z dostępem do wody, nad Hawelą. Ale Żydom nie pozwalano na coś takiego, nie mieli prawa do darowizn. Rodzice się bali, że i ja zostanę odesłana do obozu. I ojciec pisał listy do gestapo: „Będę bronił praw swojego dziecka, a jak będzie trzeba, to i do Führera z tym pójdę, *Heil* Hitler!”. Ten list mnie uratował, jestem pewna.

Opowiada, że jej ojciec odbywał służbę wojskową na lotnisku, ale pewnego dnia oficer stwierdził, że nie może już go tam trzymać ze względu na żonę Żydówkę.

– Lekarz sztabowy Wehrmachtu podpowiedział, że i tak część żołnierzy ma się przenieść do SS, więc jeżeli mój ojciec tam wstąpi, to mu nie zabiją rodziny. „To jest rozwiązanie, by was chronić”, powiedział ojciec. Tak, zgłosił się dobrowolnie, ale nie miał wyjścia – zapewnia.

Według niej Waibel nie rozumie, że ojciec ją ratował:

– On jako historyk nie wie, że w ostatnich miesiącach wojny Wehrmacht był zmuszany do zasilania żołnierzami jednostek SS? Próbowałam panu Waiblowi wytłumaczyć, że groziło nam wywiezienie, jak dziadkom, a on na to, że mój ojciec to esesman. Ojciec miał wielkie zasługi po wojnie, a teraz rodzice uczniów mówią: „Dlaczego moje dziecko ma chodzić do szkoły, której patronem jest nazista?”. To koszmar i wielka niesprawiedliwość. Nigdy nie wszedł na teren obozu. Był dwa razy na wieży strażniczej. „Wyobraziłem sobie”, mówił, „że mogłem tam na dole obserwować was, moją żydowską rodzinę” – opowiada Vera Dörrier-Breitwieser.

Jednak, jak się później dowiedziałem, wtedy, gdy Rudolf służył w obozie w Sachsenhausen, nie było już tam Żydów.

5

Bayerischer Platz. Tu umówiła się ze mną Vera Dörrier-Breitwieser. W okolicy przed wojną mieszkało kilkanaście tysięcy Żydów: lekarzy, adwokatów, artystów, urzędników. Spośród tych, którzy przetrwali tu pierwsze lata wojny, w 1943 roku sześć tysięcy wywieziono do obozów śmierci. Oficjalnie okolica stała się wtedy *judenfrei*, wolna od Żydów.

Córka Rudolfa Dörriera podjechała na Bayerischer Platz taksówką i powoli weszła do kawiarni, w jednej ręce ściskając laskę, a w drugiej uchwyt torby na kółkach, w którą zapakowała dokumenty z archiwum enerdowskiej bezpieki. Przygotowała się przede wszystkim do opowieści o swojej ucieczce z NRD na Zachód, a nie do wspomnień o służbie ojca w SS. Uciekła w grudniu 1961 roku, kilka miesięcy po wybudowaniu muru berlińskiego. Pamięta to wszystko z zadziwiającą dokładnością.

– W odróżnieniu od ojca, ja i mama byłyśmy przeciwniczkami systemu komunistycznego – opowiada. – Byłam zafascynowana Zachodem, w bibliotece przy wschodnioberlińskim uniwersytecie, gdzie pracowałam, czytałam tylko zachodnioniemieckie gazety. Regularnie jeździłam na seminaria do Berlina Zachodniego. Aż nagle w sierpniu 1961 roku komuniści wybudowali mur. Postanowiłam się przedostać na drugą stronę. Pomogło szwajcarskie małżeństwo. Załatwili mi paszport młodej Szwajcarki. Sylvia Nück, urodzona w kantonie Bazylea-Okręg, zamieszkała w podbazylejskim miasteczku Liestal; tak się zgodnie z danymi nazywałam. Kobieta na zdjęciu miała inne rysy, w dniu ucieczki umalowałam się mocno, jak jakaś prostytutka, by zmylić kontrolujących dokumenty na granicy. Wcześniej nauczyłam się nazw rzek i osad pod Bazyleą. Ale nie znałam szwajcarskiego dialektu, bałam się, że może mnie to zdradzić. Jakąś kobietę ze szwajcarskim paszportem złapano i trafiła do więzienia. Przyszykowałam sobie płaszcz z kołnierzem z oposów. U nas takich nie było, tylko króliki i norki. Tak moim zdaniem wyglądała elegancka kobieta z Zachodu. „Taki poszarpany i niemodny ten kołnierz”, usłyszałam jednak od Szwajcarki, „nie może pani tego włożyć”. Dzięki Bogu mama miała konto na Zachodzie i mogła tam zamówić kołnierz z fok,

do tego mufkę i czapkę. Wszystko dopasowałam i przyszyłam, potem to długo nosiłam.

W dniu ucieczki miała ze sobą tylko małą torebkę, a w niej przedmioty, które miały zmylić dociekliwą bezpiekę: klucz z zachodnioberlińskiego Hotelu am Steinplatz, chyba ukradziony, i zachodnioberliński bilet na kolej miejską. Vera miała się wmieszać późnym wieczorem w tłum Niemców z Berlina Zachodniego, którzy przyjeżdżali do stolicy NRD na spektakle operowe. Nie udało się jednak złapać taksówki i spóźniona dotarła tramwajem numer czterdzieści sześć do przejścia na dworcu Friedrichstrasse. Zachowywała się jak arogancka szwajcarska turystka, tak jak jej poradzono. I udało jej się dostać do krainy wolności.

Ojciec wiedział o jej zamiarach. Bał się, że ucieczka nie tylko zaszkodzi mu w karierze partyjnej i zawodowej, ale nawet skończy się dla niego więzieniem. Za pomoc w przedostaniu na Zachód groziło dwa lata za kratami. Dlatego wymusił na córce, by odsunęła od niego podejrzenia. W domu zostawiła kartkę dla rodziców z informacją, że jedzie do koleżanki. A gdy już była w Berlinie Zachodnim, z poczty wysłała nocą telegram do rodziców: „Jestem u Gerta, wybaczcie. Vera”. Gert był młodym mężczyzną z Zachodu, którego widziała raz, ale wystarczyło, by obdarzyć go uczuciem i opowiedzieć o nim rodzicom.

Pomysł był dobry. Ojca nie ukarano. A kartka i telegram trafiły do Stasi. Pani Vera znalazła je potem w swojej teczce, prowadzonej przez bezpiekę w latach 1959–1972, którą dostała z urzędu Gaucka. Kopie przywiozła na spotkanie ze mną w torbie na kółkach.

Od kiedy wiedziała, że ojciec był w SS?

– Od lat siedemdziesiątych. Wcześniej przez kilkanaście lat się nie widzieliśmy, mieliśmy tylko kontakt telefoniczny. Gdy był już emerytem i mógł jeździć na Zachód, odwiedził mnie. „Nie mówiłem o tym – przekonywał – ponieważ bonzowie partyjni w ratuszu Pankow by tego nie zrozumieli. Nie doświadczyli tego co ja, sytuacji bez wyjścia, nie chcieliby słuchać o losie rodziny niemiecko-żydowskiej, wyrzuciłem to z życiorysu”. Mówiąc o swoim życiu, tworzył autobiografię. Przecież gdy sportowiec pisze autobiografię, to wspomina o zwycięstwach, medalach, a nie o tym, że zdradził żonę. Pisze, co chce, co jest dla niego ważne, to upiększa. Mój

ojciec nie przemilczał, lecz nie wszystko zapisał. Zaraz po wojnie nie mówił o tym, że był strażnikiem, bo w ratuszu Pankow odbywał się proces esesmanów z Sachsenhausen. Nie odróżniliby go od zbrodniarzy, nie wzięliby pod uwagę, że był z prześladowanej rodziny – mówi córka.

Proces, oficjalnie zwany berlińskim, trwał przez kilka dni w 1947 roku. Radziecki trybunał wojskowy skazał szesnastu esesmanów z Sachsenhausen, czternastu na dożywocie, dwóch na piętnaście lat pozbawienia wolności. Wszyscy zaczęli odbywać wyroki w radzieckim obozie pracy. Jeden ze skazanych na dożywocie miał taki sam stopień jak Dörrier, był Unterscharführerem.

– Jestem bezgranicznie wdzięczna ojcu za ocalenie. Niestety, różniliśmy się w sprawie SED. W NRD nie trzeba było wstępować do partii, ale jeżeli ktoś, jak on, chciał robić karierę, zajmować stanowiska, to musiał. Był dyrektorem biblioteki. Mówił, że zaczęły się nowe czasy, które musi popierać, traktował SED jak partię odbudowy – opowiada pani Vera. W Berlinie Zachodnim pracowała w bibliotece przy uniwersytecie. I pisała wiersze. Jeden z nich jest skierowany do ojca, który wierzył w utopię, naiwnie i głupio marzył o lepszych Niemczech.

„Ideałami rewolucji francuskiej też były równość i braterstwo, ale komunizm przewyższała czymś bardzo ważnym: małym słowem »wolność«. Tego słowa Ty nigdy nie powiedziałeś” – wyrzucała ojcu, a NRD nazwała państwem, które przeciwników mocą specjalnych praw i specjalnych trybunałów wsadzało do specjalnych więzień.

6

W związanej z Rudolfem Dörrierem instytucji spotykam się z jego sędziwymi obrońcami.

Osiemdziesięciosześciolatka, która długo pracowała w enerdowskiej służbie zdrowia:

– To, co wtedy przeżył, zabrał ze sobą do grobu. Tak, dokument, który znaleziono w archiwum w Rosji, budzi kontrowersje. Ale trzeba próbować zrozumieć, jaka panowała sytuacja. W tym potwornym chaosie 1945 roku

SS nie patrzyła na wiek, wcielano nawet szesnastolatków. Wiem to dobrze, bo wcielili i chłopca, który został potem moim mężem. On po prostu trafił do grupy podobnych sobie. A teraz się mówi, że to straszni esesmani, wtedy to tak nie wyglądało. Mój mąż jako szesnastolatek musiał wraz ze swoim starym ojcem walczyć w podziemiach stacji metra w Berlinie. Oficer zastrzelił jego równolatka, bo ten płakał, chciał do domu, do mamy. Ja to wszystko pamiętam, byłam dzieckiem wojny ze wsi nad Odrą. Pamiętam, jak się ewakuowaliśmy w ostatniej chwili, maszerowaliśmy od miejscowości do miejscowości i wszędzie z innymi dziećmi budowaliśmy barykady. Pojawiali się Rosjanie. Pierwsi wkraczali i jechali dalej. Ale ci następni plądrowali, gwałcili kobiety. Schowaliśmy się, dzieci i dziadkowie, do stajni, na górze było drewno, leżeliśmy na nim, nie wydając dźwięku, wstrzymując oddech, by nas nie usłyszano i by kolejne kobiety nie zostały zgwałcone. My, ówczesne dzieci, byliśmy w takim szoku, że całe lata milczeliśmy, długo to wypieraliśmy z pamięci; dopiero na starość o tym mówimy.

Mężczyzna, dziewięćdziesiąt jeden lat, całe życie zawodowe był nauczycielem w szkołach w Pankow:

– Rozmawiałem z nim o wszystkim, ale o tym nie. Łączyła nas wielka miłość do Pankow. Choć on nie był rodzonym berlińczykiem i miał specyficzne poczucie humoru, dobrze się rozumieliśmy. Tyle nas łączyło, ale wciąż byliśmy na „pan”; dopiero gdy dostał federalny Krzyż Zasługi, po przeszło pięćdziesięciu latach znajomości, powiedział: „Możemy sobie mówić na ty”. Człowiek, który ujawnił dokument z archiwum w Moskwie, nie żył w tamtych czasach. Ma szczęście, podobnie jak nasze wnuki i prawnuki nie wie, co to wojna. Wtedy wszystko w Niemczech szalało. Armia radziecka była wokół Berlina, prawie wszyscy niemieccy żołnierze na froncie lub w niewoli. I z mojego rocznika wszystkich chciano wcielić do jednostek SS. On dzięki temu, że nie odmówił, ochronił swoją żonę i córkę.

W rzeczywistości Rudolf Dörrier, wówczas czterdziestopięcioletni, służył w SS, gdy Rosjanie byli daleko od stolicy Trzeciej Rzeszy.

7

W Berlinie w ostatnich latach zmieniono nazwy kilku szkół. Ich patronami byli naziści.

Z nazwy gimnazjum w dzielnicy Westend zniknął Erich Hoepner, generał Wehrmachtu, który co prawda uczestniczył w przygotowaniach zamachu na Hitlera i został za to stracony, ale był też odpowiedzialny za zbrodnie wojenne w Związku Radzieckim.

Do 2018 roku szkoła podstawowa w Mariendorfie miała za patrona Ludwiga Hecka. Był biologiem, wieloletnim dyrektorem berlińskiego zoo i zwolennikiem nazistowskiej teorii rasowej. Pracował dla najważniejszych dygnitarzy Trzeciej Rzeszy, Hitler odznaczał go osobiście.

Również dopiero w 2018 roku patronem szkoły w Spandau przestał być hiszpański klaun Charlie Rivel, ulubieniec Hitlera, występujący często w Niemczech.

Teraz podobny los spotyka Rudolfa Dörriera, który od 2004 roku był patronem szkoły podstawowej w Pankow. Władze i komitet rodzicielski od kilku miesięcy sugerowały, że dążą do zmiany nazwy, w listopadzie odbyło się głosowanie, które potwierdziło tę decyzję. Szkoła wyrzuciła patrona, przyjęła nazwę Grundschule in Rosenthal. Rosenthal to część Pankowa.

Przeszłością zasłużonego kronikarza dzielnicy długo zajmowała się grupa robocza, w której byli nauczyciele, przedstawiciele rodziców i mieszkańców dzielnicy. Nie udało mi się z nimi skontaktować. Przytaczam dwie opinie z dyskusji na internetowej stronie szkoły.

Gerhard Hochhuth, z organizacji zajmującej się tematyką żydowską w Pankow: „Doszedłem do wniosku, że we wszystkich »aryjskich« małżonkach, którzy się nie rozwiedli w czasach nazistowskich ze swoimi żydowskimi partnerami, trzeba widzieć bojowników ruchu oporu, do których następne pokolenia powinny się odnosić z szacunkiem. Nie ulega wątpliwości, że ci ludzie byli pod szaloną presją (w pracy, ze strony sąsiadów, władz). To, że przed nadchodzącym końcem wojny trzeba było podejmować trudne decyzje, o których potem chciałoby się zapomnieć, nie usprawiedliwia nazywania takiego bojownika ruchu oporu i wielokrotnie

nagradzanego mieszkańca Pankow »kłamcą przez całe życie« [tak pisała jedna z berlińskich gazet]”.

Robert Sperling z komitetu rodzicielskiego: „Powody dążenia do zmiany nazwy szkoły są bardzo zróżnicowane, nie wszystkie mają bezpośrednie odniesienie historyczne. Na przykład ważna przyczyna jest bardzo nowoczesna i całkowicie cyfrowa: jeśli szuka się Rudolfa Dörriera w internecie, znajduje się oprócz strony szkoły artykuły i wpisy, które nie pasują do pożądanego wizerunku szkoły podstawowej. Nawet jeśli głębsze badania wystarczą później do rehabilitacji Dörriera, nazwa będzie się powierzchownemu obserwatorowi kojarzyła bardzo negatywnie. Niezależnie od prac historycznych, które może nigdy nie zostaną w pełni ukończone, należy teraz podjąć decyzję, jakiej nazwy szkoła powinna używać w dłuższej perspektywie”.

8

– To nie jest czarno-biała historia – mówi Bernt Roder, dyrektor Muzeum Pankow, najważniejszej instytucji zajmującej się historią dzielnicy i jej sławnych mieszkańców. – Nie chcę go oceniać, mogę ocenić dokumenty, które mam do dyspozycji. Problem polega na tym, że źródła historyczne, które mamy, zostawił nam Rudolf Dörrier, kronikarz, założyciel archiwum. Jest tego czternaście kartonów. Nie posiadamy innych źródeł na jego temat. Trochę nie mamy wyboru.

Tęsknota

2019 i 2021

To było wyjątkowe przeżycie w krótkiej nauczycielskiej karierze Björna Höckego. Początek tego wieku. Letnie przedpołudnie.

Höcke:

– Wszyscy nosili wtedy T-shirty z nadrukiem. Co szczególnie istotne, nie tylko z okazji ważnych meczów piłkarskich. Po to, by wszystkim pokazać, z jakim krajem czuje się związek. Napisy były zazwyczaj po angielsku, rzadko po niemiecku. W naszej szkole wielu uczniów chodziło wtedy w koszulkach z nadrukiem „Turkey”, „Russia” czy „Italy”. Koszulek reprezentacji Niemiec się nie widywało. Aż do tego przedpołudnia. Miałem wtedy zajęcia z WF-u w siódmej klasie. Siedzieliśmy w kółku i objaśniałem, co będziemy robić na lekcji. Nagle przysiadła się ta raczej szczupła, zawsze małomówna rudowłosa dziewczyna. Miała na sobie nową czarno-białą koszulkę z napisem „Germany”. Tureccy i afrykańscy chłopcy nie wytrzymali: „Zdejmij to!”, „Niemcy to gówno!”. W swoim agresywnym odrzuceniu „Niemca” Turcy i Afrykanie byli spontanicznie jednomyślni, mimo że w innych sprawach raczej skłóceni.

1

Kilkanaście lat później. Björn Höcke został czołowym politykiem AfD, Alternatywy dla Niemiec. Nie najważniejszym, ale to jego najczęściej określano mianem „nazisty” czy „faszysty”. Swoje wyjątkowe nauczycielskie przeżycie przedstawił w wywiadzie rzece. Zresztą w tytule

też jest rzeka – do której nigdy dwa razy się nie wchodzi (*Nie zweimal in denselben Fluss*).

Co się stanie, jeżeli w wyborach do Bundestagu, następnych czy jeszcze następnych, AfD zdobędzie trzydzieści albo trzydzieści pięć procent głosów? Rozlegnie się zaraźliwy jazgot w talk-show i na forach lifestyle'owych: „Musimy teraz prosić o azyl w RPA czy Nowej Zelandii? Mamy uczyć się mówić „*Heil* Höcke!"? – tak do czytania zachęca przedmowa. To książka o niemieckiej „nazi-histerii" i człowieku, który ją wywołał.

Höcke, rocznik 1972, uczył po studiach historii i WF-u w szkole w powiatowym mieście Gross-Gerau, w Hesji, czyli w zachodnich Niemczech. Politykę uprawia w Turyngii, w byłej NRD. Jest przywódcą tamtejszego oddziału partii. Dzieciństwo spędził na wsi na zachodzie. To wielkie szczęście dorastać w wiejskich warunkach, mając kontakt ze zwierzętami i przeżywając przygody, mówił. „Gdy się przegląda biografie wielkich niemieckich poetów i myślicieli, to można się przekonać, że prawie wszyscy wychowali się na wsi czy w małych miejscowościach, a dopiero później ich nazwiska związały się z wielkimi miastami".

Szkoła w Gross-Gerau nosi imię Martina Bubera, żydowskiego i izraelskiego filozofa i religioznawcy, urodzonego w Wiedniu, ale wykładającego w Niemczech – do czasu, aż w 1933 roku Niemcy mu tego zabronili. W 1938 roku udało mu się wyemigrować do Brytyjskiego Mandatu Palestyny. Jak sugeruje sam Höcke, to nie może być przypadek, że trafił do szkoły noszącej takie imię. Dodał, że w pracy nauczyciela przyświecała mu zasada filozofii dialogu Bubera. W Gross-Gerau przeżył jednak „katastrofę multikulturalizacji".

„Stary pogląd głosi: zdrowe społeczeństwa mają zdrowe szkoły. Niestety na podstawie mojego bezpośredniego doświadczenia jako nauczyciela mogłem stwierdzić, że nasze społeczeństwo jest ciężko chore".

Po tym Höcke porzucił oświatę. Politykować zaczynał w młodzieżówce CDU, ale uznał, że prawdziwego życia tam nie znają i znać nie chcą, od początku zajmują się planowaniem długoletniej kariery partyjnej.

Aż w 2013 roku wreszcie powstało ugrupowanie, na które czekał. Alternatywa dla Niemiec. Miała być odpowiedzią na błędy klasy politycznej. W książce wyliczył najważniejsze – w tej kolejności: genderowe szaleństwo, napędzana histerią transformacja energetyczna, klęska polityki migracyjnej, katastrofalna polityka ratowania euro, bezsensowny kurs na konfrontację z Rosją.

Dla założycieli AfD z tej wyliczanki liczył się bunt przeciwko wspólnej europejskiej walucie. Partia jednak ewoluowała, niechętni strefie euro ekonomiści szybko przestali dominować, a potem zniknęli.

Najkrócej: AfD to ugrupowanie prawicowo-populistyczne. Niejednorodne. Björn Höcke jest liderem frakcji określanej słowem *völkisch*, zwłaszcza przez przeciwników, choć używanym i w partii. To przymiotnik od *Volk*, lud albo naród. Höcke woli określenia *volksverbunden* (czujący łączność z narodem) albo *volksfreundlich* (przyjazny narodowi), bo *völkisch* nawiązuje do ruchu z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, którego poglądów, jak zapewniał, nie podziela. Ruch był nacjonalistyczny i rasistowski, bliski Hitlerowi; gazeta jego partii NSDAP nazywała się „Völkischer Beobachter".

Czujący łączność z narodem stworzyli w AfD skrzydło o nazwie Flügel („skrzydło" właśnie). Przewodził mu Höcke.

Federalny Urząd Ochrony Konstytucji, czyli kontrwywiad, wziął Flügel pod obserwację i używał wobec niego nielubianego przez Höckego określenia *völkisch*. Na początku 2020 roku wpisał odłam AfD na listę prawicowych ekstremistów, co spowodowało, że zarząd partii zażądał jego samorozwiązania.

Oficjalnie Flügel przestało funkcjonować i zawiesiło stronę internetową. Ale i wcześniej działało nieformalnie, w sekrecie, nie chwaliło się listą sympatyków. Kontrwywiad szacował, że siedem tysięcy członków AfD, czyli co piąty, to skrzydło Höckego.

Już po oficjalnym samorozwiązaniu skrzydła Björn Höcke wygłosił przemówienie o „pokojowej deislamizacji Europy”. Federalny Urząd Ochrony Konstytucji usłyszał w nim nawoływanie do łamania konstytucji. Artykuł czwarty gwarantuje wolność wyznania i zapewnia swobodne wykonywanie praktyk religijnych. Höcke, występując publicznie w październiku 2020 roku, mówił: „Islam ma *Heimat* i ten *Heimat* nie nazywa się Francja. Nie nazywa się Niemcy. Islam i Europa nie pasują do siebie. Ich drogi muszą się rozejść, i się rozejdą”.

3

Zanim pomarzy się o zwycięstwie w wyborach ogólnoniemieckich, warto wygrać w jakimś landzie. Björn Höcke postawił na dwumilionową Turyngię, na krańcu dawnej NRD, przytuloną do trzech kluczowych landów zachodnich: Dolnej Saksonii, Hesji i Bawarii. Nie startował do Bundestagu jak inni liderzy AfD – wybrał walkę o lokalny parlament. Turyngia ma niezwykłą historię, z którą wiązał wiele nadziei. Żadne inne terytorium Niemiec nie było w przeszłości tak poszatkowane, nigdzie nie było tylu księstewek, tylu władców i ich rezydencji, tylu stolic, tyle lokalnej dumy i oporu przeciw centralizmowi. Prowincjonalizm i partykularyzm są wprawdzie słabością, ale gdy, jak zdiagnozował Höcke, centrum jest chore, świetnie nadają się na szalupę, którą dotrze się do nowego brzegu. Do Niemiec zdrowych i silnych.

27 października 2019 roku to data wyborów do parlamentu Turyngii. Wielka rozgrywka w małym landzie zaczęła się kilka tygodni wcześniej, skończyła kilka miesięcy później. Zadanie maksymalne: zwycięstwo i pierwszy w historii Niemiec premier z AfD. Skromniejsze: AfD jest niezbędna do powołania nowego rządu w landzie. Oba plany przeraziły zarządy innych partii. Alternatywa dla Niemiec została otoczona kordonem sanitarnym, centrale innych ugrupowań zabroniły z nią współpracować na każdym poziomie, z powiatem, dzielnicą miasta i gminą włącznie. A co dopiero w rządzie landu.

Niezrażony Höcke postawił sobie zadanie maksymalne. Potem spróbował wersji skromniejszej, którą niektórzy nazwali próbą zamachu stanu.

Kiedy jego partia prowadziła w sondażach, powiedział, że gdy pada pytanie o premiera, najpierw spontanicznie nachodzi go myśl o obecnym. Bodo Ramelow to pierwszy w historii Niemiec szef rządu landowego z Die Linke, partii mocno lewicowej, wywodzącej się z rządzącej NRD komunistycznej SED.

„Ramelow z megafonem w ręku 5 września 2015 roku stał na peronie w Saalfeld i witał pierwszych pięciuset uchodźców, głównie młodych mężczyzn z islamskiego kręgu kulturowego. Krzyczał przy tym, wyraźnie poruszony: »*Inszallah!* To najpiękniejszy dzień mojego życia«. Dla mnie był to kolejny dowód infantylizacji polityki w Turyngii i w Niemczech. Premier z AfD prowadziłby natomiast politykę, która opiera się na zdrowym rozsądku i oczywiście na interesach jego landu”.

4

Kto to powiedział: Björn Höcke czy Adolf Hitler? Dziennikarz centralnej publicznej telewizji ZDF zadawał takie pytanie posłom AfD w Bundestagu po przeczytaniu im dwóch cytatów. Półtora miesiąca przed wyborami w Turyngii odpowiedzi przedstawił Höckemu, z którym przeprowadzał wywiad.

Cytat pierwszy: „Kilka poprawek i reformek nie wystarczy. To niemiecka stanowczość będzie gwarantem tego, że zabierzemy się do rzeczy gruntownie i zasadniczo. Gdy kiedyś nadejdzie czas przełomu, wtedy my, Niemcy, nie będziemy działać połowicznie, wtedy zwały gruzów nowoczesności zostaną uprzątnięte”.

Cytat drugi: „Tęsknota Niemców za postacią historyczną, która pewnego dnia uleczy rany narodu, przezwycięży rozdarcie i uporządkuje sprawy, jest głęboko zakorzeniona w naszej duszy”.

Poseł AfD do Bundestagu z sąsiedniej Saksonii typował, że to Hitler. Kilku innych zapewniało, że nie czytali ani *Mein Kampf*, ani wywiadu rzeki Höckego, więc nie mają pojęcia, czyje to słowa. Jeden wybrnął w ten sposób: „Jeżeli teraz powiem, że to mi się nie podoba, a to powiedział Höcke, to będzie znaczyć, że nie podoba mi się, że Höcke to powiedział. A jeżeli to słowa tego drugiego pana, którego nazwisko też się zaczyna na H, to nie podoba mi się to podwójnie”.

Tymczasem Höcke przygotował się na wywiad o wyborach w Turyngii. Dziennikarz ZDF pytał jeszcze o użyte przez niego w przemówieniu słowo *Lebensraum*, przestrzeń życiowa. Słowo tabu: gdy Niemcy mówili, że brakuje im *Lebensraum*, potem zabierali się do podbojów, wysiedleń i mordów. Dziennikarz interesował się językiem, jakiego używa Höcke, i jego wizją Niemiec. Sugestia była jasna: wiele się od języka i wizji Hitlera nie różnią. Po dziesięciu minutach obecny poza kadrem rzecznik AfD w Turyngii uznał, że pytania wymuszają na rozmówcy silne emocje, czego w telewizji nie powinno się robić. „To nie jest poważne, jestem gotów odpowiadać na niewygodne pytania, ale nie w taki sposób” – powiedział Höcke i dodał, że sprawa będzie miała poważne konsekwencje, wpłynie na zaufanie między politykami a dziennikarzami: „Podejście do polityków AfD nie jest neutralne”.

Wywiad został przerwany, wywołał wielkie zamieszanie w Niemczech i falę poparcia organizacji dziennikarskich dla kolegi z ZDF. Przerwaną rozmowę można zobaczyć w internecie.

5

Od tej pory Höcke unikał mediów, jeździł po landzie jako gwiazda spotkań wyborczych. Jedno z nich pod nazwą Festyn Rodzinny odbyło się miesiąc przed wyborami w powiatowym dwudziestotrzytysięcznym Sonnebergu, najbardziej wysuniętym na południe mieście dawnej NRD. Pod imponujący rozmiarami ratusz przyszło pół tysiąca ludzi. Rodziny z dziećmi też były. Dominowali mężczyźni w wieku średnim i starszym, skromnie ubrani. Oczekiwanie na Höckego się przedłużało. Dwuosobowy zespół przygrywał

na scenie proste skoczne melodie na organach elektrycznych i trąbce, było trochę jodłowania. Przy stołach jedzono kiełbaski wieprzowe, do tego podawano piwo w plastikowych kubkach. Można je było postawić na kwadratowej kartonowej podstawce, na której lokalny kandydat namawiał do wystawienia rachunku „starym partiom” i zagłosowania na AfD.

Wreszcie pojawił się on i wywołał entuzjazm. Wysoki, szczupły, o ascetycznym wyglądzie. W marynarce bez krawata. Tym razem Höcke przemawiał krótkimi zdaniami, nie używał trudnych słów, poza „multikulturalizacją”. Było potrzebne, by przestrzec, że jeśli nie dopuści się AfD do władzy, to Niemcy staną się mniejszością we własnym kraju.

– W Turyngii liczba obcokrajowców wzrosła przez trzy dekady ponad siedem razy. Jak tak dalej pójdzie, to będziemy mieli tu arabskie gangi jak w Berlinie czy Zagłębiu Ruhry oraz Turków strzelających z okazji wesela na naszej autostradzie numer siedemdziesiąt jeden. Gdy będziemy rządzić, to z lotniska w Erfurcie zorganizujemy loty wywożące nielegalnych imigrantów. Ramelow mówił, że każdy przypadek odesłania sprawia mu cierpienie. Mnie sprawia radość.

Po przemówieniu ustawiła się do niego kolejka. Składał autografy na wydanym na kredowym papierze stustronicowym programie wyborczym *Meine Heimat, mein Thüringen* [Mój *Heimat*, moja Turyngia]. Cierpliwie pozował do zdjęć.

Nadeszła moja kolej.

– Jestem dziennikarzem z Polski. Chciałem porozmawiać.

Był zaskoczony, obejrzał moją wizytówkę.

– Proszę poczekać – powiedział. Zabrzmiało jak odrzucenie.

Dalej pozował i rozdawał autografy. Zachowywał się jak gwiazda rocka. Kwadrans wcześniej był charyzmatycznym mówcą. Naczytałem się o jego diabelskiej sile przyciągania. Kilka miesięcy później Höcke trafi na okładkę najważniejszego niemieckiego tygodnika „Der Spiegel”. Surowa twarz, jasnoniebieskie oczy, czarne tło. I tytuł: *Der Dämokrat*. Połączenie demona i demokraty. Demoniczny polityk, który korzystając z zasad demokracji, zatruwa Niemcy.

6

Lubi te demoniczne porównania.

– AfD jest izolowana, a dla wielu jest pan jak… – zacząłem pytanie, gdy po rozdaniu wszystkich autografów nieoczekiwanie wezwał mnie na rozmowę.

– Jak czerwona płachta? Jak diabeł? – powiedział, uśmiechając się.

– Jak nazista. Ludzie mówią o panu „nazista”, „faszysta”. Jak się pan czuje, słysząc to?

– Zawsze czuję się wspaniale, gdy jestem wśród ludzi, i przekonuję się, że coraz więcej z nich nie daje się zwodzić karykaturze, którą mi rysują mainstreamowe media. Ten, kto mnie poznał osobiście, kto przeprowadził ze mną rozmowę, wie, że nie jestem żadnym nazistą ani nie mam żadnych niemoralnych zamiarów w polityce. Chcę po prostu, żeby w Niemczech znowu obowiązywały prawo i ustawy. Mamy rząd, który je permanentnie łamie. Tak dalej nie może być.

– Ale powiedział pan o pomniku Holokaustu w Berlinie, że to hańba dla narodu niemieckiego. Wciąż pan tak uważa czy zmienił pan zdanie?

– Powtórzyłem to, co przede mną już wyrazili wybitni mówcy, czy to pisarz Martin Walser, czy też Rudolf Augstein, wydawca „Spiegla”. Nigdy nie powiedziałem nic innego niż to, że ten pomnik jest pomnikiem hańby, czyli: Holokaust był hańbą, kropka. Nigdy temu nie zaprzeczałem. To prasa zrobiła z tego coś innego.

Czy wypowiedzi Höckego są przekręcane przez media? W sprawach imigrantów czy islamu trudno coś przekręcić. Polityk wypowiada się publicznie i pisze na te tematy chętnie, jednoznacznie, dosadnie. Przykłady już padły. Ze słowami o historii ubiegłego wieku tak prosto nie jest. Te o „pomniku hańby”, pochodzące z przemówienia w Dreźnie w 2017 roku, w niektórych redakcjach poddano fact-checkingowi. Są dwuznaczne. Kontekst narzuca inną interpretację niż samo stwierdzenie, że Holokaust był hańbą.

Höcke, mówiąc: „My, Niemcy, a więc nasz naród, jesteśmy jedynym narodem na świecie, który postawił sobie pomnik hańby w sercu swojej stolicy”, domaga się też zmiany niemieckiej polityki historycznej o sto

osiemdziesiąt stopni. „Bo do dzisiaj nie jesteśmy w stanie opłakiwać własnych ofiar”. Dla Polaków to szczególnie zaskakujące słowa. Przestawianie niemieckiej polityki historycznej na opłakiwanie własnych ofiar z niepokojem obserwowaliśmy bowiem od dwóch dekad.

7

Plan maksimum się nie powiódł. Alternatywa dla Niemiec nie wygrała wyborów w Turyngii, zajęła drugie miejsce, zbierając 23,4 procent głosów, dużo mniej niż Die Linke (31 procent). Höcke nie mógł już nawet marzyć, by zostać premierem. Miał jednak w zanadrzu plan skromniejszy. Sprzyjało mu to, że Die Linke pod wodzą Ramelowa nie mogła, choć bardzo chciała, utworzyć większościowego rządu z dotychczasowymi lewicowymi partnerami.

5 lutego 2020 roku udało mu się zrealizować plan. Po raz pierwszy w Niemczech powołano premiera landowego rządu z poparciem AfD. Dzięki jej głosom został nim Thomas Kemmerich, lokalny lider liberalnej FDP, która w wyborach ledwie prześlizgnęła się nad pięcioprocentowym progiem. Trzeci gracz w tej rozgrywce to CDU, partia kanclerz Angeli Merkel. Lokalna CDU wyciągnęła wnioski ze słów Höckego: „Musicie się zastanowić, musicie zdecydować, czy chcecie wrócić do korzeni, być konserwatywną partią obywatelską, czy też dalej podążać złą drogą ku społeczeństwu multikulturowemu. Bo my nie chcemy być zawsze w opozycji”.

Zdjęcie Björna Höckego ściskającego z dumą i wzruszeniem dłoń premiera elekta Thomasa Kemmericha w parlamencie w Erfurcie wywołało szok w centralach partyjnych w Berlinie – i w mediach. Przerwano kordon sanitarny. Złamano tabu. To wstyd. Skandal. Szaleństwo. Wielkie szkody dla demokracji. Zamach stanu.

„Hańba!” – krzyczeli demonstranci przed gmachem erfurckiego parlamentu i sugerowali, że F w skrócie nazwy partii FDP pochodzi od faszyzmu. Podróżująca wówczas po Afryce kanclerz Merkel uznała głosowanie wraz z AfD za niewybaczalne i zażądała likwidacji jego

skutków. Do Erfurtu natychmiast przyjechał z Berlina szef FDP Christian Lindner. Thomas Kemmerich podał się do dymisji.

– To nie nacisk central partyjnych ją wywołał, to nacisk społeczeństwa obywatelskiego w Turyngii był tak duży, że wmieszali się politycy federalni – mówił Jan Hollitzer, redaktor naczelny miejscowego dziennika „Thüringer Allgemeine".

Rząd z poparciem AfD nie powstał. Thomas Kemmerich był premierem niecałą dobę. Ważna to doba dla współczesnych Niemiec. I dla próby ich zrozumienia.

Heimat Hanau

2021

Hanau, parking przed supermarketem Lidl w dzielnicy Kesselstadt. Krzyż ze zdjęciem młodego mężczyzny, znicze, kwiaty, figurka aniołka. Na granitowej czarnej tablicy napisano złotymi literami: „Vili Viorel Păun na własną rękę podążał za zamachowcem z 19 lutego 2020, by go powstrzymać. Między 21.57 a 21.59 kilkakrotnie bezskutecznie próbował się dodzwonić na numer alarmowy policji. W tym miejscu zapłacił życiem za swoją odwagę cywilną".

„Odwaga cywilna" trafiła później wraz z „szacunkiem" i „tolerancją" na kilkumetrowy baner, który wciąż wisi na rusztowaniu remontowanego ratusza. Hasło zapewnia, że całe miasto Hanau opowiada się za szacunkiem, tolerancją i odwagą cywilną. Vilego Viorela Păuna nagrodzono pośmiertnie medalem za odwagę cywilną, przyznawanym przez premiera Hesji, landu, w którym leży Hanau.

– W Dniu Odwagi Cywilnej postawiliśmy Vilemu, którego uważam za bohatera, ten krzyż. Próbował uniemożliwić coś strasznego – mówi nadburmistrz Hanau Claus Kaminsky.

20 lutego 2020 roku rano na miejscu zbrodni pojawił się ojciec Vilego, rumuński Rom. Stało tam dwóch policjantów. Jeden powiedział: „Nie wiedziałem, że jakiś Cygan może się wykazać odwagą cywilną".

Nie Rom. Cygan. Określenie tak w Niemczech niepoprawne, że Knorr zrezygnował na tutejszym rynku z „sosu cygańskiego". Zastąpił go „sos węgierski paprykowy".

1

Masakry, strzelanie do ludzi na ulicach nie są europejską, nie są niemiecką codziennością. Gdy do nich dojdzie, wdzierają się gwałtownie do mediów, do naszych głów. Zaganiają polityków i śledczych przed kamery i mikrofony. Dla miast, które nie są Paryżem, Londynem czy nawet Oslo, stają się przekleństwem. Zamach je określa. Kto wcześniej słyszał o Hanau? Lada moment będzie miało sto tysięcy mieszkańców i tym samym przejdzie zgodnie z niemieckimi zasadami do kategorii miast dużych. Żyło po cichu i w cieniu pobliskiego Frankfurtu nad Menem, europejskiej stolicy finansów. W nocy z 19 na 20 lutego 2020 roku o Hanau dowiedziało się pół świata.

Czterdziestotrzyletni sprawca był stąd, tu się urodził i mieszkał. Zamachowiec. Prawicowy ekstremista. Terrorysta. Masowy morderca. Zagubiony, chory człowiek, który kilkakrotnie trafiał w ręce psychiatrów. Rasista. Podstarzały incel. Wybór określenia to deklaracja – ideowa, często polityczna.

W krótkim czasie w dwóch dzielnicach zastrzelił dziewięć nieznanych mu osób. Nieznanych, ale wybranych nieprzypadkowo. Potem zabił jeszcze swoją matkę, a na koniec popełnił samobójstwo. Jego imienia i nazwiska nie będę wymieniał. Po co je utrwalać? Wystarczy, że w naszej pamięci zagnieździł się Anders Breivik.

Wymienię nazwiska dziewięciu ofiar. Chcą tego ich rodziny, przyjaciele, wstrząśnięci mieszkańcy. Wręcz się domagają, by je wymieniać. Prowadzą akcję #SayTheirNames.

Gökhan Gültekin
Sedat Gürbüz
Said Nesar Hashemi
Mercedes Kierpacz
Hamza Kurtović
Vili Viorel Păun
Fatih Saraçoğlu
Ferhat Unvar
Kaloyan Velkov

Nie są to nazwiska niemieckie. Niemiec strzelał do ludzi, których uznał za nie-Niemców. To najkrwawsza tego typu zbrodnia w Republice Federalnej.

Najmłodszy z zastrzelonych miał dwadzieścia lat, najstarszy – trzydzieści siedem. Prawie wszyscy mieszkali w Niemczech od urodzenia lub od dawna. Murarz, kelnerzy, właściciele szisza barów, kurier, technicy, świeżo upieczony absolwent kursu instalacji gazowych. W większości muzułmanie, ale i troje chrześcijan.

2

Pierwsze kroki w mieście Hanau – sennym, spokojnym, słonecznym. Oprowadzają mnie i wożą dziennikarki „Hanauer Anzeiger". Szefowa redakcji tego lokalnego dziennika, Yvonne Backhaus-Arnold, piękna brunetka, pochodzi ze wschodnich Niemiec, z Erfurtu. Kilkanaście lat temu, po studiach dziennikarskich, przyjechała do Hanau. I została. Jutta Degen-Peters, urodzona na zachodzie, jest już na emeryturze, ale wciąż dużo pisze. Mam szczęście do dziennikarzy lokalnej prasy niemieckiej, gdziekolwiek się pojawię, uzyskuję pomoc. „Hanauer Anzeiger" to gazeta wyjątkowa, wychodzi od prawie trzystu lat.

Spotykamy się na rynku, pod pomnikiem braci Grimm, którzy się tu urodzili pod koniec osiemnastego wieku, czyli mogli czytywać „Hanauer Anzeiger". To oni mają się kojarzyć z Hanau, jego dodatkowa oficjalna nazwa to Brüder-Grimm-Stadt, miasto braci Grimm. Następnego dnia pod pomnikiem krąży ekipa szkolnej telewizji, trzech nastolatków. Podstawiają mikrofon i kręcą:

– Czy baśnie braci Grimm są nadal aktualne? A co by było, gdyby ukazała się nowa wersja baśni: Królewna Śnieżka jako lesbijka?

– Ale to chyba nie jest opowieść o seksualności.

– To kupiłby pan dziecku taką wersję czy nie?

Z Yvonne Backhaus-Arnold i Juttą Degen-Peters zaczynamy od Innenstadt, starego miasta i centrum zarazem. Oglądamy odbudowane po alianckich bombardowaniach kamienice i pierwsze miejsce zbrodni

z 19 lutego 2020 roku. Potem okazały barokowy zamek Philippsruhe, park i dawny dom zdrojowy. Na przedmieściach mijamy budynki, w których do 2008 roku mieszkali amerykańscy żołnierze. Hanau było jednym z najważniejszych miast garnizonowych w Niemczech, z dwudziestoma tysiącami Amerykanów.

Jak byli przyjmowani w mieście, które wcześniej wraz z Brytyjczykami bombardowali?

– Hanauczycy szybko zrozumieli, że naloty, nawet jeżeli militarnie nie miały sensu, a nie miały, były następstwem słów z przemówienia Goebbelsa w Pałacu Sportu w Berlinie na początku 1943 roku: „Chcecie wojny totalnej?”. To wojna totalna nadeszła, a potem jej konsekwencje – powie mi później nadburmistrz Claus Kaminsky, którego dom w dzielnicy willowej pokazały mi dziennikarki.

Kaminsky, rocznik 1959, wspomni też triumfalny przejazd przez Hanau prezydenta Johna F. Kennedy’ego w czerwcu 1963 roku, smak pierwszego hamburgera z keczupem Heinza i niezgodę swojego pokolenia na wojnę w Wietnamie. Amerykanie przyjechali jako wyzwoliciele, wyjechali jako przyjaciele.

W redakcji „Hanauer Anzeiger”, która też znajduje się na przedmieściach, pracuje osiemnaście osób. Sami stuprocentowi Niemcy.

– Inni nie starają się u nas o pracę. I nas nie czytają – przyznaje szefowa gazety. – Sami zadajemy sobie pytanie, czy teraz, po tej tragedii, integracja będzie przebiegać łatwiej.

A Jutta Degen-Peters dodaje:

– Jest ciężko. Na pewno współobywatele z imigracyjnymi korzeniami są teraz bardziej dostrzegani. Jest wiele inicjatyw, w których obie społeczności występują razem, wielu Niemców bez imigracyjnego pochodzenia się w nie angażuje. To pozytywny efekt. Ale są i takie głosy: starczy już tego, zwolnijmy, po co znowu jakaś tablica ku czci ofiar, pomnik czy impreza. Na to wszystko płyną publiczne pieniądze. Są dwa nurty. Trudno powiedzieć, który wygra. Wśród mądrych ludzi przeważa ten, by zdecydowanie być razem. Wspiera go wielu polityków.

Docieramy z dziennikarkami do Kesselstadt. Tu mieszkał sprawca, tu mieszka wiele rodzin ofiar. Dzielnica to wysokie jak na Hanau bloki, kojarzące się z biedną społecznością imigrantów. Na parterze jednego z nich był całodobowy kiosk, w którym zginęli Mercedes Kierpacz, Ferhat Unvar i Gökhan Gültekin, a obok Arena Bar & Café, gdzie sprawca zabił Saida Nesara Hashemiego i Hamzę Kurtovicia.

Ale Kesselstadt to także domy z ogródkami, w których ostatnie lata spędzają niemieccy seniorzy. Są też skromne trzykondygnacyjne budynki, przed nimi garaż, na którym po zamachu namalowano mural: Wilhelm i Jacob Grimmowie na błękitnym tle i z napisem „Wszyscy jesteśmy braciszkami & siostrzyczkami".

– Ojciec sprawcy nadal tu mieszka, to chyba największy problem dla rodzin ofiar. Nie wiadomo, jaką rolę odegrał – mówi Yvonne Backhaus-Arnold.

3

Czy ojciec mógł nie wiedzieć o broni w szafie? I o tym, co o świecie myślał jego syn? Człowiek, który w ciągu jednego wieczora zamordował dziewięć obcych osób i własną matkę.

Czy ojciec nie wiedział o manifeście, o „Przesłaniu do całego narodu niemieckiego", które syn zamieścił w sieci?

Przesłanie ma czterdzieści stron. Są tam rozważania o „służbie bezpieczeństwa", pisanej w cudzysłowie, ważniejszej niż CIA i niemiecki wywiad razem wzięte, o totalnej inwigilacji, o piłkarskiej reprezentacji Niemiec i Sharon Stone z *Nagiego instynktu*.

A wśród nich wspomnienie o najważniejszej rozmowie jego życia. Z kolegą, z którym uczył się fachu pracownika bankowego. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata, rozmowa odbyła się w mieszkaniu kolegi we Frankfurcie.

> Czułem, że tego dnia „służba bezpieczeństwa" była przy mnie.
>
> Rozmawialiśmy o przestępczości, o złych zachowaniach pewnych grup etnicznych, mianowicie Turków, Marokańczyków, Libańczyków, Kurdów itd.

W tej sprawie byliśmy zgodni. Mieliśmy podobne doświadczenia, których wynikiem była niechęć do tych grup.

Podczas praktyk na własnej skórze przeżyłem napad na bank. Potem byłem świadkiem. Na komisariacie policjanci pokazali mi karty setek potencjalnych podejrzanych. Około 90 procent z nich to byli nie-Niemcy. Głównie południowcy, innymi słowy Turcy lub północni Afrykanie.

Ponieważ z „Niemcami" nie było podobnych doświadczeń, już wtedy wyciągnąłem wnioski.

Przede wszystkim postawiłem sobie podstawowe pytanie: Jak to możliwe, że takie grupy etniczne w ogóle są w moim kraju?

Takich ludzi się instynktownie odrzuca, nie wykazali się w historii przydatnością.

Odwrotnie z moim własnym narodem. Dzięki niemu powstało i wyrosło to, co najlepsze i najpiękniejsze ma do zaoferowania świat. Nie mogę tu wyliczyć osiągnięć we wszystkich dziedzinach nauki, ale fakty mówią same za siebie.

Moim zdaniem coś tu nie pasuje. Z jednej strony jest mój naród, który wzniósł na wyższy poziom całą ludzkość. Z drugiej mamy pewne osoby z mojego własnego kraju, które przyczyniły się do tego, że w środku naszego społeczeństwa znalazły się grupy etniczne, rasy czy kultury, które są destrukcyjne.

Następny wniosek:

Dążenie do wydalenia tych wszystkich ludzi z naszego kraju nie jest już rozwiązaniem. Bo sama egzystencja pewnych grup etnicznych jest fundamentalnym błędem i nie można tego problemu zostawiać następnym pokoleniom.

Dlatego powiedziałem, że muszą być całkowicie zniszczone następujące kraje: Maroko, Algieria, Tunezja, Libia, Egipt, Izrael, Syria, Jordania, Liban, cały Półwysep Arabski, Turcja, Irak, Iran, Kazachstan, Turkmenistan, Uzbekistan, Indie, Pakistan, Afganistan, Bangladesz, Wietnam, Laos, Kambodża, aż po Filipiny.

To byłaby pierwsza wielka czystka, po niej przyszłyby mniejsze w pozostałych krajach Afryki, w Ameryce Południowej i Środkowej, na Karaibach i naturalnie w moim własnym kraju.

Wspomniałem też, że nie każdy, kto posiada niemiecki paszport, jest czysty rasowo i wartościowy; zmniejszenie o połowę liczby ludności mogę sobie wyobrazić.

4

Armin Kurtović, ojciec Hamzy, zabitego w Kesselstadt, tam gdzie Vili Viorel Păun:

– Nie reagowano, choć sprawca krzyczał, jakie ma plany. Pisał do prokuratury federalnej i lokalnej. Miał stronę internetową, a na niej swój manifest. Pisał do policji w mieście i nawet mu odpowiedzieli. Powinni go

sprawdzić. Mój syn nie musiał zginąć. To, co policja, co władze robiły przed zamachem, w czasie zamachu i po zamachu, to katastrofa. W operacji uczestniczyła jednostka antyterrorystyczna Spezialeinsatzkommando (SEK) z Frankfurtu. Parę godzin bezczynnie czekali, aż sprawca sam się zabije. To ta sama jednostka, którą ostatnio rozwiązano, bo była pełna rasistów i miłośników Hitlera.

Afera z frankfurckimi antyterrorystami z SEK wybuchła w czerwcu 2021 roku, szesnaście miesięcy po wydarzeniach w Hanau. Namierzono ich grupę dyskusyjną w sieci. Przesyłali sobie zdjęcia Hitlera i swastyk. Jak dosyć sucho opisywały media, siali nienawiść, znieważali azylantów. Nawiązywali do filmu o dzielnych Spartanach, obrońcach ojczyzny i dobrej cywilizacji, którzy stawiali opór obcym – Persom. Śledztwo objęło dwudziestu funkcjonariuszy elitarnej jednostki.

– Tak, to ta sama jednostka, która interweniowała u nas, ale nie wiadomo na razie, czy to ci sami policjanci – powie nadburmistrz Hanau, Claus Kaminsky.

– Nie znałem sprawcy, choć z mojego okna widzę jego dom – mówi Armin Kurtović. – To nie więcej niż trzysta metrów. Trzymał w szafie amunicję i broń. Jak to możliwe, że ktoś, kto był na oddziale psychiatrycznym, ma zezwolenie na broń? Na dodatek rasista, który obnosił się ze swoimi poglądami? Przecież to Niemcy, nie Angola. Kontrwywiad nawet najdroższy komputer sobie kupił. I czego za jego pomocą szukali? Kawioru, wódki? Czy grali sobie w gry? W tej sprawie nikt nic nie zrobił. Nic.

Armin Kurtović – postawny, krótko ostrzyżony, w dżinsach i granatowym T-shircie. Rozmawiamy w Innenstadt, na rogu Heumarkt i Krämerstrasse.

– Tu zastrzelił trzy osoby, pobiegł do swojego samochodu stojącego przy następnym skrzyżowaniu. Postrzelił Vilego który próbował zablokować jego auto. Vili dzwonił trzy–cztery razy na telefon alarmowy. I nic. Sprawca pojechał do Kesselstadt, zajęło mu to kilka minut. Tam zabił sześć osób. W tym Vilego i mojego syna. Oraz jego córkę, i jego brata.

Chodzi o córkę Filipa Gormana – Mercedes Kierpacz. I brata Çetina Gültekina – Gökhana Gültekina. Obaj wraz z Arminem Kurtoviciem siedzą na eleganckich barowych stołeczkach przed wielką witryną byłego lokalu handlowego, koło nieczynnego sex shopu. W lokalu powstało miejsce pamięci ofiar zamachu ze wszechobecnymi napisami #SayTheirNames, główny ma kilka metrów długości. Przychodzą tu prawie codziennie, nie znali się wcześniej, a teraz są niemal jak rodzina. Ile razy tam się pojawiłem, było co najmniej dwóch z nich. Za pierwszym razem Filip Gorman odezwał się do mnie po polsku. Trochę zna język. Jego rodzice, polscy Romowie, wyemigrowali z Katowic do Niemiec, gdy miał trzy miesiące. Teraz ma pięćdziesiąt osiem lat. Czarne włosy, siwa bródka bez boków i tatuaż na lewym przedramieniu.

Niemców krytykuje po niemiecku:

– Po zawiadomieniu, że ktoś tu zastrzelił trzy osoby, powinni zablokować całe Hanau. Posterunek policji jest sto pięćdziesiąt metrów stąd.

Armin Kurtović:

– Trochę więcej.

Filip Gorman:

– Jak jest napad na bank, to robi się blokadę, by złodzieje nie uciekli z łupem. A on pojechał do dzielnicy Kesselstadt, gdzie mieszkał, i tam znowu zabijał. Policja dostała numer rejestracyjny samochodu, przecież powinni od razu sprawdzić, jaki ma adres, i tam natychmiast pojechać. Bawili się z nim kilka godzin.

Wielkie emocje rodzin ofiar budzi sekcja zwłok. Nikt ich o niej nie informował, nikt nie pytał o zgodę.

Çetin Gültekin:

– Naszych bliskich pokroili. Przez mojego brata przeleciała kula, nie utkwiła w jego ciele. Gdyby utkwiła, tobym zrozumiał, że muszą ciąć. Ale nie trzeba było wyciągać kuli, można ją było wziąć z ulicy i porównać, czy jest taka sama jak ta, co zabiła Kurtovicia czy innych. Szukali przyczyny śmierci? Czy mój brat się nie zapił albo otruł?

Armin Kurtović:

– Wszystko jest przecież nagrane, na wideo widać, kto strzela, ale musiał przyjść doktor Mengele i kroić.

Filip Gorman:

– Gdy odbierałem ciało córki, było rozcięte od gardła po pas, musieliśmy je zawinąć w folię, by złożyć moją Mercedes w całość. Straciliśmy dzieci, bo terrorysta je zabił, a potem oni tną je jak świnie. Dlaczego to zrobili.

Nadburmistrz Kaminsky powie mi dzień później:

– Tak po ludzku to nie było w porządku. Nie było żadnej komunikacji, rozmów z bliskimi. Trzeba im było wytłumaczyć, po co ta sekcja zwłok jest potrzebna.

Armin Kurtović:

– Policja wygląd mojego syna określiła „orientalny – południowy". Zobaczyli jego nazwisko „Kurtović", to uznali, że tak musi być. A mój Hamza był ciemnym blondynem i miał niebieskie oczy. Jak ktoś go wcześniej widział, to brał za Niemca lub Rosjanina. Dlaczego „orientalny – południowy", pytam? A oni na to, że robią, co chcą. I robią tutaj, co chcą. Gdy za granicą jest coś nie tak, to od razu Niemcy upominają się tam o prawa człowieka. W telewizji wciąż mówią o skrajnej prawicy w innych krajach. Zapewne jest wszędzie. Ale w Niemczech jest jej epicentrum.

Filip Gorman:

– Dlaczego nas tak traktują? Przecież my mamy niemieckie paszporty.

Armin Kurtović:

– Moje dzieci urodziły się w Niemczech. Nawet ja się tutaj urodziłem. Mój ojciec, przed moim narodzinami, przyjechał z Prijedoru w Bośni w 1968 roku. Kiedy będziemy Niemcami? Mam zmienić nazwisko? Czy religię?

Filip Gorman:

– W Ameryce, jak zginął George Floyd, to pół kraju się ruszyło: protesty, bitwy na ulicach, obalanie pomników, a u nas prawie nic. Co to ma być? Może im się podoba, że rasiści zabijają.

5

Andreas Jäger, szef Wydziału Różnorodności w magistracie Hanau. Zajmuje się rodzinami ofiar. Niebieskooki blondyn. Jak zabity Hamza Kurtović.

– Armin Kurtović i Filip Gorman stracili dzieci. Są wściekli, widzieli, co się wydarzyło, patrzyli, jak się zachowywali policjanci, urzędnicy. Policja mówi, że nie było w jej działaniach nic rasistowskiego, ma inną perspektywę. To bardzo indywidualna sprawa. Nie będę wydawał wyroków, słyszałem obie strony, mogę obie zrozumieć. Środa wieczór, nic się nie dzieje, policjanci są na patrolu i nagle zawiadomienie, że jest strzelanina. Jadą tam, widzą przestrzelone głowy, wszędzie krew, nigdy z czymś takim nie mieli do czynienia; to są ludzie, a nie maszyny, nie można o tym zapominać.

Jäger nigdy by nie pomyślał, że taki zamach jest w Hanau możliwy.

– Tylu tu ludzi z imigranckim pochodzeniem, z całej Europy i nie tylko Europy. Codziennie sobie stawiam pytanie: dlaczego to się stało w Hanau? I dlaczego są tu ludzie, w których jest tyle nienawiści do innych?

Wcześniej zajmował się w magistracie uchodźcami, którzy przybyli w czasie wielkiego exodusu w 2015 roku. Wtedy było ich dwa i pół tysiąca, zostało ośmiuset.

– Polityka integracyjna była dobra. Nie chcemy podziałów. I naszym zadaniem jest pilnować, by ich nie było. Hanau nie miało problemu ze skrajną prawicą. Widać to po piłce nożnej, po kibicach i po klubach, jest tu wiele amatorskich drużyn, tureckie, hiszpańskie, chorwackie, niemieckie, grają ze sobą, spotykają się. Sprawca był samotnikiem.

Pytam, ile można być uważanym za imigranta.

– W całej Europie najpierw jesteśmy ludźmi, Europejczykami, mamy podobne wartości. Jak długo staje się Niemcem? To jest trudne pytanie. Czystych Niemców nie jest tak dużo. Wielu używa określenia *Biodeutsch*, ekologicznie czysty Niemiec, ale ja go nie lubię. Dla mnie ważne, jaki jest człowiek, czy zasługuje na szacunek czy jest idiotą, nie liczy się paszport czy pochodzenie.

6

Mustafa Kaynak dwie rodziny dotknięte zamachem znał osobiście. Ojca zastrzelonego Ferhata Unvara od dzieciństwa, pracował z nim na wielkim lotnisku we Frankfurcie. Od razu pomyślał, że trzeba by rodzinom jakoś pomóc. Teraz zajmuje się tym zawodowo, w specjalnej komórce ratusza.

– Tamtej nocy usłyszałem w telewizji, że mamy w Hanau jakąś wojnę gangów czy mafii. Takie rzeczy, pomyślałem, to się daleko dzieją, w Ameryce. Ale u nas? Potem, gdy już wiadomo było, że to nie gangi i nie mafia, szok był jeszcze większy. Mieszkam w Hanau od 1976 roku. Żyliśmy spokojnie. Małe problemy się zdarzały. Szarpaniny, okrzyki „cudzoziemcy won!” to nawet często, ale żeby zabijać? Czterech z dziewięciorga zastrzelonych miało korzenie w Turcji. Jak ja.

Mustafa, sympatyczny pięćdziesięciolatek, szczupły, z solidną łysiną i z kilkudniowym zarostem, pochodzi z południowej Anatolii, z okolic miasta Kahramanmaraş, sto kilometrów od turecko-syryjskiej granicy. Przyjechał do Hanau, gdy miał sześć lat. Tu chodził do szkół, tu się ożenił.

– Mój ojciec przyjechał, jeszcze bez rodziny, w 1973 roku. Pierwsi Turcy, którzy wtedy się w Hanau pojawili, pracowali w fabryce opon Goodyear. Pierwsza generacja mówiła w pracy tylko po turecku, żyli w swoim gronie. Moi rodzice niemiecki znali bardzo słabo, choć mieli ponad trzydzieści lat na nauczenie się. Następne pokolenie poszło do szkół, sporo osób studiowało. Teraz wielu ma biznesy, pracuje na własny rachunek, z pracobiorców stali się pracodawcami. Prawie jedna piąta mieszkańców Hanau ma tureckie pochodzenie. Najwięcej mieszka w dzielnicy Innenstadt. Kultury i religii nie zapominają. W ramadan i Święto Ofiar meczety są pełne. Meczetów jest w Hanau sześć, w tym trzy tureckie, swoje dwa mają Arabowie, a jeden Afgańczycy i Pakistańczycy. Większość z nas w domu mówi po turecku, najmłodsi częściej po niemiecku, są co najmniej dwujęzyczni, bo dochodzi do tego angielski, a czasem i francuski. Moja najstarsza córka mówi po francusku. Mam trzy córki, od zawsze dbałem, by dobrze znały turecki. Jak któraś powiedziała coś z błędem, to poprawiałem. Ważne, by prawidłowo się posługiwać

językiem ojczystym. Oglądam telewizję turecką i niemiecką, głównie wiadomości. Wiem, że Polska kupiła tureckie drony Bayraktar.

Rodziny pochodzenia tureckiego w domu jadają tureckie dania.

– Zdrowe, wiele warzyw, oliwa, mało mięsa, a jak mięso, to z jarzynami. Chodzimy do tureckich restauracji, choć ja lubię odwiedzić i tajską, w tamtejszej kuchni też jest dużo jarzyn. Turcy zazwyczaj żenią się z Turczynkami i mam nadzieję, że tak pozostanie. Choć młodzi są bardziej otwarci, zdarzają się związki z Niemcami, a córka kolegi poślubiła Hindusa. Znajomych mam głównie Turków, ale znam i wielu Niemców, dzięki pracy i drużynie piłkarskiej.

Mustafa Kaynak, zanim zaczął się zawodowo zajmować pomocą rodzinom ofiar, udzielał się w Ausländerbeirat, radzie cudzoziemców. Takie rady są w całych Niemczech, w niektórych landach nazywane są radami integracyjnymi (Integrationsbeirat). To organ wybierany w wyborach, reprezentuje interesy osób pochodzenia imigranckiego na poziomie lokalnym.

– Jest problem ze szkołami. Są klasy, do których chodzi kilkoro Niemców, a reszta to Turcy, Arabowie, przedstawiciele innych narodowości. W Innenstadt jest tak prawie wszędzie. Z drugiej strony są prywatne szkoły, które dużo kosztują, tam są prawie sami niemieccy uczniowie. Jeżdżę do pracy autobusem i słyszę, że dzieci imigranckiego pochodzenia jednak rozmawiają między sobą dobrym niemieckim, jakoś się to udaje osiągnąć, mimo że w klasach jest tak dużo nie-Niemców. Jest dużo lepiej niż w moich czasach. Gdy ja poszedłem w 1977 roku do pierwszej klasy w Innenstadt, był w niej jeden Niemiec i trzydzieścioro siedmioro Turków. Przez dwa lata nic się nie nauczyłem po niemiecku, dopiero potem się rozkręciłem. Teraz się polepszyło przede wszystkim dlatego, że rodzice obecnego pokolenia uczniów już znają język, dzieci mówią po niemiecku w czasie wolnym, w klubach sportowych. I internet pomaga.

Ojciec Mustafy Kaynaka planował, że popracuje dwa–trzy lata, zarobi, odłoży i wróci do Anatolii.

– A co się stało? Po nim przyjechała żona z dwójką dzieci, dzieci poszły do szkoły. Ojciec dobrze zarabiał. Powiedział: „Zostańmy tu jeszcze pięć lat”. Życie potoczyło się dalej, kolejne lata, dzieci założyły własne rodziny,

pojawiły się wnuki. Rodzice doszli do emerytury, wrócili do Turcji, chcieli umrzeć w ojczyźnie. Moje pokolenie nie myśli już o powrocie. Turcy czują się tutaj bardzo szczęśliwi. Nie chcemy tu zostawić naszych dzieci. Hanau to teraz nasz *Heimat*, nasze strony ojczyste. Wielu młodych, jak jedzie na wakacje do Turcji, to czuje się tam obco.

7

Claus Kaminsky, niedawno po raz czwarty wybrany na nadburmistrza, polityk SPD, wysoki, postawny, nie wygląda na swoje sześćdziesiąt jeden lat. Spotykamy się w jego gabinecie w prawie pustym ratuszu, działającym według zasad covidowych. Obok jest posterunek policji.

– Byłem w domu, miałem się właśnie kłaść spać. Około dziesiątej wieczorem szef straży pożarnej i moja asystentka zawiadomili mnie, że w Hanau zastrzelono ludzi. Nie wiadomo było, co się za tym kryje, kim jest lub kim są sprawcy. Potem przyszła nowa informacja, że następni ludzie zginęli w Kesselstadt, to w sumie trwało trzy godziny. Nie zmrużyłem oka, googlowałem, wiedziałem, że jutro Hanau będzie innym miastem, niż było. Nie podobało mi się, gdy dzień, dwa dni później w doniesieniach medialnych podkreślano, że to zbrodnia o podłożu ksenofobicznym, z nienawiści do obcych. Na spontanicznej konferencji prasowej powiedziałem: „To nie byli żadni obcy. To nasi współobywatele, dzieci naszego miasta i naszego regionu. Obywatele niemieccy imigranckiego pochodzenia”. W Hanau prawie każdy ma takie pochodzenie, różni nas tylko to, od ilu pokoleń. Po moim nazwisku widać, że i ja. Mój pradziadek po mieczu w dziewiętnastym wieku przybył ze Śląska do Zagłębia Ruhry do pracy w kopalni. W następnym pokoleniu, na początku dwudziestego wieku, rodzina przeniosła się do Hanau.

Kto zawiódł? Policja, prokuratura? Kto nie przeczytał listów, nie zauważył manifestu?

– W napięciu czekam na raport prokuratury generalnej – mówi Claus Kaminsky. – Jestem wdzięczny, że landtag Hesji powołał komisję śledczą, która spróbuje odpowiedzieć na wszystkie pytania. To może trwać długo,

nie ma terminu. Skończy pracę, gdy uzna, że nic więcej nie może znaleźć. Sądzę, że wszystkie frakcje w landtagu są za wyjaśnieniem sprawy. I to dobrze. To trzeba wyjaśnić, taka jest racja stanu. Krewni ofiar muszą wiedzieć, że zrobiono wszystko, co można. To także ważne dla miasta, dla naszej wspólnoty. Teraz, tak subiektywnie, mogę powiedzieć, że biorąc pod uwagę te wszystkie znaki, które dawał sprawca, także prokuraturze generalnej, powinien być dokładnie sprawdzony. Przykre, że zrobiono to w niewystarczającym stopniu. Lub nie zrobiono wcale. Nie jestem za tym, by ścigać prawnie policjantów za problemy z dodzwonieniem się na numer alarmowy. Policjantów było na miejscu za mało, bo zostali wcześniej wezwani gdzie indziej. Można mówić o odpowiedzialności politycznej. Komisja landtagu się tym zajmie. Ja zażądałem dymisji ministra spraw wewnętrznych Hesji, właśnie z tego powodu: odpowiedzialności politycznej.

Hanau ma kilka miast partnerskich za granicą. Jedno z nich to podparyskie Conflans-Sainte-Honorine. Osiem miesięcy po strzelaninie w Niemczech w tym francuskim miasteczku zginął Samuel Paty, nauczyciel historii, który podczas zajęć o wolności słowa pokazał uczniom karykatury Mahometa. Młody dżihadysta obciął mu głowę trzydziestopięciocentymetrowym nożem.

– Samuel Paty pracował w szkole, która organizuje wymiany uczniowskie ze szkołą w naszym mieście – mówi mi Claus Kaminsky.

Partnerstwo Hanau i Conflans-Sainte-Honorine nabrało szczególnego wymiaru.

Heimat Hanau 2

2021

Czarno-białe zdjęcie, na nim gruzy, kikuty kamienic. „Drodzy Syryjczycy, tak wyglądało po wojnie Hanau, gdzie dorastałam od 1950 roku. Mieszkańcy odbudowali je własnymi rękami. Jeżeli wy kochacie swój kraj i swój *Heimat*, wróćcie do Syrii i odbudujcie swoje miasto".

Taki wpis 31 stycznia 2018 roku zamieściła na Twitterze Erika Steinbach.

Sama o sobie: „Dziś głównie osoba prywatna. Wcześniej polityczka, skrzypaczka, informatyczka, dyplomowana urzędniczka administracji publicznej. Pasje: poezja, dobra muzyka, przyroda".

Ode mnie: Przez lata negatywnie wpływała na stosunki polsko-niemieckie.

1

Była przewodniczącą Związku Wypędzonych (BdV) i posłanką CDU. Przedstawiała się jako ofiara wysiedleń, opowiadała o rodzinnych stronach na terenie dzisiejszej Polski, które – jak zapewniała – utraciła.

Gdy okrzepła w nowej roli na czele BdV, zaczęła się domagać, by Niemcy zażądały od Polski „uleczenia zbrodni wypędzenia", czyli odszkodowań dla wysiedlonych, a nawet przekazania wsi, które – jak sugerowała – stały puste. W razie niespełnienia tego warunku Niemcy miały postawić weto wobec członkostwa Polski w Unii Europejskiej.

Weto wystarczy, nie potrzeba samolotów bojowych, pisała Steinbach w tekście opublikowanym w 1999 roku w dzienniku „Süddeutsche Zeitung”, na pewno nie konserwatywnym.

Miejsce publikacji nie było przypadkowe. Także na lewicy zmieniała się ocena skutków drugiej wojny światowej. Coraz więcej zwolenników uzyskiwała teza Steinbach, że Niemcy byli takimi samymi ofiarami jak inni. Każde wysiedlenie – Ormian, Albańczyków, Polaków, Niemców – jest taką samą zbrodnią. Mówiła o tym łagodnym językiem, co chwilę wspominała o prawach człowieka, demokracji, pojednaniu i zrozumieniu, powoływała się na liberalne autorytety, przyciągała do projektów przedstawicieli środowisk żydowskich. Patronem nagrody BdV uczyniła Franza Werfla, pisarza z pierwszej połowy dwudziestego wieku, urodzonego w rodzinie praskich Żydów.

Takim sympatycznym wizerunkiem zwodziła Niemców przez kilkanaście lat. Skończyło się, gdy na scenie politycznej pojawiła się partia, o jakiej zawsze skrycie marzyła. Steinbach porzuciła CDU i niemiecki główny nurt. Poparła AfD, w pełni i z radością.

2

Erika Hermann, później Steinbach, urodziła się w 1943 roku w Rumi, po niemiecku Rahmel, niedaleko Gdyni. To terytorium Polski i teraz, i przed drugą wojną światową. Niemieccy wysiedleni region nazywają Prusami Zachodnimi (Westpreussen).

Miejsce urodzenia było przypadkowe. W Rumi służył jej ojciec, podoficer okupacyjnej armii. Ani on, Wilhelm Karl Hermann, ani jego poślubiona pół roku przed urodzeniem Eriki żona, również Erika, z domu Grote, nie mieli nic wspólnego z tymi terenami. Szefowa BdV nie straciła w Polsce *Heimatu*, zbudowała swoją karierę w środowiskach wysiedlonych i w CDU na łzawej legendzie. Na nieprawdzie.

Wykazałem to po kilkumiesięcznym śledztwie dziennikarskim, jednym z najtrudniejszych, jakie przeprowadziłem, pracując w „Rzeczpospolitej”.

Pomagał mi gdański korespondent gazety Piotr Adamowicz, teraz poseł na Sejm.

3

Przeglądam segregator „Sprawa Eriki Steinbach" z mojego archiwum. Wycinki, kopie dokumentów, czasem pochodzących sprzed ponad stu lat, listy, notatki. Jest i trzystronicowa kopia przesłanej faksem 8 czerwca 2000 roku autoryzacji wypowiedzi z naszej rozmowy. Rozmowa wieńczyła pracę nad tekstem.

O uznaniu granicy polsko-niemieckiej: „Głosowałam przeciw, ale zawsze mówiłam, że granica na Odrze i Nysie jest teraz [„teraz" – dopisane ręcznie] granicą demokratycznie usankcjonowaną. Byłam przeciw, ponieważ tam, gdzie się urodziłam [„gdzie się urodziłam" – dopisane ręcznie], straciłam mój *Heimat*. Sądzę, że także niektórzy Polacy z dawnej Polski wschodniej tak by postąpili, gdyby musieli głosować w sprawie tego, jak teraz przebiega polska granica wschodnia".

O Prusach Zachodnich: „Tam się urodziłam, ale w gruncie rzeczy byłam malutkim dzieckiem, gdy stamtąd wyruszyliśmy. Nigdy nie zapuściłam tam prawdziwych korzeni, czyli nigdzie nie mogło się rozwinąć uczucie do stron rodzinnych, także nie tutaj – w zachodnich Niemczech [słowa po ostatnim przecinku dopisane ręcznie].

Uciekliśmy statkiem w lutym 1945 roku do Szlezwika-Holsztynu, to była ucieczka przed Armią Czerwoną".

To były cytaty z pierwszej części rozmowy, kiedy jeszcze nie przedstawiłem wyników śledztwa. Następne są już z części drugiej.

„Moi rodzice przybyli do Rumi w czasie drugiej wojny światowej".

„To był, prawdę mówiąc, przypadek, że urodziłam się w Prusach Zachodnich. Ale miałam liczące setki lat korzenie na Śląsku, w Neurode [Nowej Rudzie]. Wiele się o tym w mojej rodzinie mówiło, o Karkonoszach, Górach Sowich, Liczyrzepie".

Ale i Neurode rodzina opuściła – i to nie po drugiej wojnie światowej, ale przed pierwszą. Neurode jeszcze przez ponad dwie dekady należało do

Niemiec.

„To prawda, mój dziadek Hermann przed pierwszą wojną światową dobrowolnie przeniósł się ze Śląska do Hesji”.

Dlaczego zatem wysuwała roszczenia wobec Polski, powołując się na utratę swojego *Heimatu* za granicą na Odrze i Nysie?

„Wybrano mnie na przewodniczącą Związku Wypędzonych i cieszę się zaufaniem członków ziomkostw. Chodzi o uzasadnione kwestie związane z prawami człowieka, kieruję je także do Czech czy Słowenii”.

4

Przez lata Hanau kojarzyło mi się z Eriką Steinbach.

Tutaj urodził się jej ojciec. Matka w Bremie, podobnie daleko od granic Polski, i obecnych, i tych przedwojennych. Z Hanau pochodziła jej babka po mieczu. I sama Erika Steinbach tu spędziła znaczną część swojego życia. Jeżeli jest gdzieś jej *Heimat*, to pewnie w Hanau, w środku Niemiec.

O tym mieście świat usłyszał w związku z wydarzeniami 19 lutego 2020 roku. O dziewięciorgu zastrzelonych dlatego, że nie wyglądali na Niemców.

Erika Steinbach zareagowała na Twitterze. Sprawca jej zdaniem był „obłąkany i wymagający leczenia. To wygląda na paranoję”.

Niezrównoważony psychicznie, psychopata, paranoik. Tak sprawcę określała skrajna prawica, w tym AfD. Inni mówią „masowy morderca”, czasem „terrorysta”. Nadburmistrz Hanau Claus Kaminsky woli słowo „rasista”.

Somalijskiego uchodźcę, który ponad rok później zadźgał nożem trzy osoby w położonym sto kilometrów od Hanau Würzburgu, AfD nazywała islamskim terrorystą. Inni wspominali o jego problemach psychicznych, czasem dodając, że zbrodnia mogła mieć motyw islamistyczny, ale nie jest to takie pewne.

„Kanclerz nie wyraziła żadnego współczucia” – napisała Erika Steinbach jedenaście dni po zbrodni w Würzburgu. I zamieściła zdjęcie

Stefanie Wagner, pięknej jasnowłosej dziewczyny zamordowanej przez Somalijczyka. „Nazwiska ofiar z Würzburga są przemilczane. Chcę, by także one miały swoje miejsce pamięci, by anonimowe nie popadły w zapomnienie” – apelowała. Czytelne odniesienie do #SayTheirNames, akcji przypominania o ofiarach z Hanau.

Z AfD Erika Steinbach zaczęła się identyfikować w czasie kryzysu imigracyjnego z 2015 roku. Sama już nigdzie nie kandyduje, ma siedemdziesiąt osiem lat, ale stoi na czele powiązanej z AfD fundacji, która przewrotnie i w dawnym stylu Steinbach na patrona wybrała sobie Erazma z Rotterdamu, humanistę.

5

Pytam o Erikę Steinbach w Hanau. Dziennik „Hanauer Anzeiger” prawie nie zwraca na nią uwagi. W internetowym archiwum gazety jest zaledwie kilka informacyjnych tekstów, w których pojawia się jej nazwisko. Żadnego wywiadu, żadnej dłuższej opowieści, nic o *Heimacie*.

– Nie wiem, czy tu mieszka – mówi nadburmistrz Kaminsky. – Nie sądzę. Ale mnie to nie interesuje. W radzie miasta nie ma frakcji AfD. Co nie znaczy, że nie ma w Hanau ludzi o takich poglądach.

Idylla

2021

Na wiejskich domach napisy: „Wybudowany w roku trzecim”, „czwartym”, „piątym”. W pierwszych latach Tysiącletniej Rzeszy. Odpowiednio 1935, 1936 i 1937 roku.

Mur pruski: czerwona cegła i czarny drewniany szkielet. Okna w białych ramach. Spadziste dachy, części z nich nie pokrywa już trzcina, jak w czasach, gdy powstawały, lecz metalowa dachówka. Domy noszą nazwy miast i regionów: Haus München, Haus Berlin, Haus Mecklenburg, Haus Kurhessen, Haus Pommern, Haus Schlesien czy Haus Heidelberg.

O takich wsiach, położonych wśród jezior i lasów, z odpowiednią architekturą i mieszkańcami czystymi rasowo, mówiło się *NS-Idylle*, narodowosocjalistyczna sielanka. Było ich sporo, zwłaszcza w tej części Niemiec, dzisiejszym landzie Meklemburgia-Pomorze Przednie. Lecz Alt Rehse wyróżnia się wśród nich. W pierwszych latach Tysiącletniej Rzeszy zbudowano tu Führerschule der Deutschen Ärzteschaft, szkołę przywództwa lekarzy niemieckich. Jej motto głosiło: „Nie wypisujemy długich recept, to umieją i inni – my leczymy duszę narodu”. Przewinęło się przez nią kilkanaście tysięcy lekarzy, stomatologów, farmaceutów, pielęgniarek.

Na czterotygodniowych kursach młodzi medycy słuchali wykładów: „Genetyka i eugenika”, „Praca wychowawcza w zakresie polityki rasowej”, „Ustawy norymberskie”, „O prawie o zapobieganiu potomstwa chorego genetycznie”, „Lekarz jako wychowawca”, „Rośliny lecznicze”, „Biologia

w kierowaniu państwem”. O tym wykładali profesorowie, doktorskie sławy i radcy ministerialni. „O masonerii” – podoficer z SS.

Kształtowano tutaj także nowe niemieckie położne. Miały być aryjskie, kompetentne, z narodowosocjalistycznymi przekonaniami. I meldować o narodzinach dzieci zdeformowanych i z wadami genetycznymi.

Na otwarcie Führerschule 1 czerwca 1935 roku przyjechała elita ówczesnych Niemiec, uroczystość transmitowały rozgłośnie radiowe. Rudolf Hess, zastępca Führera, mówił: „Wyobrażenie, które mamy o prawdziwych narodowosocjalistycznych lekarzach, jest proste do określenia. W centrum ich zadań jest naród, poprawa lub utrzymanie jego stanu zdrowia. Ze swojej strony lekarz wspiera narodowosocjalistyczne dążenie na rzecz czystości rasowej”.

– Lekarze odgrywali kluczową rolę w rasistowskim społeczeństwie. Nie można ich co prawda porównywać z SS. Nie musieli spełniać takich aryjskich wymagań: minimum sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i niebieskie oczy, by wykładać w Führerschule w Alt Rehse, ale mimo to byli elitą. Ci, którzy tu przyjeżdżali, musieli być z przekonania nazistami, żadnymi liberałami czy konserwatystami. Większość była członkami partii NSDAP czy związku lekarzy Rzeszy NSDÄB – mówi Fabian Schwanzar, historyk pracujący w prywatnym stowarzyszeniu Erinnerungs-, Bildungs- und Begegnungsstätte (EBB), organizującym wystawy i zbierającym dokumenty dotyczące dawnej wzorcowej wsi i szkoły w Alt Rehse. – Budynek, w którym pracujemy, nie należy do nas, wynajmujemy go. Jest opór wobec naszej obecności.

1

Pierwszy dom przy wjeździe do wsi to Haus München. Przeszło dwadzieścia lat temu odwiedziłem w nim burmistrza Wolfganga Köppa, który badał historię wsi i wydał o niej książkę. Na płocie wisi napis: „Uwaga, psy!”. Dzwonię. Wybiegają dwie czarne bestie. Skaczą przy furtce, rytmicznie pojawiają się nad nią pyski z wyszczerzonymi zębami. Wydaje mi się, że psy zaraz znajdą się po mojej stronie. I nagle cisza.

Z wzorcowego narodowosocjalistycznego domu, wybudowanego w roku trzecim Tysiącletniej Rzeszy w czystej rasowo wsi, wychodzi ciemnoskóry mężczyzna. Sympatyczny, wysoki, lekko łysiejący, koło trzydziestki.

– Dzień dobry. Czy jest pan Köpp? – pytam po niemiecku.

– Ja słabo mówię – odpowiada mężczyzna. I przechodzi na angielski: – Jestem partnerem wnuczki pana Köppa. Już prawie mężem. Niedługo, naprawdę niedługo, mamy się pobrać. Pochodzę ze Sri Lanki. Mieszkam tu od trzech lat, uczę angielskiego, zazwyczaj nie wychodząc z domu, wirtualnie.

– Musi się poduczyć niemieckiego. Nie wiem, jak tu dotarł, nie interesowałem się tym. Poznali się z moją najstarszą wnuczką w Rostocku, mieszkają razem z dwójką dzieci. Wywodzi się z dobrze sytuowanej rodziny, jego ojciec kilka razy odwiedzał Alt Rehse – mówi Wolfgang Köpp, którego zastaję w domu wskazanym przez Lankijczyka. Z Haus München przeprowadził się do nowego trzykondygnacyjnego budynku, przy parku, w którym stoją gmachy dawnej szkoły lekarzy od uzdrawiania niemieckiej duszy. Gdy widzieliśmy się poprzednim razem, ponad dwie dekady temu, wybierał się na emeryturę. Teraz ma osiemdziesiąt osiem lat. Łysa czaszka, jak przed laty, flanelowa koszula i bluza bez rękawów. Jest w świetnej formie. Na stoliku leży stos grubych zeszytów z sudoku. Wolfgang Köpp od dawna nie jest już burmistrzem. Nie ma już zresztą takiej funkcji, wieś z trzystu kilkudziesięcioma mieszkańcami wcielono do miasteczka Penzlin.

Köpp, z wykształcenia weterynarz, pierwszy nagłośnił historię szkoły, w której łączono medycynę z ideologią rasową. Odnalazł dokumenty podpisywane pozdrowieniem „*Heil* Hitler!” i listę dygnitarzy Trzeciej Rzeszy, którzy tu przyjeżdżali. Przed laty opowiadał mi o prominentnym lekarzu, który na własnym niepełnosprawnym synu zrealizował zasadę likwidacji życia niegodnego życia. Pod koniec ubiegłego wieku Wolfgang Köpp walczył o inwestorów dla byłej wzorcowej wsi. Pojawił się jednak problem – o zwrot parku i budynków Führerschule ubiegało się stowarzyszenie lekarzy kas chorych, argumentując, że jest następcą prawnym podobnej organizacji z czasów nazistowskich. Na zarzuty, że to cyniczne i niemoralne, przedstawiciele stowarzyszenia odpowiadali:

„Jeździmy również koleją, choć w ten sposób wożono więźniów do Auschwitz”.

Władze landu unikały wówczas tematu jak ognia. Po miesiącu zwodzenia przesłały mi odpowiedź na pytania. Główna teza: W Alt Rehse powinno się dokumentować „zwodnicze pozory osiągnięć społecznych czasów nazizmu”.

2

Teraz Wolfgang Köpp niechętnie wypowiada się o szkole:

– Martin Bormann, jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, przyjeżdżał tu przez siedem lat, i o tym się mówi. Ale o tym, że potem w tych gmachach mieszkały sieroty wojenne, już nie. Alt Rehse to był nie tylko okres narodowego socjalizmu. Oczywiście, nie były to najpiękniejsze politycznie czasy.

Chętniej rozprawia o współczesności:

– Z polityką jest źle. Gdy jadę do miejsca, skąd pochodzę, do Deutsch Krone, teraz to polski Wałcz, to widzę, że dla tamtejszych mieszkańców ojczyzna i *Heimat* odgrywają wielką rolę. A u nas coraz bardziej są w pogardzie. Rzucamy się w mgłę. W czasach mojego dzieciństwa w okolicach Deutsch Krone babcie przekazywały nam wiarę. Jestem ewangelikiem. W naszej świątyni odbywa się jedno nabożeństwo na trzy miesiące, przychodzi dziesięć osób. Niedawno na zgromadzeniu naszego Kościoła w Berlinie nawet w niedzielę ani razu nie wspomniano o Jezusie Chrystusie. Biskup jedzie do Jerozolimy i w Bazylice Grobu Pańskiego zdejmuje krzyż. Co to ma znaczyć, przecież to symbol naszej religii! Niegdyś moja żona, która zmarła parę lat temu, chodziła do księdza katolickiego, młodego, pełnego wiary, ale go odwołano do Hamburga, bo tam zabrakło duchownych, gdy trzech księży wyrzucono za wykorzystywanie seksualne dzieci. W Polsce, którą często odwiedzam, Kościół katolicki miesza się do polityki, zamiast umacniać wiarę w ludziach. To wszystko mi się nie podoba – mówi Köpp.

Oglądam potem ewangelicki kościółek. Z końca dziewiętnastego wieku, w stylu, do którego nawiązywali architekci wzorcowej wsi. Wygląda jak dodatek do zabawkowej kolejki dla dzieci. Najbliższe nabożeństwo będzie za miesiąc, odprawi je pastorka Katharina Seuffert. Przed kościołem jest nagrobek małżeństwa Köppów: przy imieniu żony pana Wolfganga, Kariny z domu Pollok, data urodzenia i śmierci, przy jego jedna: 30 maja 1933 roku.

3

Wieś Alt Rehse przetrwała czasy NRD w prawie nienaruszonym stanie. Po zamknięciu sierocińca długo stacjonowała tu enerdowska armia. Teren był niedostępny. Po upadku muru berlińskiego stała się pokusą dla neonazistów. Gdy przyjechałem tam po raz pierwszy, były obawy, że ściągną do Alt Rehse, stworzą swoją osadę, założą przedszkole, świetlicę, klub, potraktują wieś jak miejsce kultu.

– Byłoby to logiczne. Niewiele jest miejsc z takim nagromadzeniem symboli atrakcyjnych dla ludzi o skrajnie prawicowych poglądach. Nie słyszałem, by teraz mieszkali tu jacyś neonaziści. Bardziej interesujące jest, jak się do tego odnosi AfD, czyli prawicowi populiści. To znacznie liczniejsza grupa niż neonaziści, trzeba podkreślić, że różna od nich. Mam wrażenie, że do wsi ciągną działacze AfD czy wyborcy tej partii – mówi Fabian Schwanzar.

W Alt Rehse, i to w domu z epoki Tysiącletniej Rzeszy, na pewno mieszka jeden polityk AfD. Nawet ważny. Horst Förster jest posłem do landtagu Meklemburgii-Pomorza Przedniego. W parlamentarnej frakcji AfD odpowiada za politykę migracyjną. Promuje hasła o Niemcach padających ofiarą „imigranckiej przestępczości” i domaga się od rządu landowego wyjaśnień, dlaczego ponad dwie trzecie decyzji o wydaleniu niedoszłych azylantów nie zostało wykonane. Nie chciał się ze mną spotkać ani porozmawiać. Nie odpowiedział na prośby przesyłane mejlem i poprzez media społecznościowe, na których jest aktywny.

Z publicznie dostępnych informacji wynika, że Horst Förster urodził się w 1942 roku i znaczną część życia spędził w zachodnich Niemczech, był tam nawet szefem regionalnego sądu. W 1991 roku pojawił się w byłej NRD, w roli dyrektora sądu w Neubrandenburgu. To sześćdziesięciopięciotysięczne miasto, przylegające do jeziora Tollense, nad którym leży też Alt Rehse.

– Bardzo spokojny, bardzo porządny człowiek, żadnej partyjnej reklamy we wsi nie robi. Nie mogę o nim złego słowa powiedzieć – podkreśla Wolfgang Köpp. Czy to znaczy, że sam jest wyborcą AfD? Nie odpowiada jednoznacznie: – Wyrosłem w klasie robotniczej, najpierw uczyłem się budowy maszyn, potem zrobiłem maturę i zacząłem studiować weterynarię. Ale w knajpie siadałem przy stole z robotnikami. Teraz lewica, w tym SPD, nie reprezentuje robotników. To ugrupowanie administracji, nauczycieli, klasy średniej. Tutaj wielu ludzi porzuciło SPD, podobnie jak CDU, i protestuje, głosując na AfD. Ja uważam tak, jak moi polscy przyjaciele: Unia Europejska powinna być Europą ojczyzn.

4

Ptaki śpiewają, trzmiele brzęczą. Malwy kwitną na biało i różowo, bujne, na dwa i pół metra. Wokół pola. Lśni wielkie jezioro. Po obu stronach alei, wybrukowanej kostką ze sprowadzonego ze Śląska granitu, stoją równe rzędy starych lip. W parku w gmachach dawnej Führerschule działa od kilku lat luksusowy hotel.

– W Meklemburgii turystyka to najważniejsza branża. Miejscowości turystyczne często mają tu nazistowską historię. Sielanka, odpoczynek: uważam, że trzeba je wyraźniej z tą historią połączyć. Przekazać ludziom, gdzie spędzają urlop. Ile historii mogą jednak znieść turyści, oto jest pytanie – mówi Martin Müller-Butz, historyk ze stowarzyszenia zajmującego się edukacją historyczną.

Spotykamy się w siedzibie stowarzyszenia przy murach starego miasta w Neubrandenburgu. Towarzyszy nam Fabian Schwanzar, z którym odwiedzam później Alt Rehse. Müller-Butz pochodzi ze wschodu,

Schwanzar z zachodu. Są z tego samego pokolenia, pierwszy ma trzydzieści siedem lat, drugi czterdzieści jeden.

– Eugeniką, eutanazją, higieną rasową zajmowano się w Niemczech i gdzie indziej – mówi Müller-Butz. – Uniwersytety i instytuty były nawet ważniejsze. Ale w Alt Rehse mamy do czynienia z wyjątkowym nagromadzeniem ideologii narodowosocjalistycznej w sprawach etyki i medycyny. Tam ją szerzono jak nigdzie indziej.

Moi rozmówcy dzielą miejsca pamięci związane z czasami Trzeciej Rzeszy na *Täterort* (miejsce sprawców) i *Opferort* (miejsce ofiar).

Martin Müller-Butz:

– Alt Rehse to była biała plama na mapie pamięci w NRD. W enerdowskiej, tak zwanej antyfaszystowskiej polityce pamięci były uznawane miejsca ofiar: Buchenwald, Sachsenhausen, Ravensbrück.

Fabian Schwanzar:

– Alt Rehse to *Täterort*, bo tam nikt nie został zabity. Zajmowano się tematem eutanazji, ale na miejscu nie była wykonywana. Politycy i społeczeństwo odkryli miejsca sprawców w Niemczech później niż miejsca ofiar, jak wspomniane obozy koncentracyjne na wschodzie. Dyskusje o tym, jak postępujemy z tymi sprawcami, z pozoru normalnymi ludźmi, zaczęły się w latach dziewięćdziesiątych. I sprawcy stali się dla historyków istotniejsi.

W siedzibie stowarzyszenia EBB w byłej wzorcowej wsi, w której pracuje Schwanzar, jest wystawa „Alt Rehse i złamana przysięga Hipokratesa”. Co szósty niemiecki lekarz odbył szkolenie w Führerschule. Mieli tam poczucie wspólnoty, nawiązywali przyjaźnie, wstawali o świcie, pływali w jeziorze, wieczorem pili piwo, dwa razy dziennie uczestniczyli w apelach, podczas których wciągano flagę na maszt. „Życie jak Adama w raju, zanim Ewa powstała z jego żebra” – pisał młody lekarz o imieniu Paul do swojej ukochanej żony w lecie 1935 roku. Codziennie wysyłał jej do Düsseldorfu pocztówkę z widokiem z wzorcowej wsi. Pocztówki również można oglądać na wystawie. Wszystko się tu Paulowi podobało – spotkanie z Rudolfem Hessem, drewniane meble, jedzenie tak dobre, że bał się, że przytyje. Imponowało mu, że na łóżku nad nim, młokosem, spał

lekarz rejonowy z Norymbergi. „W zagrodzie, która ma dwa tysiące mórg, w zgodnej kompanii z dziewięćdziesięcioma lekarzami żyje trzysta sześćdziesiąt świń, trzysta owiec, czterdzieści kur i konie. A w parku jelenie, czaple, żurawie, bociany i wszystkie zwierzęta, jakie tylko sobie możesz wyobrazić”.

Jak piszą autorzy wystawy, Führerschule w Alt Rehse stanowiła wizytówkę nazistowskiej polityki zdrowotnej. Była znana nie tylko w Niemczech. Wspomniano też o niej podczas norymberskiego procesu lekarzy w 1946 roku. Ale jej znaczenie nie zostało właściwie uchwycone, bo skupiono się na strasznych eksperymentach medycznych w obozach koncentracyjnych i na masowych mordach pacjentów. Powszednia zbrodnicza działalność medyków nigdy nie została rozliczona.

5

We wsi postawiono w ostatnich latach sporo nowych budynków; część z nich wiernie naśladuje te z czasów Führerschule. Na niektórych są nawet podobne napisy, jak Haus Lübeck. Brakuje tylko informacji, że zostały wzniesione w pierwszych latach Tysiącletniej Rzeszy. Teraz trzeba by napisać: „w roku osiemdziesiątym ósmym”.

– Osoby prywatne, które wznoszą takie domy, czynią to całkowicie świadomie. To deklaracja światopoglądowa. Nawiązują do tamtej estetyki, tamtego nazewnictwa, traktują Alt Rehse jak wieś wzorcową – mówi doktor Müller-Butz.

Wieś to uporządkowana, schludna. Główna aleja bez zarzutu, park z gmachami dawnej szkoły nazistowskich lekarzy, hotel, stare i nowe domy – dopieszczone. Wszystko można by uznać za wzorcowe, gdyby nie jeden budynek, stojący trochę z boku, ale nie do przeoczenia nawet dla kogoś, kto wpadnie tu na chwilę. Jest za duży, by go nie zauważyć.

Harmonię burzy wyjątkowy obiekt budownictwa rolniczego, wzniesiony w roku czwartym Tysiącletniej Rzeszy. Był jednocześnie magazynem zboża, młynem i mleczarnią. Ta pierwsza funkcja musiała być najważniejsza, gdyż nazywano go spichlerzem.

Dziś wygląda, jakby przeniesiono go z dzielnicy zamieszkanej przez młodzież alternatywną. Oblepiony plakatami, zamazany napisami po niemiecku i angielsku przeklinającymi Kościół katolicki i ewangelicki, partię CDU, znanych polityków, także z innych ugrupowań. *Fuck off Vatikan*, „Chrześcijańska teologia to kłamstwo. Do diabła z teologami i prawnikami”, „Nie może być Unii Europejskiej z Ursulą [von der Leyen]”. Obok zachwalające jogę hasła, indyjskie obrazy i wyznanie *We love Aisha*. Do tego krótki manifest o europejskiej demokracji: „Alt Rehse to jej świątynia wartości, Paryż – parlament kulturalny, Moskwa – parlament polityczny, Berlin – parlament gospodarczy”.

Spichlerz otaczają stare emaliowane wanny, pełno tu bibelotów, zepsutych narzędzi. W środku, co ujrzą już tylko wybrańcy, bałagan jest jeszcze większy. Na parterze mnóstwo pogniecionych ubrań na metalowych stojakach, jak w podupadłym second handzie. Enerdowska maszyna do obróbki ziarna. Na poddaszu barłóg i kilkanaście tandetnych figurek Buddy – miejscowa świątynia.

Gospodarzem spichlerza jest jeden z najdziwniejszych ludzi, jakich w Niemczech poznałem: Bernd Haldenwang. Każe o sobie mówić Cosmo. Pochodzi z zachodu, z okolic Stuttgartu, bastionu niemieckiego kapitalizmu. Przez lata pracował w wielkich koncernach jako inżynier oprogramowania.

– NRD miała swoją przemianę w 1989 i 1990 roku, ja takiej doznałem w 1998 roku, gdy byłem w Indiach. Zostałem buddystą i przeprowadziłem się do wschodnich Niemiec. Kupiłem spichlerz za jedno euro. Jak się tu pojawił ktoś z zachodnich Niemiec, to mu wszystko dawali za darmo – mówi Haldenwang.

Ma siedemdziesiąt trzy lata, ale wygląda na znacznie mniej, jest szczupły, wysoki. Przyjmuje mnie w skromnym mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty w miasteczku Gransee, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Alt Rehse, w połowie drogi do Berlina. Chodzi w błękitnym T-shircie i pomarańczowych kapciach i co chwilę mówi *Namaste*, składając dłonie jak do pacierza.

Głosi, że na jego terytorium w Alt Rehse nie obowiązuje konstytucja Republiki Federalnej.

– Konstytucji właściwie nie ma, narzucili ją alianci. Jedyne, co się w niej liczy, to artykuł pierwszy: godność człowieka jest nienaruszalna. Konstytucji nie ma zwłaszcza tu, na wschodzie. Trzeba było zostawić dwa państwa niemieckie – mówi.

– Skąd ta nienawiść do chrześcijaństwa, do polityków?

– Nie mam wrogów: to wszystko prowokacja, jestem artystą, muszę jechać po bandzie, ryzykować, że mnie wsadzą do więzienia jak Mandelę.

– A dlaczego Moskwa to polityczne centrum pańskiego świata?

– Jako artysta mogę wysłać parlament polityczny do Moskwy, a Putina przedstawiać jako dobrego cara, pan zaś może pisać, co pan chce. Generalnie w sprawach duchowych, politycznych, wszystkich nawiązuję do Johannesa Heinrichsa, profesora z Duisburga. On jest przeciwnikiem dzisiejszego systemu partyjnego. Proszę się wczytać w jego filozofię integralną. Sam go nie do końca rozumiem, ale w pełni popieram.

Rozmawiam o Berndzie Haldenwangu z Fabianem Schwanzarem:

– Cosmo można nazwać prawicowo-populistycznym buddystą. Jego projekty artystyczne łączą duchowość z hasłami antydemokratycznymi. Tezy głosi jak Reichsbürger.

Reichsbürger, czyli ruch Obywateli Rzeszy, nie uznaje dzisiejszego państwa niemieckiego. Traktują je jak marionetkowy twór obcych sił. Nie chcą płacić podatków ani przyjmować niemieckich dokumentów.

– On nas terroryzuje. Nagle się tu pojawił, zdewastował obiekt o wyjątkowym znaczeniu – mówi o Cosmo były burmistrz Wolfgang Köpp. – A landowy urząd ochrony zabytków w ogóle nie reaguje. Jak jakaś staruszka odnowi okienko na poddaszu, to zaraz przyjeżdża urzędnik ze stołecznego Schwerinu i sprawdza, czy wszystko zrobiła zgodnie z zasadami. W takim wypadku niemiecka biurokracja działa natychmiast, a jego nie ruszają. On mówi, że jest buddystą i że buddyzm to najbardziej tolerancyjna religia. A działa odwrotnie, rujnuje swoimi poglądami całą wieś.

Na czym polega ten buddyzm Bernda Haldenwanga? Kto przychodzi do jego świątyni w spichlerzu w Alt Rehse?

– Nie mam wyznawców. Życie prowadzę normalne. Kawa, herbata, piwo, czasem cygaro i koniak. Dieta? Chodzę do pobliskiego supermarketu, mają dobrą jagnięcinę. Do tego spätzle, kluski z moich rodzinnych stron. Wegańskie też może być, w Indiach próbowałem. I unikam cukru.

W jego opowieściach pojawiają się kobiety różnych narodowości, niektóre mogłyby być jego wnuczkami.

– Teraz odwiedzam Niemkę w sąsiednim bloku z wielkiej płyty, jak ten mój. Ostatnio nie było łatwo, w łóżku musiałem się przepychać z owczarkiem kaukaskim. Także dzięki kobiecie trafiłem do Alt Rehse. Jeździliśmy jej samochodem po okolicy, szukałem lokalu na atelier. I tam poczułem się jak dziecko. Wiedziałem, że to to miejsce. Nie ma to nic wspólnego z przeszłością, z wzorcową wsią nazistowską. To mnie nie interesuje. A od pana oczekuję, że pomoże mi pan w wylansowaniu profesora Johannesa Heinrichsa, mistrza filozofii integralnej. On powinien zostać prezydentem Niemiec.

Święto miasta Chemnitz

2020

Chemnitz ma fatalny wizerunek. Jak to ze wschodnioniemieckimi miastami bywa, dorobiło się go w zachodnich landach. Lokalne elity dowiedziały się, że łamią praworządność, drżą przed nazistowską hołotą, tolerują polowania na cudzoziemców i – trzydzieści lat po upadku muru berlińskiego – nie wyzwoliły się spod wpływów enerdowskiej bezpieki.

Na wizerunku zaważyły dwa wydarzenia. Jedno rozegrało się na ulicach Chemnitz, drugie w sali sądu w Dreźnie. Do obu by nie doszło, gdyby nie śmiertelne ciosy nożem zadane na miejskim festynie Danielowi H., zwykłemu niemieckiemu stolarzowi o niezwykłym pochodzeniu. I gdyby nie to, że był ofiarą imigrantów z Bliskiego Wschodu. Młody Syryjczyk, Alaa S. (ściślej: Alaa Sz., ale pozostańmy przy tej używanej w Niemczech wersji), siedzi za to zabójstwo w więzieniu. Podkreśla, że jest niewinny. Nie ma jednak co marzyć o wyjściu na wolność. Wyrok, co niektórych zaskoczyło, potwierdził sąd wyższej instancji.

Padły już nazwy dwóch miast. Chemnitz i Drezno leżą w Saksonii, w Niemczech wschodnich, w dawnej NRD. Dodajmy do tego Monachium, stolicę Bawarii, czyli prawdziwy zachód. Tam, w odległości czterech godzin jazdy autostradą z Chemnitz, jest kancelaria Ricardy Lang, prawniczki, która broniła Syryjczyka. To Lang narzuciła zachodnioniemieckiej opinii publicznej sposób postrzegania wydarzeń na ulicach Chemnitz i w sądzie w Dreźnie. Była trendsetterką.

1

26 sierpnia 2018 roku, godzina 3.16. Na numer alarmowy 112 dzwoni kobieta pochodząca z byłego ZSRR. Mówi o ofiarach bójki: Danielu H., który leży bez ruchu na chodniku, zakrwawiony, i o swoim mężu, urodzonym w Rosji, rannym od dźgnięcia w plecy.

Gdzie? Kilkadziesiąt metrów na wschód od skrzyżowania Strasse der Nationen i Brückenstrasse, głównych ulic w Chemnitz, przy którym znajduje się bar Alanya Kebab – ta nazwa pojawi się jeszcze wiele razy. Kilkadziesiąt metrów na zachód stoi pomnik Karola Marksa, wielka głowa z brązu z charakterystyczną brodą i burzą włosów. To lokalizacja kluczowa dla późniejszych gwałtownych wydarzeń, które obserwowały całe Niemcy. Również przy Brückenstrasse i dokładnie naprzeciwko miejsca zbrodni znajduje się redakcja najważniejszej gazety w regionie „Freie Presse". Tej nocy żaden dziennikarz tam nie pracował. Była to nietypowa noc. Wielu mieszkańców świętowało osiemset siedemdziesiątą piątą rocznicę powstania Chemnitz, trzeciego pod względem wielkości w landzie.

Gdy rozeszła się wieść o zadźganiu Niemca przez imigrantów, na Brückenstrasse – pod pomnikiem Marksa i przy miejscu zbrodni – pojawił się wielotysięczny tłum. Najważniejsze media w Niemczech dostrzegły prawicowych radykałów wznoszących ręce w hitlerowskim pozdrowieniu i wykrzykujących hasło „Naród to my", znane sprzed trzech dekad z protestów przeciwko komunistycznej władzy w NRD. Doszło do zamieszek i ataków na przypadkowych ludzi wyglądających na imigrantów. Chemnitz stało się najważniejszym tematem w kraju.

– Przeczytałam o tym w gazecie – opowie mi Ricarda Lang w swojej monachijskiej kancelarii. – To przekraczało moje wyobrażenia, jak coś takiego może się dziać w Niemczech, kraju z taką historią. Byłam przerażona. Uznałam to za następstwo wejścia do Bundestagu Alternatywy dla Niemiec, za dowód osuwania się politycznie na prawo, co jest niebezpieczne. W Chemnitz skrajna prawica dostaje jedną czwartą głosów. Ci wyborcy to przedstawiciele wszystkich warstw społecznych, policjanci, nauczyciele. Na ulice wyszli nie tylko chuligani, ale i zwykli ludzie

niezadowoleni z powodu napływu imigrantów, za co winią CDU. To absurd. Tam nie ma imigrantów.

– Trochę jest, dwa procent mieszkańców to imigranci – odpowiem, odwołując się do przeczytanych tekstów. I oboje się zaśmiejemy. Potem znajdę oficjalne dane. Imigrantów jest jednak więcej. Liczbami zajmę się tu później.

– Zachód i wschód nadal się różnią. Inaczej, czyli lepiej, opisywano by takie wydarzenie, gdyby doszło do niego w zachodnim landzie. Ale sądzę, że tam coś podobnego by się nie wydarzyło – mówi Jens Eumann, dziennikarz „Freie Presse", który wnikliwie śledził proces Syryjczyka i wydarzenia, które go poprzedziły. Sam pochodzi z zachodu, z Duisburga w Nadrenii Północnej-Westfalii; od dwudziestu pięciu lat mieszka w Saksonii. Z okna jego gabinetu widać miejsce, gdzie zginął Daniel H. – Najważniejsza różnica z mojego punktu widzenia polega na tym, że tutaj zwykli ludzie stają obok neonazistów, razem z nimi protestują i nie mają z tym problemu. W moich rodzinnych stronach to niemożliwe, tam byłoby to przekroczeniem czerwonej linii – dodaje Eumann. W Duisburgu mieszkał w okolicy, gdzie jest wielu Turków: – Nie urządzaliśmy razem grilla, ale problemów nie było.

2

W opisie wydarzeń w Chemnitz z końca sierpnia 2018 roku kluczowe jest słowo *Hetzjagd* – tego miała się dopuścić rozwścieczona antyimigrancka tłuszcza. Ciężki zarzut, rzadko w Niemczech stosowany. Piętnujący.

Hetzjagd (w liczbie mnogiej *Hetzjagden*) to termin myśliwski, a nie prawny. Oznacza polowanie uporczywe, uprawiane przez ludzi i drapieżne zwierzęta. Ofiarę goni się długo i bezwzględnie, aż jest tak wyczerpana, że nie ma siły dalej uciekać i ginie. Słownik języka niemieckiego Duden podaje przykład polowania na dziki z udziałem psów. W Niemczech polowanie uporczywe jest od dawna zakazane.

Nowsze znaczenie dotyczy wyjątkowego rodzaju prześladowania ludzi. W Chemnitz dokonywano *Hetzjagden* – podkreślały czołowe media,

zachodnioniemieckie. Tego określenia użył też rzecznik rządu federalnego Steffen Seibert, a w końcu i sama Angela Merkel. „Mamy nagrania wideo pokazujące, że były *Hetzjagden*” – powiedziała kanclerz.

Na najbardziej znanym nagraniu, kilkunastosekundowym, utrwalonym na smartfonie, widać grupę Niemców. Idą z okrzykami: „Wynoś się”, „Nie zapraszamy”, w kierunku stojącego na środku ulicy imigranta, do którego nagle podbiega ubrany na czarno mężczyzna i próbując wymierzyć mu kopniaka, zmusza go do ucieczki. Są i inne nagrania z rozwścieczonym maszerującym tłumem, z którego dobiegają okrzyki: „Cudzoziemcy won!” czy „Precz z naszego miasta!”.

– Obserwującym z Berlina mogło się wydawać, że to *Hetzjagd*, ale my tu, na miejscu, musimy patrzeć dokładniej, żadne sformułowanie w takiej sprawie nie może być nieprecyzyjne – podkreśla dziennikarz Jens Eumann. Uważa, że można było mówić o *Hetze*, czyli podżeganiu, szczuciu, także o *Hetzparole* – słownym podburzaniu, ale nie o *Hetzjagd*.

Wzorcowym przykładem prawidłowego zastosowania tego określenia jest zdaniem Eumanna wcześniejsze o dwie dekady wydarzenie z Guben, też we wschodnich Niemczech. Zresztą o tym, że doszło tam do *Hetzjagd*, pisze się często, również w lokalnych wschodnioniemieckich mediach; w niemieckojęzycznej Wikipedii jest artykuł zatytułowany *Hetzjagd in Guben*.

Byłem przed dwudziestu laty w tym brandenburskim miasteczku przy granicy z Polską. Guben dorobiło się wtedy równie złej sławy jak teraz Chemnitz. W stolicy Brandenburgii, Poczdamie, trwała konferencja poświęcona walce z nienawiścią do cudzoziemców. A w Guben, na osiedlu klockowatych bloków, wykrwawiał się dwudziestoośmioletni Algierczyk. Tragicznie zakończyła się jego ucieczka przed wygrażającą mu bandą skrajnie prawicowej młodzieży. Wybita szyba z drzwi bloku, w którym próbował znaleźć ratunek, przecięła mu tętnicę. Kilku sprawców z Guben po długim procesie skazano za celowe spowodowanie uszczerbku na zdrowiu, którego następstwem jest śmierć człowieka.

3

Dziesięć dni po śmierci Daniela H., 5 września, odbyło się posiedzenie landtagu Saksonii. Swoją ocenę zamieszek, do których doszło na wieść o zabójstwie, przedstawił premier Saksonii Michael Kretschmer, polityk CDU: „Nie było żadnej hołoty, nie było żadnego *Hetzjagd*, nie było żadnych pogromów w Chemnitz. To są słowa, które nie opisują właściwie tego, co się wydarzyło”. Rzucił rękawicę szefowej swojej partii Angeli Merkel. I skrytykował zachodnioniemieckie media.

Szybko do dyskusji włączył się szef kontrwywiadu Hans-Georg Maaßen, co ważne – pochodzący z zachodu, również polityk CDU. W wywiadzie dla tabloidu „Bild” powiedział, że urząd, na którego czele stoi, nie ma wiarygodnych informacji o tym, jakoby w Chemnitz dochodziło do *Hetzjagden*. Na dodatek nagrania, na które powoływała się kanclerz, uznał za sfałszowane. Miały jego zdaniem odwracać uwagę od tego, co najistotniejsze – faktu, że ofiarą był Niemiec.

Po tym wywiadzie Maaßen stracił pracę.

– Podważył autentyczność nagrań wideo. A to bzdura, one były sprawdzane, wiadomo, gdzie i kiedy powstały. Nie jest jasne, dlaczego to zrobił. Potem, już po dymisji, mówił mi, że miał na myśli coś innego, chodziło mu, jak sądzę, o to, że to, co widać na nagraniach, nie odpowiada terminowi *Hetzjagd*. Ale nie to powiedział w wywiadzie – opowiada Jens Eumann.

4

Rok przed zabójstwem Daniela H. wiele emocji wywołały inne nagrania wideo i zdjęcia związane z imigrantami, także z festynu odbywającego się w rocznicę założenia Chemnitz. I również nie wszyscy ujrzeli na nich to samo. Tak jakby dostrzegali to, co chcą, lub nie dostrzegali tego, czego nie chcą. Jakby fotografia czy film nie były obrazem rzeczywistości, a liczyły się tylko poglądy tego, kto je ogląda.

Wideo zamieścił na Facebooku lokalny polityk AfD Lars Franke. Nie wierzy mediom, bo jego zdaniem łżą, dlatego sam wystąpił w ich roli. Nadał „pilną wiadomość” o przerwaniu imprezy na scenie pod pomnikiem Marksa. Pisał, że tańczyło od trzystu do pięciuset „pijanych Arabów”, a na całym festynie było ich tysiąc, i że wiele kobiet napastowano. To wszystko jego zdaniem dowodziło, że władze miasta ukrywają fakt nielegalnego osiedlenia w Chemnitz tysięcy azylantów.

Na nagraniach i zdjęciach, które ilustrowały „pilną wiadomość”, widać faktycznie wielu młodych mężczyzn o bliskowschodnich rysach; część wygląda na pobudzonych alkoholem, ale nie zaczepiają kobiet, stoją, kręcą się, tańczą w swoim męskim gronie. Niespójność tekstu i ilustracji nie przeszkadzała internautom – wpis Frankego udostępniono ponad cztery tysiące razy, pojawiło się pod nim prawie dwa tysiące komentarzy, głównie antymuzułmańskich i antyrządowych.

Następnego dnia okazało się, że festyn nie różnił się pod względem liczby przestępstw od tych z poprzednich lat. W bójce z udziałem około setki osób rannych zostało trzynaście. Policja dostała dwadzieścia siedem zgłoszeń. Sprawcami, podawano, byli przede wszystkim cudzoziemcy i azylanci. Jedno zgłoszenie dotyczyło napastowania kobiety.

5

Daniel H. nie był typowym Niemcem. Nazwisko tego nie sugeruje, jest niemieckie. Początkowo było podawane, wymienił je nawet przewodniczący saksońskiego landtagu Matthias Rößler, polityk CDU, rozpoczynając wspomnianą już debatę parlamentarną o wydarzeniach w Chemnitz. Chwilę później premier Michael Kretschmer powiedział: „Rodzina chce pozostać anonimowa. Rozumiemy to i akceptujemy”.

Przy Brückenstrasse, w miejscu, gdzie zginął Daniel H., w płytę chodnikową wklejono skromną metalową tabliczkę. Poza imieniem i inicjałem oraz datą śmierci jest na niej tylko okrągły znak pokoju, pacyfa. Byłem tam trzykrotnie, w odstępach kilku miesięcy – napis stawał się coraz

mniej widoczny. Za ostatnim razem prawie nie dało się go odczytać. Nikt się przy nim nie zatrzymywał.

Daniel H., z zawodu stolarz, miał ciemną cerę, ciemne włosy, ciemne oczy, wydatne usta. Widać to na zamieszczanych w internecie zdjęciach. Urodził się w 1982 roku w Karl-Marx-Stadt, jak wówczas nazywało się Chemnitz, „jako syn niemieckiej matki i kubańskiego ojca. Rodzice nie mieli ślubu, ojciec poszkodowanego został przed jego urodzeniem wydalony z ówczesnej NRD" – czytam w dokumentach prokuratury.

– Miał z tym wyglądem i pochodzeniem problem. Ci, którzy go znali, jednoznacznie o tym wspominali po jego śmierci. Neonaziści upajali się okrzykami: „Daniel, Daniel!", a jego przyjaciel, też pochodzenia kubańskiego, pisał w mediach społecznościowych: „Przecież ci, co teraz demonstrują, tłukli nas, bo nie byliśmy wystarczająco niemieccy". Partnerka Daniela podkreślała, że nie chciałaby, aby w jego sprawie wychodzili na ulicę radykałowie. Potem się zmieniła, zaczęła sympatyzować z prawicą – mówi dziennikarz Jens Eumann.

Daniel H. na swoim profilu na Facebooku zamieszczał wypowiedzi znanych osób, z którymi skrajna prawica się nie identyfikuje – Martina Luthera Kinga i Boba Marleya. Pacyfa na tabliczce ku jego pamięci też nie kojarzy się ze środowiskami, które uznały go za męczennika swojej sprawy. Jak opowiada Eumann, podczas pierwszej demonstracji po zabiciu Daniela H. przemawiał jeden z liderów miejscowej skrajnej prawicy, Martin Kohlmann, adwokat i polityk radykalnego ugrupowania Pro Chemnitz. Na jego słowa „Jeden z nas, zabity Niemiec…" z tłumu padł okrzyk: „To nie był żaden Niemiec!".

– Kohlmann był zirytowany – podkreśla Eumann.

Później polityk przemawiał już z kubańską flagą w rękach, podkreślając, że wbrew zarzutom nie ma problemu z tym, że Daniel H. czuł się i Niemcem, i Kubańczykiem. I zapewniał: „Nie jesteśmy neonazistami, jak nas nazywają, wywodzimy się z samego środka społeczeństwa".

Syryjczyk i dwóch Irakijczyków. Tak od razu przedstawiono podejrzanych. „To dwaj Irakijczycy i Syryjczyk przypuszczalnie dopuścili się tego haniebnego czynu” – grzmiał dziesięć dni po zabójstwie, rozpoczynając debatę w saksońskim parlamencie, jego przewodniczący Matthias Rößler.

Jednego Irakijczyka szybko wypuszczono z braku dowodów, drugi – Farhad Ramazan Ahmad – uciekł i jest poszukiwany listem gończym. Skazany został Syryjczyk. Wyrok na Alaę S., dziewięć i pół roku pozbawienia wolności, zapadł niemal równo w rocznicę śmierci Daniela H. Kilka dni później, 1 września 2019 roku, odbyły się wybory do landtagu Saksonii.

Akt oskarżenia przeciw Syryjczykowi prokuratura w Chemnitz sporządziła pod koniec grudnia 2018 roku: Alaa S. urodził się w 1995 roku w Kalaat al-Husn (to arabska nazwa słynnego zamku krzyżowców Krak des Chevaliers w północno-zachodniej Syrii; pewnie chodzi o miejscowość w pobliżu). Ma troje rodzeństwa, żadne nie przebywa w Niemczech. Jest obywatelem Syrii. Po raz pierwszy wjechał na teren Niemiec 24 kwietnia 2015 roku, 12 maja tego samego roku wystąpił formalnie o azyl. Kilka miesięcy później dostał status uchodźcy, a w kwietniu 2016 roku prawo pobytu w Niemczech na trzy lata. Zawód wyuczony: fryzjer. Przez dwie godziny dziennie pracował w barber shopie w Chemnitz. Żył głównie z zasiłku socjalnego dla bezrobotnych zwanego Hartz IV.

O wyuczonym zawodzie poinformował tutejsze władze sam. Po przybyciu do Niemiec nie przedstawił żadnych dokumentów. Do uzyskania prawa pobytu wystarczyło jego oświadczenie – informacja o tym wywołała poruszenie wśród Niemców przeciwnych masowej imigracji.

Większe oburzenie wzbudził jednak sposób, w jaki w Niemczech znalazł się drugi podejrzany, Irakijczyk, który wymknął się wymiarowi sprawiedliwości. W liście gończym wystawionym przez saksońską policję nie ma mowy o tym, gdzie może przebywać. Jest za to uwaga: „Może być uzbrojony!”.

Farhad Ramazan Ahmad (policja podaje jego pełne nazwisko) pochodzi z Iraku, skąd przyjmuje się w Niemczech uchodźców, ale zaraz po urodzeniu zamieszkał z rodziną w Turcji, gdzie prowadził spokojne życie.

I prawdopodobnie dlatego nie dostał azylu. Po negatywnej decyzji powinien być wydalony z kraju – ale złożył jeszcze jedno podanie, tym razem przedstawiając się jako nieletni, choć miał co najmniej dwadzieścia jeden lat. Dlaczego wniosek został przyjęty? Nie wiadomo. Federalny Urząd do spraw Migracji i Uchodźców odmówił mi podania jakichkolwiek informacji na temat konkretnych procedur przyznawania azylu, powołując się na ochronę danych osobowych.

Korzystam więc z doniesień dziennika „Freie Presse”. Wynika z nich, że drugie podanie również zostało odrzucone, ale Farhad Ramazan Ahmad złożył skargę do sądu administracyjnego w Chemnitz, który nie zdążył się nią zająć. Wcześniej doszło do bójki podczas miejskiego festynu, która skończyła się śmiercią Daniela H. i ucieczką Irakijczyka.

7

Z aktu oskarżenia wynika, że to Farhad Ramazan Ahmad wywołał bijatykę z Danielem H., któremu towarzyszyli znajomi. Alaa S. się do niej dołączył. Wszyscy wcześniej rozmawiali ze sobą pod barem Alanya Kebab. Nic nie zapowiadało tragedii, która wstrząśnie Chemnitz i Niemcami. O co zatem poszło? Irakijczyk nagle zapytał Daniela H. i jego kolegów, czy „mają dla niego »kartę«”, dotykając znacząco palcem nosa – co sugerowało, że pyta o kokainę, której kreskę mógłby uformować kartą kredytową. Wyglądał, co zeznawali świadkowie, jakby już był pod wpływem narkotyków. „Odwal się”, usłyszał od Daniela H., po czym odpowiedział uderzeniem w policzek. Mężczyźni krzyczeli na siebie, szarpali się, przesuwając się powoli od baru w stronę miejsca, w którym teraz widnieje tabliczka upamiętniająca zabitego.

To trzydzieści metrów. Krótka droga, ale ważna dla współczesnych Niemiec.

I Alaa S., i Farhad Ramazan Ahmad dźgali wielokrotnie, aż Daniel H. upadł. Tak to opisała prokuratura.

Czym dźgali? Ta informacja znalazła się w akcie oskarżenia kilka stron dalej. Nie jest to jednak opis, który nie pozostawia wątpliwości. Narzędzie

zbrodni jest jedno, a ciosy mieli zadawać dwaj sprawcy. Składany nóż marki Magnum z zakrwawionym ostrzem o długości około dwudziestu centymetrów znalazł pies policyjny. W pobliżu leżał też scyzoryk, ale lekarz sądowy uznał, że to mało prawdopodobne, by był on drugim narzędziem zbrodni.

Na nożu Magnum były ślady krwi trzech osób. Zabitego Daniela H., jego rannego kolegi urodzonego w Rosji oraz jeszcze kogoś. Nie był to Alaa S., porównanie z jego DNA wypadło negatywnie. Farhada Ramazana Ahmada nie można było zbadać, w banku danych znajdowało się natomiast DNA jego brata. Było podobne do tego znalezionego na ostrzu noża. Brata, jak to określiła prokuratura, „nie można wykluczyć” jako sprawcy. Jednak nie było go wtedy w Chemnitz.

– Alaa S. jest niewinny. Zapadł niesłuszny wyrok. Nie było żadnych jego śladów, żadnego DNA, śladów krwi, żadnych włosów, włókien, nie było nic, co by usprawiedliwiało skazanie go na więzienie. Nie miał z tą śmiercią nic wspólnego. Był daleko od miejsca zabójstwa – powie obrończyni Syryjczyka Ricarda Lang.

– Czyli gdzie?

– To jest moim zdaniem niewyjaśnione. Uważam, że to wykluczone, by ktoś, kto dźgał nożem w takiej chaotycznej masowej bójce, nie zostawił żadnych śladów.

8

Kancelaria Ricardy Lang mieści się w cichym zakątku monachijskiego starego miasta. To prestiżowa okolica, po drugiej stronie podłużnego Promenadeplatz jest pięciogwiazdkowy hotel Bayerischer Hof, w którym raz do roku spotykają się VIP-y z całego świata, by porozmawiać o bezpieczeństwie. To tu w 2003 roku szef niemieckiej dyplomacji Joschka Fischer powiedział Amerykanom głoszącym konieczność wojny przeciw Irakowi: „Przepraszam, ale nie jestem przekonany”. Tu w 2007 roku Władimir Putin groził Zachodowi, mówiąc, że Rosja nie godzi się na dominację Ameryki i na rozszerzanie NATO. Będzie coraz aktywniej

prowadziła swoją politykę zagraniczną – jaką chce. Od setek lat tak robiła. „Nie zamierzamy teraz zmieniać tej tradycji” – zapowiedział odrodzenie rosyjskiego imperializmu. Zrozumieli to jednak nieliczni.

W robotniczym Chemnitz jest wielka głowa Karola Marksa z brązu, a w mieszczańskim Monachium, na Promenadeplatz, stoi pomnik Michaela Jacksona. Ściślej: jest to pomnik Orlanda di Lasso, kompozytora z szesnastego wieku, podbity przez wielbicieli muzycznej gwiazdy naszych czasów. Wybrali to miejsce, bo Michael Jackson kilkakrotnie zatrzymywał się w hotelu Bayerischer Hof; w 1998 roku spędził tu trzy tygodnie. Z okna kancelarii adwokatki widać cokół obklejony tandetnymi plakatami, zdjęciami, serduszkami, obstawiony doniczkami i świecami. Fani odbywają tu pielgrzymki. Dzieci, nastolatkowie, z matkami i babciami. Składają wiązanki kwiatów, sprawiają wrażenie, jakby się modlili. Wszyscy w antycovidowych maseczkach na twarzach. Michael Jackson wyprzedził epokę – na głównym portrecie ma czarną maskę, wzorowo zakrywającą nos i usta.

W Monachium, jak i w całej Bawarii, podejście do zwalczania koronawirusa jest poważne, nawet w lecie, gdy pandemia przygasła. W kawiarniach, zanim dostanie się kawę, trzeba na kartce wypisać dane kontaktowe, a w pubach, czynnych tylko do dwudziestej trzeciej, barmani nie podają piwa, gdy spod maseczki wystaje choćby kawałek nosa. Można je wypić przy stoliku pod gołym niebem.

W saksońskim Chemnitz jest swobodniej, w barze Alanya Kebab tylko jeden klient jest w maseczce, chyba pochodzi z Afryki Północnej. Przy stoliku na dworze siedzi jedyny Niemiec, awangardowy typ: kolczyki, tatuaże, paciorki. Papierosy palą Kurdowie. A z podającym zza lady Turkiem dyskutują Somalijczycy. W tym barze krótko pracował Alaa S. To miało znaczenie w śledztwie, niektórzy z pracowników go znali. Jeden z nich, Junis N., był najważniejszym świadkiem. Rozpoznał Alaę S. jako sprawcę i dokładnie opisał bijatykę, która skończyła się śmiercią Daniela H.

– To kucharz, który oglądał zdarzenie z okienka do sprzedaży na wynos. A na ulicy było przecież dużo ludzi, w bójce też wielu brało udział. Była noc. Ten kucharz wypowiadał się z pięć razy, za każdym razem mówił coś

innego. To, co opisywał, nie pasowało ani do topografii terenu, ani do innych zeznań – podkreśla prawniczka skazanego Syryjczyka.

Kucharz też jest Syryjczykiem.

– Wypowiadał się różnie, co nie dodawało mu wiarygodności. Mówił jednak również, że koledzy Alaa S. mu grozili, także śmiercią. Dlatego to zrozumiałe, że mógł zmieniać zeznania. Ale to są jedynie przypuszczenia – podkreśla Jens Eumann. – Nie powiedział, że widział nóż. Wspominał, że widział ruch dźgania lub uderzenia. Podczas procesu sugerowano, że po arabsku „dźgać” i „uderzać” to to samo. Ale podczas pierwszego przesłuchania demonstrował ruch dźgania. – Dziennikarz też pokazuje taki ruch.

Szukam kucharza.

– Dużo widział, ale zniknął – mówi mi Turek pracujący w Alanya Kebab.

– Wrócił do Syrii?

– Nie, jest gdzieś w Niemczech, ale nikt z nas tu nie wie gdzie. Policja bardzo chciałaby wiedzieć.

9

W podróży miałem ze sobą trzy stare przewodniki.

Pierwszy to bedeker *Nordost-Deutschland* [Niemcy północno-wschodnie], wydany w Lipsku w 1892 roku. Wtedy Chemnitz (Kemnitz), trzecie miasto Królestwa Saksonii, miało 138,9 tysiąca mieszkańców. Teraz ma 247 tysięcy.

W książce jest napisane, że była tu starołużycka osada, która szybko zasłynęła z tkania lnu i bielenia płótna. W momencie publikacji przewodnika Chemnitz było jednym z najważniejszych miast przemysłowych w Niemczech – ze stu dwudziestoma zakładami produkującymi pończochy i rękawiczki, licznymi przędzalniami, stu czternastoma fabrykami maszyn.

W polskim *Przewodniku po Niemieckiej Republice Demokratycznej* z 1978 roku autorzy podają liczbę mieszkańców ówczesnego Karl-Marx-

Stadt: 305 tysięcy. To, podkreślono, dawna osada słowiańska Kamienica skolonizowana przez Niemców. Też jest mowa o sławie, którą Chemnitz zdobyło dzięki tkaninom, wytwarzanym już od czternastego wieku. Rozwój przemysłu pociągnął za sobą „wzrost siły robotniczej”. Tu w 1848 roku powstała Brać Robotnicza, „najstarsza chyba organizacja klasowa w całej Europie”.

We wschodnioniemieckim *Kunstführer durch die DDR* [Przewodniku artystycznym po NRD] z 1976 roku znajduje się znacznie dłuższy opis historii i bardzo drobiazgowy zabytków, ale nie ma nic o słowiańskiej osadzie Kamienica. Jest natomiast mowa o nalotach brytyjsko-amerykańskich w lutym i marcu 1945 roku, w wyniku których zniszczeniu uległo historyczne śródmieście z siecią wąskich uliczek.

To, co w jego miejscu powstało, polski przewodnik z czasów Edwarda Gierka zachwala jako „nowy układ urbanistyczny, ze znakomitymi rozwiązaniami komunikacyjnymi i nowoczesną architekturą”. Miasto „w uznaniu tradycji robotniczych” w 1953 roku dostało nazwę Karl-Marx-Stadt.

Na planie zamieszczonym w dziewiętnastowiecznym bedekerze okolicę, gdzie pod koniec sierpnia 2018 roku odbywał się festyn miejski, można zlokalizować dzięki przebiegowi linii kolejowej i jej charakterystycznemu wybrzuszeniu. Poza tym prawie wszystko się tam zmieniło. Teraz jest dużo wolnej przestrzeni, budynki są w stylu typowym dla państw bloku wschodniego – w tym podłużny dziewięciokondygnacyjny gmach w kolorze stali z niebieskimi dodatkami, w którym rezydowały władze okręgowe rządzącej w NRD komunistycznej partii SED. Teraz siedzibę ma tu urząd podatków i finansów. Fasadę nad wejściem pokrywa tablica niemal na całą wysokość budynku z cytatem z *Manifestu komunistycznego*: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” w czterech językach: niemieckim, rosyjskim, angielskim i francuskim. Stanowi tło dla wzniesionego przed gmachem pomnika Marksa, trzynastometrowego, licząc wraz z cokołem. Zwą go Nischl, co jest określeniem głowy w miejscowym dialekcie.

Pod pomnikiem Marksa lubią się spotykać zwolennicy skrajnej prawicy; tam ich lider Martin Kohlmann przemawiał do tłumu wzburzonego śmiercią

„naszego Daniela”. Rok później w pobliżu miał swoje stoisko Nico Köhler, kandydat AfD w wyborach do saksońskiego landtagu. Potężny czterdziestotrzylatek z krótko przystrzyżoną brodą i łysą czaszką w przeciwieństwie do wielu kolegów partyjnych nie budował swojej kampanii na straszeniu imigrantami zaproszonymi przez Angelę Merkel w czasie wielkiego exodusu z 2015 roku i na nawoływaniu do zapewnienia mieszkańcom bezpieczeństwa. To też ważne, podkreślał, ale jako hasło wybrał: „Nie trzeba być czerwonym [czyli z lewicy], by dbać o sprawy socjalne”.

– Wspiera nas wielu cudzoziemców z dawniejszej imigracji. Nie tylko Rosjanie i przybysze z innych krajów ZSRR, bo ci nawet w większym stopniu głosują na AfD niż Niemcy, ale także Turcy czy Arabowie, którzy ciężko zarabiają tu na życie od wielu lat – mówił Nico Köhler, z wykształcenia handlowiec, były członek CDU.

Trudno się domyślić, czy wśród kobiet i mężczyzn w różnym wieku i raczej skromnie ubranych, którzy stali przy jego stoisku w błękitnych barwach partyjnych AfD, byli przybysze z dawnego ZSRR. Nikogo o bliskowschodnich cechach nie widziałem. Ale zaraz obok, przy centrum handlowym, już tak.

10

Teza, że w Chemnitz imigranci to dwa procent mieszkańców, czyli właściwie ich nie ma, wymagała zweryfikowania. Na stronie internetowej miasta znajduję informację, że cudzoziemców mieszka tu 21,5 tysiąca, czyli stanowią 8,8 procent populacji. Jest tam też mowa o najświeższych imigrantach, którzy już uzyskali azyl, starają się o azyl oraz takich, którzy go nie uzyskali, ale zostali. To oni są tymi dwoma procentami, ściślej: 2,6 procent. Odsetek różni się w zależności od dzielnicy. Wśród mieszkańców centrum stanowią 13,8 procent, a biorąc pod uwagę, że mieszkają tam zapewne także imigranci z dawnych lat, a jeszcze inni przychodzą tu na zakupy, do kawiarni, na spotkania, to okolica, w której odbywają się demonstracje skrajnej prawicy, utwierdza jej zwolenników

w antycudzoziemskich i antyrządowych przekonaniach. Połowa nowych imigrantów jest w wieku od dziewiętnastu do trzydziestu dziewięciu lat i są to w zdecydowanej większości mężczyźni.

Czytam też kilkudziesięciostronicową broszurę *Willkommen in Chemnitz. Informationen für Ausländer und Migranten* [Witamy w Chemnitz. Informacje dla cudzoziemców i migrantów] wydaną przez władze miasta oprócz niemieckiego także po arabsku, persku, angielsku i rosyjsku. Dowiaduję się z niej, że w Chemnitz zaczynały karierę gwiazdy sportu – łyżwiarka figurowa Katarina Witt i piłkarz Michael Ballack; tutejszy burmistrz urzędujący pod koniec dziewiętnastego wieku Wilhelm André był ojcem niemieckiego prawa patentowego; miasto ze względu na liczne zakłady przemysłowe, las kominów i zatrute powietrze było zwane saksońskim Manchesterem. W broszurze są też porady: co zrobić, by uzyskać obywatelstwo po poślubieniu Niemca lub Niemki albo dla urodzonego tu dziecka; jak się zgłosić na fundowane przez land kursy języka niemieckiego; gdzie składać podanie o zasiłki socjalne, kieszonkowe, sfinansowanie czynszu, ogrzewania, ubrania. Jest też informacja, że kobiety mają w Niemczech takie same prawa jak mężczyźni. Decydują, jaki zawód chcą wykonywać, jak się ubierać, kiedy i kogo poślubić. Mogą też w ogóle nie wychodzić za mąż i nie mieć dzieci.

„Chemnitz to dla Państwa nowe miasto, w nowym kraju. Witam serdecznie” – tak do czytelników broszury zwraca się nadburmistrz Barbara Ludwig. Dodaje: „Język, kultura, ludzie są dla Państwa pewnie jeszcze obce. Ale to się szybko zmieni”.

Barbara Ludwig zasłynęła z wypowiedzi wygłoszonych tuż przed rozpoczęciem procesu Syryjczyka. Odwiedził ją dziennikarz najbardziej zaangażowanego po stronie imigrantów dziennika – berlińskiego „taz”, czyli „Die Tageszeitung”.

– Ze względu na rodzinę ofiary mam nadzieję, że dojdzie do skazania, to by przyniosło spokój bliskim.

– A jeżeli doszłoby do uniewinnienia oskarżonego?

– To byłoby trudne dla Chemnitz – odpowiedziała nadburmistrz. I spadły na nią gromy.

– To skandal – mówi Ricarda Lang. – Mamy w Niemczech zasadę separacji: politykom nie wolno się mieszać w sprawy sądowe. To ma być państwo prawa? Innym krajom wciąż wytykamy łamanie praworządności, zamiast dostrzec, co się dzieje u nas. Nadburmistrz powiedziała sędziom, że oczekuje wyroku skazującego. I na dodatek ona jest z SPD, partii lewicowej.

– Nadburmistrz powiedziała, że byłoby niedobrze, gdyby sprawca nie został skazany. Ale nie powiedziała, że chodzi o oskarżonego Alaę S., co przypisały jej media. Miała rację, ale w złym momencie i w złym kontekście to wygłosiła – twierdzi Jens Eumann.

Barbara Ludwig nie jest już nadburmistrzem, po czternastu latach nie starała się o reelekcję, wycofała się z polityki. Dwa dni przed zakończeniem urzędowania ogłosiła swój największy sukces. Chemnitz wygrało walkę o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2025. Pokonało siedem konkurujących niemieckich miast, w tym także z zachodu – Norymbergę, Hanower i Hildesheim.

„To wielka szansa, by pokazać, że Chemnitz to nie tylko kadry z nazistowskich marszów” – podkreśliła w ostatnim wystąpieniu do mieszkańców.

11

Po powrocie z ostatniej wizyty w Chemnitz ponownie czytam akt oskarżenia sporządzony przez tamtejszą prokuraturę. Coś się nie zgadza. Kucharz Junis N. był trzykrotnie przesłuchiwany przez policję. Zeznawał, że chwilę przed zabójstwem Alaa S. zamówił u niego döner kebab. Nie zdążył go odebrać, usłyszał krzyk, wybiegł z baru, dołączył do „małego cudzoziemca”, o którym później kucharz się dowiedział, że to Farhad Ramazan Ahmad. Obaj wykonywali ruchy dźgania lub uderzenia, które doprowadziły do śmierci Daniela H. To wszystko kucharz widział z okienka do przyjmowania zamówień, kilkadziesiąt metrów od miejsca zabójstwa. Gdy wyszedł z Alanya Kebab, zobaczył, jak Farhad Ramazan Ahmad i Alaa

S. uciekają w kierunku szisza baru mieszczącego się naprzeciwko pomnika Marksa. Mieli zakrwawione ręce, zeznał.

Najdziwniejszy jest czas zdarzenia, który kucharz podał przesłuchującym policjantom. Alaa S. zamówił kebab, którego nigdy nie zjadł, między 3.45 a 4.30, kucharz nie potrafił określić dokładnie. Ale przecież o 3.16 telefonicznie zgłoszono, że Daniel H. leży nieruchomo na chodniku, a jego pochodzący z Rosji kolega jest ranny. Na początku aktu oskarżenia jest mowa, że do zabójstwa doszło „około 3.15”. Co najmniej pół godziny przed zamówieniem w barze, które poprzedzało zakończoną zabójstwem bijatykę.

Jak to możliwe? Dlaczego nikt nie zwrócił na to uwagi?

Alaa S. cały proces milczał. Siedział u prawego boku Ricardy Lang ubrany w dżinsy, ciemną koszulę, kremową kamizelkę i ze złotym łańcuchem na szyi. Nieoczekiwanie kilka dni przez ogłoszeniem wyroku udzielił wywiadu telewizji publicznej ZDF, przez telefon z zakładu karnego. Przysięgał na swoją matkę, że nie jest zabójcą. „Nie dotknąłem go nawet, nie widziałem go, dopiero potem na zdjęciu – mówił o Danielu H. – Nie dotknąłem też noża”.

„Siedziałem i czekałem na mój kebab. Nagle widzę uciekającego kolegę, mówi, bym uciekał. To zacząłem uciekać, nie patrząc za siebie. Potem przyszła policja” – opowiadał.

12

Dlaczego adwokat z zachodniego Monachium broniła w sprawie dotyczącej wschodniego Chemnitz?

– Bronię w całych Niemczech – odpowiada Ricarda Lang. – Wcześniej miałam klienta sądzonego w Lipsku, udało mi się doprowadzić do jego uniewinnienia. Dzięki temu byłam tam znana. To Alaa S. mnie znalazł. Był w zakładzie karnym, w którym poznał moich klientów. Nie powiedziałabym, że imigranci to moja specjalność. Są nią sprawy związane z zabójstwami.

Proces trzeba przenieść do innego landu – to była pierwsza rzecz, o której pomyślała prawniczka.

– Skoro w Saksonii tylu ludzi wybiera AfD, tylu jest przeciwko polityce imigracyjnej rządu, przyjmowaniu uchodźców, to jest zagrożenie, że ławnicy mogą być wyborcami AfD albo podzielają ten sposób myślenia.

Siedzimy przy stole w jej monachijskiej kancelarii, zachowując spory odstęp. Ricarda Lang, blondynka w średnim wieku w dużych okularach w drucianej oprawie, bierze do rąk solidny tom w kremowej okładce. Kodeks postępowania karnego, w skrócie StPO, te litery widać na grzbiecie księgi. Kartkuje. Jest. Paragraf piętnasty. Mówi o tym, że jeżeli proces przed danym sądem zagraża bezpieczeństwu publicznemu, śledztwo i decyzje należy przekazać podobnej rangi sądowi w innym okręgu.

– Paragraf piętnasty nigdy nie był wykorzystywany. Był martwy. Powołując się na niego, złożyłam wniosek, by przeniesiono proces poza Saksonię. Chciałam, by sądzili sędziowie nie z Chemnitz, lecz z Lipska.

– To też Saksonia.

– Ale Lipsk był zawsze nietypowy dla tego landu. Nie ma tam Pegidy.

Pegida to organizacja założona w 2014 roku w stolicy Saksonii, Dreźnie. Cel wyjaśnia już sama jej pełna nazwa: Patriotyczni Europejczycy przeciw Islamizacji Zachodu.

Ricarda Lang:

– Moje wnioski odrzucono. Sąd i skład sędziowski pozostały bez zmian. Zmieniono miejsce: nie w Chemnitz, lecz w sali Wyższego Sądu Krajowego w Dreźnie. Pierwszego dnia procesu przedstawiłam listę kilkunastu pytań do sędziów. Czy brali udział w tych demonstracjach w Chemnitz, i sędziowie zawodowi, i ławnicy? Czy uczestniczyli w marszu żałobnym po śmierci Daniela H.? Czy popierają politykę AfD? Nie mogłam pytać, czy głosowali na tę partię, bo jest zasada tajności. Prokurator powiedział, że na pojedyncze pytania, nie wszystkie, sędziowie muszą odpowiedzieć. Ale odmówili. Nie jesteśmy zobowiązani, stwierdzili.

– Zadawanie takich pytań w Niemczech to norma?

– Nie, nie słyszałam, żeby ktokolwiek to zrobił, ale jeżeli nie w takim przypadku, to kiedy? Mój klient to biedny uchodźca. Gdyby był bogatym

biznesmenem, zaangażowałabym prywatnego detektywa, by sprawdził sędziów i ławników. Nie mieliśmy na to pieniędzy. Jedyna możliwość, jaką miałam, to ta lista pytań. Nie wzięła się znikąd. Oni żyją w tym środowisku, nie mogą się od tego uwolnić.

– Miała pani jakieś dowody, że ci sędziowie mają takie poglądy, widziała ich pani w telewizji w czasie protestów?

– To byłoby dobre, ale niestety nie. Wiem natomiast, ile osób w Chemnitz wybiera AfD. Oskarżony musiał sobie stawiać pytanie, dlaczego te pięć osób, sędziowie i ławnicy, mają się różnić od innych mieszkańców, którzy wyszli na ulice.

– Sędziowie zawsze gdzieś mieszkają, mają sąsiadów.

– Ale nigdy nie było takiego wydarzenia, to wyjątkowa sytuacja. Sądzę, że sędziowie poczuli się osobiście urażeni. Ale nie są od tego, by się czuć urażeni, powinni się przejmować obawami oskarżonego. Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby zapadł wyrok uniewinniający. Chemnitz by zapłonęło. Doszłoby do masowych zamieszek. Mielibyśmy do czynienia z warunkami podobnymi do wojny domowej, sędziowie musieliby mieć ochronę. Nie mogli się od takiej wizji uwolnić. Dlatego postawiłam pytanie: czy w takich warunkach sędziowie mogą w sposób wolny formułować stanowisko, czy też rządzi nimi strach? Prywatnie sędziowie sądów wyższych instancji mówili mi, że mam rację, przedstawiając listę pytań.

Sędziowie z Chemnitz każdego dnia posiedzeń przyjeżdżali małym busem do Drezna.

– Nie byli przyzwyczajeni do takich adwokatów jak ja. Potraktowali sprawę osobiście, byli w szoku. Miałam wrażenie, że wyrok zapadł już pierwszego dnia. Uważam, że byli uprzedzeni, niesuwerenni. Przyjęli założenie, że Alaa musi zostać skazany.

I został skazany na dziewięć i pół roku pozbawienia wolności. Za zabójstwo oraz spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu.

– To smutny dzień dla państwa prawa – powiedziała Ricarda Lang po ogłoszeniu wyroku. Jej punkt widzenia przyjęły media, które mają siedziby w zachodnich landach.

„Wyrok zapadł w imieniu gniewnego tłumu. Bez żadnych obiektywnych dowodów” – pisał portal tygodnika „Der Spiegel”. Komentator prawny tej gazety Thomas Fischer, były sędzia Federalnego Trybunału Sprawiedliwości, obwieścił, że państwo prawa się zawaliło, wyrok jest przełomowym punktem w historii sądownictwa w Republice Federalnej, bo wygrało czyste bezprawie z obawy przed skrajnie prawicową tłuszczą. Wobec Chemnitz stosował nazwę z czasów NRD – Karl-Marx-Stadt.

„Skazany, mimo wielu wątpliwości” – tak pisał dziennik „Kölner Stadt-Anzeiger”.

„Ze strachu przed ulicą” – tygodnik „Die Zeit”.

„Znaleziono winnego tydzień przed wyborami do landtagu Saksonii. Choć przestępstwa nie można było wyjaśnić” – dziennik „Frankfurter Rundschau”.

Dziennikarz z Chemnitz Jens Eumann o reakcjach w zachodnich mediach:

– Nie będę oceniał. Ja to widzę zupełnie inaczej. Tak, było to tuż przed wyborami, ale czy wyrok zapadł z lęku przed ulicą? To interpretacja. Państwo prawa się nie zawaliło. Umocniło się. Wyrok został później podtrzymany przez Federalny Trybunał Sprawiedliwości, który uznał, że wszystko przebiegało właściwie. I komentarze się skończyły.

Piąta Izba Karna Federalnego Trybunału Sprawiedliwości, która podtrzymała wyrok, ma siedzibę w Lipsku. Cenionym przez Ricardę Lang.

– Czyli wyrok jest prawomocny. Nadal uważam, że jest błędny – mówi prawniczka.

13

Pytam Ricardę Lang, czy sędziowie z Chemnitz orzekający w procesie to Niemcy ze wschodu. I pada najpoważniejsze oskarżenie.

– Prokurator pochodzi z zachodu. Ale wszyscy sędziowie ze wschodu. Studiowali w NRD. Przykro mi, że muszę to powiedzieć: to ludzie Stasi. Komu wolno było studiować prawo w NRD? Wiernym reżimowi.

– Reżimu nie ma od trzech dekad.

– Ale w takich warunkach dorastali, to nie są rewolucjoniści, żadni nonkonformiści, to nie ludzie, którzy potrafią się postawić. Źle to brzmi, ale jestem przekonana do tego, co mówię. Dlatego trzeba było przeprowadzić ten proces gdzie indziej.

Czy ci sędziowie to ludzie Stasi, czy skończyli studia w NRD? – próbuję się dowiedzieć w sądzie krajowym w Chemnitz. Nie jest to łatwe. Rozmowa dziennikarza z sędziami prowadziłaby donikąd, wszystkie szczegóły procesu są znane, były relacjonowane – informuje mnie Petra Kürschner, wicerzeczniczka sądu. Prowadzę więc mejlową korespondencję z nią.

Odpowiedzi są raczej wymijające, dotyczą wszystkich sędziów zatrudnionych w sądzie krajowym w Chemnitz. Część z nich dorastała i studiowała przed zjednoczeniem na terenie starych landów, część studiowała we wschodnich Niemczech przed zjednoczeniem, a jeszcze inni podjęli studia dopiero po nim. Wszyscy sędziowie w Wolnym Państwie Saksonia zostali zlustrowani w sprawie współpracy lub powiązań ze Stasi, tylko ci tym nieobciążeni mogą zajmować urząd sędziego.

Ale gdzie i kiedy studiowało tych konkretnych troje sędziów? Jak się nazywają oni i dwoje ławników? Tego już się nie dowiem. „Ze względu na ochronę danych osobowych” – tłumaczy Petra Kürschner.

Znane jest tylko nazwisko przewodniczącej składu – Simone Herberger, ona ogłaszała wyrok i ją cytowano. Jest przewodniczącą sądu krajowego w Chemnitz, na dodatek zasiada w trybunale konstytucyjnym Saksonii. Ważna postać landowego wymiaru sprawiedliwości.

Dziennik „Freie Presse” poświęcił jej spory tekst. Ukazał się kilka dni po zabiciu Daniela H., kilka miesięcy przed rozpoczęciem procesu. Simone Herberger to specjalistka od najgorszych zbrodni w regionie. Nie ma czasu na czytanie kryminałów, czyta opasłe tomy akt. Gdzie i kiedy studiowała? W NRD. Skończyła dwa lata przed upadkiem muru berlińskiego. Żeby rozpocząć studia na Uniwersytecie Humboldtów w stolicy NRD, musiała po maturze przez dwa lata pracować w zakładach Numerik Karl-Marx-Stadt jako elektromonterka.

Petra Kürschner pisze: „Nic nie wskazuje na to, żeby sędziowie Sądu Okręgowego w Chemnitz, którzy podejmowali decyzję, podzielali poglądy prawicowych demonstrantów. Albo żeby wydali wyrok pod presją ulicy, albo ze strachu. Obrona się odwołała, skorzystała z możliwości sprzeciwienia się wszystkim domniemanym brakom. Piąta Izba Karna Federalnego Trybunału Sprawiedliwości nie stwierdziła żadnych proceduralnych ani materialnych uchybień, które uzasadniałyby uchylenie wyroku”.

14

– Alaa S. to sympatyczny młody człowiek, który widział swoją przyszłość w Niemczech. Chciał tu pracować, zbudować sobie życie. Jeżeli nie byłoby wojny w Syrii, toby tam nadal mieszkał. Bardzo szybko opanował niemiecki, ma naturalną zdolność do języków, normalnie z nim rozmawiałam przez telefon. Nadawał się na najlepszy przykład udanej integracji. Po odbyciu połowy kary może być odesłany do ojczyzny. Nie zradykalizuje się w więzieniu, to nie ten typ. Jest załamany. Liczy na cud – mówi Ricarda Lang.

Po odrzuceniu apelacji prawniczka nic już nie może zrobić. Chyba że pojawiłyby się nowe dowody. Albo gdyby cudownie odnaleziono Farhada Ramazana Ahmada.

Marie Curie i ja

2021/2022

„Ile ma trwać integracja? Mój pradziadek był Polakiem. Jestem, jeżeli dobrze liczę – podnoszą się kolejne palce prawej dłoni – pradziadek, dziadek, ojciec, dziecko; jestem czwartym pokoleniem. I nikt mnie nie pyta, czy jestem zintegrowana. A czarnych wciąż pytają, skąd pochodzą. Czarny aktor mówił: »Zawsze dają mi w telewizji role przestępców, a ja chcę zagrać burmistrza«. I to jest uzasadnione życzenie".

Te słowa Angela Merkel, ubrana w żakiet w kolorze śliwki i naszyjnik z bursztynu, wypowiedziała 2 marca 2020 roku na jedenastym Szczycie Integracyjnym Rządu Federalnego.

Polski pradziadek. Albo dziadek, taka wersja dominowała wcześniej. Polka w jednej ósmej albo w jednej czwartej. Czwarta to czy trzecia generacja? Można się pogubić w dociekaniach, jak to jest z polskim pochodzeniem najważniejszego przez kilkanaście lat polityka Unii Europejskiej i do tej pory najważniejszej w dwudziestym pierwszym wieku kobiety w polityce światowej. Zastanawia też, dlaczego fakt ten nie był powszechnie znany od początku jej kariery. Czy to nieważny szczegół czy wstydliwa tajemnica, której ujawnienie przeszkodziłoby w drodze na niemiecki szczyt?

1

W 2013 roku Stefan Kornelius, dziennikarz „Süddeutsche Zeitung", opublikował biografię Angeli Merkel. Pierwszy upublicznił informację

o polskich korzeniach pani kanclerz – tak zachęcano na okładce polskiego wydania. Bez wątpienia dopiero ta biografia skłoniła dziennikarzy do poszukiwań krewnych Angeli Merkel w Polsce. Dopiero gdy ukazała się książka Korneliusa, a Merkel walczyła już o trzecią kadencję, Niemcy próbowali wymówić nazwisko „Kaźmierczak” (w niemieckiej wersji „z” zamiast „ź”), które przez pierwsze lata życia nosił jej ojciec. Sam Kornelius, wbrew temu, co głosił na okładce polski wydawca jego książki, nie miał jednak wrażenia, że ujawnił światu tajemnicę. Stwierdził skromnie, że już w 1995 roku w Hamburgu Merkel wspominała, że jeden z jej dziadków pochodził z Polski. Pięć lat później potwierdziła, że jest w jednej czwartej Polką, co jego zdaniem „wywołało silne poruszenie w Polsce, gdzie Angela natychmiast zyskała sobie nowe grono przyjaciół”. Zadziwiająca teza. Poruszenie wybuchło znacznie później. To on je wywołał.

W genealogii pani kanclerz, którą przedstawił dziennikarz „Süddeutsche Zeitung”, polskich tropów jest kilka. Ale większość wiąże się z terytorium Polski w granicach po drugiej wojnie światowej, a nie z polską narodowością. Babcia po kądzieli urodziła się w Głogowie, po niemiecku Glogau, mama, Herlind z domu Jentzsch, w Wolnym Mieście Gdańsku, a jej rodzina przez kilka lat mieszkała w Elblągu, czyli w Elbing.

Najbardziej polski trop prowadzi do Poznania – stamtąd pochodził dziadek po mieczu, Ludwig Kazmierczak, w wersji niemieckiej właśnie z „g”, a nie „k” w imieniu, i ze wspomnianym „z” zamiast „ź”. Urodził się w 1896 roku jako obywatel cesarstwa niemieckiego – Polski wówczas nie było. Jego rodzina uważała się za Polaków, ale Ludwig Kazmierczak, jak napisał Kornelius, już nie. I w decydującym momencie, gdy Poznań trafił w granice odrodzonego państwa polskiego, wybrał Niemcy. Przeniósł się do Berlina, gdzie w 1930 roku zmienił nazwisko na Kasner. Kasnerem został też czteroletni wówczas syn Horst, który pod koniec życia będzie się cieszył z wielkiej kariery córki Angeli.

Ludwig czy Ludwik, Kazmierczak czy Kaźmierczak? Czy jeżeli czuł się Ludwigiem, to Angela miała dziadka Niemca, jeżeli zaś Ludwikiem, to Polaka? A może obie wersje są prawdziwe: był Polakiem, ale porzucił polskość, czym skomplikował wnuczce liczenie pokoleń? Sugeruje to

śledztwo Piotra Bojarskiego, dziennikarza poznańskiego oddziału „Gazety Wyborczej”. Gdy ukazała się biografia autorstwa Stefana Korneliusa, ruszył na poszukiwania polskich krewnych niemieckiej kanclerz i pamiątek po jej przodkach.

Główne jego odkrycie: dziadek Angeli Merkel służył w polskiej armii generała Józefa Hallera, sformowanej w 1917 roku we Francji. Na zdjęciu z 1919 lub 1920 roku pozuje w błękitnym mundurze hallerczyka. Był szeregowym 1. pułku strzelców lub 1. pułku artylerii tej armii. Mógł walczyć nie tylko z bolszewikami, ale także, co sugeruje tytuł tekstu Bojarskiego, z Niemcami. Pikantny szczegół biografii przodka przyszłej kanclerz.

2

Haus Fichtengrund. Skromny wielorodzinny dom, dwupiętrowy, ze spadzistym dachem krytym czerwoną dachówką. Fasada pomalowana na żółto z jasnozielonymi dodatkami. Dom mógłby stać i w zachodniej Polsce, stoi w Waldhofie, na przedmieściu brandenburskiego miasteczka Templin, wśród pól i lasów. Do granicznej Odry jest stąd w linii prostej mniej niż pięćdziesiąt kilometrów.

Od trzeciego do dziewiętnastego roku życia w Haus Fichtengrund, pod adresem Waldhof 3, mieszkała Angela, wówczas Kasner. Rodzina Kasnerów zajmowała mieszkanie na poddaszu, do którego należały dwa wole oka, półokrągłe okna wyglądające spod ceglanych dachówek.

– Wnętrze przebudowano, mieszkania są teraz inaczej podzielone niż w jej czasach. Z okien jest też inny widok, nie było szkoły, aż do drogi ciągnęły się warsztaty stolarskie i ogród – opowiada drobna kobieta koło sześćdziesiątki, która wyszła z Haus Fichtengrund na spacer z małym białym kundlem. Pies ma wyrwany kawał sierści na grzbiecie.

Kobieta mieszka tu od 1995 roku. Angeli już dawno nie było wtedy w Templinie, a jej rodzice wyprowadzili się z Waldhofu do innej części miasteczka.

– Ostatnio odwiedziła nas cztery lata temu, taki rytm wyborczy. Ale teraz już nie startuje w wyborach.

W czasach gdy mieszkała tu przyszła kanclerz, Waldhof było enklawą ewangelicką w niechętnej religii NRD. I nietypowym dodatkiem do Templina, miasteczka, przez które przewijali się oficerowie z pobliskiego Gross Dölln, gdzie było największe radzieckie lotnisko wojskowe poza granicami ZSRR, oraz z Vogelsangu, gdzie stacjonowała radziecka dywizja pancerna.

Przez Waldhof zaś przewijali się teologowie, których dokształcał pastor Horst Kasner, urodzony jako Kazmierczak. Ojciec Angeli, Marcusa i Irene, mąż Herlinde. Diakonia ewangelicka prowadziła tu ośrodek dla niepełnosprawnych umysłowo. Naturalny kontakt od wczesnych lat dzieciństwa z dotkniętymi przez los, nieuleczalnie chorymi, wykluczonymi, innymi – to niezwykłe doświadczenie, które może być kluczem do rozważań o motywach decyzji podejmowanych przez Angelę Merkel. Także politycznych.

Po latach wspominała starego ogrodnika. Był potężnej postury, emanował z niego wielki spokój. Dzięki niemu nauczyła się rozmawiać z niepełnosprawnymi umysłowo, którzy pracowali pod jego okiem w ogrodzie w Waldhofie. Stary ogrodnik, choć pracy miał dużo, zawsze znajdował czas dla nich. I dla niej. Przy nim bezkarnie chrupała brudne, świeżo wyrwane z ziemi marchewki, i po raz pierwszy spróbowała mocnej czarnej herbaty. To on obudził w niej uczucie przywiązania do natury. Do dzisiaj Angela lubi pogrzebać w ziemi, praca w ogrodzie ją odpręża. Ogrodnik znalazł się na krótkiej liście osób, które w 1995 roku Angela Merkel, minister w rządzie Helmuta Kohla, przedstawiła jako wzory swojego życia. Był też wzór związany z Polską, ale o tym później.

3

– Nic nie wiem o polskich korzeniach Angeli Merkel. Ale cóż dziwnego miałoby być w takich przodkach. Mieszkamy przecież w Europie. Merkel ma dobre nastawienie do Polski, do sąsiada. Interesuje się naszym miastem

partnerskim Połczynem-Zdrojem – mówi burmistrz Detlef Tabbert, urodzony w 1969 roku w Templinie. Zarządza miastem od jedenastu lat, jest nietypowym politykiem mocno lewicowej Die Linke – wcześniej był przedsiębiorcą, czyli kapitalistą.

Templin ma prawie szesnaście tysięcy mieszkańców i co najmniej tysiąc lip; w sadzeniu kolejnych miała brać udział Angela Merkel, ale pandemia pokrzyżowała plany. Koronawirus mocno uderzył w miasto, które żyje z turystyki, sanatoriów, domów opieki. Templin jest uzdrowiskiem, z termami i wodami solankowymi, nosi nawet dodatkową nazwę, w której te wszystkie cuda są zawarte: Thermalsoleheilbad.

– Jako dziecko znałem rodziców Angeli. Jej ojciec, pastor, był mocnym człowiekiem z niskim głosem. O niej usłyszałem, gdy stała się aktywna publicznie tuż przed zjednoczeniem Niemiec, od lat mieszkała już w Berlinie.

Burmistrz Tabbert urzęduje w potężnym jak na miasteczko gmachu, leżącym nad Stadtsee, Jeziorem Miejskim, parę minut spacerem na wschód od murów starego miasta. Waldhof jest na drugim, zachodnim krańcu Templina. Po drodze mija się rynek z barokowym ratuszem, służącym teraz za punkt informacji turystycznej, plac z kościołem ewangelickim Marii Magdaleny, w którym Angela Kasner przystępowała do konfirmacji (co w czasach NRD było rzadkością, bo większość nastolatków uczestniczyła w „świeckim bierzmowaniu”, *Jugendweihe*), oraz najbardziej okazałą z gotyckich bram starego miasta, Mühlentor, czyli młyńską, przez którą wracała do domu ze szkoły podstawowej imienia Goethego.

Gdy się nieco zboczy na południe, trafi się na małą uroczą gotycką kaplicę Świętego Jerzego. Tam w 1977 roku Angela wzięła ślub kościelny z kolegą ze studiów na wydziale fizyki na Uniwersytecie Karola Marksa w Lipsku, Ulrichem Merklem. Poznała go podczas wyjazdu studenckiego do Leningradu. Związek nie przetrwał długo. Po kilku latach Angela wyprowadziła się z ich mieszkanka, zabierając parę walizek i pralkę. Na zawsze pozostało nazwisko, które poznał później cały świat. Solidny wkład Ulricha Merkla w historię.

4

W gabinecie burmistrza Tabberta rzuca się w oczy zdjęcie: siedzi na nim obok Angeli Merkel, oboje uśmiechnięci. Zrobiono je 8 lutego 2019 roku podczas uroczystości nadania pani kanclerz honorowego obywatelstwa miasta.

Templin rzadko przyznaje takie obywatelstwo. Po drugiej wojnie światowej przed Merkel były tylko dwa przypadki. W ostatniej dekadzie istnienia NRD honorowym obywatelem został lokalny działacz komunistyczny Richard Bröse, a zaraz po zjednoczeniu poetka pisząca w północnym dialekcie *Plattdeutsch*, Erna Taege-Röhnisch.

– W przemówieniu Merkel dla nas najważniejsze było, gdy powiedziała, że Templin to jej *Heimat* – mówi burmistrz Tabbert.

Wcześniej unikała takich deklaracji, bo polityczny *Heimat* miała gdzie indziej; przez prawie trzy dekady startowała do Bundestagu z innego okręgu wyborczego, w sąsiedniej Meklemburgii-Pomorzu Przednim, sto kilometrów stąd.

Na uroczystości byli mama, siostra i brat pani kanclerz, troje nauczycieli, czworo kolegów z czasów szkolnych, byli też przedstawiciele lokalnych organizacji i stowarzyszeń. W mundurze strażaka pojawił się Horst Skoupy, reporter templińskiego oddziału gazety „Uckermark Kurier".

– Jestem dziennikarzem, ale służę też w ochotniczej straży pożarnej. W tym mundurze podszedłem i przeprowadziłem rozmowę, także o strażakach, z konieczności krótką, tylu gości chciało o coś spytać. Jest bardzo mądra. I bardzo suwerenna w rozmowach z politykami, jednocześnie umie się dobrze wczuć w położenie innych ludzi. Myślę, że jest dumna, że pochodzi stąd. Nigdy nie zerwała związków z regionem, regularnie odwiedzała go prywatnie i oficjalnie, bardziej prywatnie. Wielu miejscowych liczyło, że jako kanclerz coś zrobi dla miasta. Nie zrobiła, bo nie chciała wykorzystywać urzędu.

5

Jako minister, a później kanclerz Angela Merkel często przyjeżdżała do powiatu Uckermark, ale raczej omijała leżący w jego zachodnim krańcu Templin. Odwiedzała w weekendy malutkie Hohenwalde, dwadzieścia kilometrów od Templina w kierunku polskiej granicy, gdzie jej rodzina od lat ma dom letniskowy, biały z czerwoną dachówką na spadzistym dachu, otoczony ogrodem z lipami.

W połowie lat dziewięćdziesiątych w Hohenwalde zaatakował ją pies myśliwski sąsiadów, gdy jeździła na rowerze. Od tej pory boi się psów i nie wsiada na rower. O lęku wiedział Władimir Putin. Wykorzystał to w 2007 roku, gdy przyjmował kanclerz w swojej prezydenckiej rezydencji w Soczi nad Morzem Czarnym. Do salonu, w którym siedzieli przy pozbawionym ognia kominku, wbiegła labradorka Konni i zaczęła ją obwąchiwać. Gospodarz rozparty w fotelu z lubością przyglądał się, jak szefowa rządu najważniejszego kraju Unii Europejskiej sztywnieje i zaciska usta. Wszystko w obecności kamer i aparatów fotograficznych.

„Musiał sobie udowodnić, że jest mężczyzną, sam się boi swoich słabości”, powiedziała później dziennikarzom Merkel. „Rosja nie ma nic, nie ma sukcesów, ani w polityce, ani w gospodarce”, pozostaje jej straszenie i grożenie, sugerowała. Mówiła, jakby była Polką. Nad Morzem Czarnym obudziła się w niej polska krew.

Jednak na krótko.

Można tylko spekulować, jak wyglądałaby Europa w 2022 roku, gdyby diagnoza o Rosji i Putinie, wywołana przez spotkanie z labradorką Konni, wpłynęła na politykę prowadzoną przez Niemcy pod wodzą pani kanclerz. Przecież ulubiona suka Putina obwąchiwała Angelę Merkel w czasie rozmowy o dostawach rosyjskich surowców energetycznych. Lata 2005–2021, czas rządów niemieckiej kanclerz, to też okres budowy Nord Streamów, rur na rosyjski gaz, z którego wielomiliardowe zyski Putin przeznaczył na wojnę.

Można tylko spekulować, czy gdyby polska krew decydowała o niemieckiej polityce, uniknęlibyśmy rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Można się też zastanawiać, czy sama Angela Merkel nie musiałaby się martwić, że skończy jak jej poprzednicy, byli kanclerze Helmut Kohl

i Gerhard Schröder. Historia może ją zapamiętać zupełnie inaczej, niż się przez lata zapowiadało.

Kanclerska klątwa grasuje. Długie urzędowanie z europejską koroną na głowie, a potem upadek. Chwaleni w czasach rządzenia Helmut Kohl i Gerhard Schröder po odejściu ze stanowiska stali się wstydliwym problemem dla Niemiec. Jeden jako ojciec systemu nielegalnego finansowania partii, drugi jako symbol politycznej korupcji organizowanej przez Kreml. Angela Merkel czeka na wyrok.

6

Czy polskie korzenie Angeli Merkel i jej ojca to był temat poruszany w „Uckermark Kurier”?

– Raczej o tym nie pisaliśmy, ja w każdym razie nie pamiętam, a pracuję tu od lat dziewięćdziesiątych. W ogóle nie pamiętam, byśmy się intensywnie zajmowali biografią pastora Kasnera – mówi Horst Skoupy.

Do siedziby „Uckermark Kurier” zaglądałem podczas poprzednich wizyt w Templinie w 2005 i 2009 roku. Wtedy nic nie wiedziałem o Kaźmierczakach. Nie pytałem o nich ówczesnego szefa lokalnej redakcji Dietera Menzla. Opowiadał mi natomiast, że czytelnicy nie interesowali się Angelą Merkel. Nawet w gorącym momencie kampanii wyborczej do Bundestagu nie przyszedł żaden list do redakcji na jej temat.

Teraz emeryt Menzel nie chce się już spotkać. Odmawiają też inni. Od lat mają dosyć opowieści o Merkel. Już w połowie jej kanclerskiej kariery zawarli pakt: żadnych rozmów z dziennikarzami, wszystko, co mieli powiedzieć, już powiedzieli.

Z moich dawnych rozmówców najbardziej krytycznie wypowiadał się Ulrich Schoeneich, poprzednik Tabberta na stanowisku burmistrza Templina; był nim w latach 1990–2010, najpierw jako polityk SPD, a potem bezpartyjny.

– Doskonale znałem rodziców Angeli, pracowałem jako kierownik techniczny w Waldhofie. Jej już wówczas tam nie było, mieszkała w stolicy NRD. Też byłem dzieckiem pastora, ale mój ojciec w przeciwieństwie do

pastora Kasnera nie szedł na kompromisy, nie zapisał mnie do pionierów i młodzieżowej organizacji komunistycznej FDJ [Wolna Młodzież Niemiecka]. Dlatego nie mogłem skończyć w normalnym trybie szkoły średniej, terminowałem u boku ślusarza. Potem dokształcałem się w szkole wieczorowej i w końcu zostałem inżynierem, ale drogę miałem bez porównanie trudniejszą niż Angela – mówił z goryczą Schoeneich w 2009 roku.

Hans-Ulrich Beeskow, który uczył Angelę matematyki w gimnazjum, przyjął mnie w 2005 roku (w 2009 roku odmówił spotkania – pakt milczenia zaczynał obowiązywać):

– Miała szczególny talent do matematyki i nauk ścisłych, zresztą ze wszystkich przedmiotów była dobra, z wyjątkiem sportu. Już w wieku czternastu lat wyróżniała się logicznym sposobem myślenia, świetnie analizowała. Do dziś pozostała jej umiejętność wyznaczania celów i znajdowania dróg ich osiągania.

Beeskow po upadku NRD zajął się polityką, został prominentnym działaczem lokalnej CDU, partii, w której karierę na poziomie federalnym robiła Angela Merkel.

Jej kolega z czasów młodzieńczych, później policjant, Harald Löschke, żartował:

– Już w szkole była w CDU, w Club der Ungeküssten, Klubie Niecałowanych.

Beeskowa oburzał ten żart. Ale przyznawał:

– Oddaje prawdę o Angeli. Różniła się od rówieśniczek. Dzieci pastorów były w NRD częściowo dyskryminowane. Musiały się wykazywać osiągnięciami w nauce, by nie znaleźć się w izolacji. I jej się udało.

Erika Benn na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przygotowywała Angelę Kasner do olimpiad języka rosyjskiego, na wszystkich poziomach od okręgowego po centralny, na wszystkich z sukcesami.

– Pilna, ambitna, rzeczowa, spokojna, bardzo inteligentna, z talentem do języków obcych – wyliczała cechy swojej najsławniejszej uczennicy, gdy w 2009 roku przyjęła mnie w swoim mieszkaniu. Była dumna z Angeli.

7

Po latach sędziwa Erika Benn uczestniczyła w uroczystości przyznania pani kanclerz honorowego obywatelstwa Templina. „Dzięki jej motywacji doszliśmy do niespodziewanych sukcesów”, wspomniała w przemówieniu Angela Merkel nauczycielkę. „Ale ona mówi prawdopodobnie nie tylko po rosyjsku, […] lecz także całkiem dobrze po polsku”, czego wcześniej kanclerz nie wiedziała – dowiedziała się od swojej mamy.

Ja również nie wiedziałem, Erika Benn nie wspominała mi o tym przed laty.

Politycznie dzieliła je przepaść. Erika Benn po upadku NRD związała się z postkomunistyczną partią PDS, poprzedniczką dzisiejszej Die Linke.

– Zostałam nawet wiceprzewodniczącą rady powiatu. A wie pan, kto stał wówczas na czele rady? Herlinde Kasner, mama Angeli. Wspaniała kobieta, prawdziwa socjaldemokratka – mówiła Erika Benn.

Herlinde Kasner działała w lokalnej SPD. Zrezygnowała z aktywności politycznej, gdy jej córka została kanclerzem. Ale legitymacji partyjnej nie oddała – nie chciała, by media rozpisywały się o takim geście. Zwłaszcza że pierwszy rząd Merkel jej partia stworzyła z SPD.

Przed kilkunastu laty trafiłem na ogłoszenie w „Uckermark Kurier”: „Kurs języka angielskiego. Poziom B2. Let’s go on learning English. Serdecznie zapraszamy uczestników, którzy chcą poszerzyć znajomość angielskiego poprzez czytanie interesujących tekstów, ćwiczenia gramatyczne i rozmowy. Koszt: 58 euro za semestr (30 lekcji, we wtorki wieczorem). Prowadzi emerytowana nauczycielka Herlinde Kasner”.

Miała wtedy osiemdziesiąt dwa lata.

– Uczyła do dziewięćdziesiątki. I była w dobrej formie, prowadziła samochód. I nie miała ochrony – mówi burmistrz Tabbert.

Jej numer był w książce telefonicznej. Kiedyś zadzwoniłem. Odebrała.

– Dziennikarz z Polski. Trudne imię i nazwisko. Gazeta „Rzeczpospolita”.

– Proszę o zrozumienie, nie mogę się wypowiadać o córce.

Wzięła jeszcze udział w uroczystości przyznania Angeli Merkel honorowego obywatelstwa Templina. Zmarła dwa miesiące później.

8

Co Angela Merkel robiła parę dni po upadku muru berlińskiego? Pojechała do Polski.

Trzydzieści lat później w serwisie fotograficznym francuskiej agencji prasowej AFP trafiam na amatorskie zdjęcie w wypłowiałych kolorach. Wykonał je profesor Bogumił Jeziorski, szef grupy badawczej w Pracowni Chemii Kwantowej Uniwersytetu Warszawskiego. Jest na nim jego żona Małgorzata Jeziorska, doktor w tej samej pracowni. Towarzyszą jej naukowcy z NRD: Joachim Sauer, obecnie emerytowany profesor chemii kwantowej i fizyki chemicznej, oraz doktor specjalizująca się w chemii analitycznej Angela Merkel, szczupła, z krótko ostrzyżonymi włosami, w czarnych spodniach i bordowej bluzie, spod której wystaje kołnierzyk białej bluzki. Sauer i Merkel byli parą. Od 1998 roku są małżeństwem.

Zdjęcie zrobiono w Bachotku na Pojezierzu Brodnickim, gdzie znajduje się ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Małgorzata Jeziorska przypuszcza, że fotografia powstała w czerwcu 1989 roku:

– Angela Merkel była z nami w Bachotku, kiedy ogłaszano wyniki wyborów z 4 czerwca.

Możliwe jednak, że zdjęcie pochodzi z wcześniejszego spotkania. W pewnym sensie jest przypadkowe, bo Małgorzata Jeziorska nie utrzymywała z późniejszą kanclerz bliższych stosunków. Po prostu były razem na konferencji naukowej. Ale są polscy naukowcy, którzy mają dużo wspomnień o Merkel z czasów, gdy nie zajmowała się polityką. Zaraz do nich dojdziemy.

Angela Merkel, gdy była już znaczącym politykiem, wielokrotnie mówiła o wizytach w Polsce w czasach NRD. W kwietniu 2000 roku na zjeździe CDU w Essen, gdzie wybrano ją na przewodniczącą partii, wspomniała w przemówieniu o publikacjach „Solidarności”, które na

granicy konfiskowali jej enerdowscy celnicy. „Polska i Czechy wniosły wielki wkład w to, że nie musimy już dzisiaj żyć na komunistycznym Wschodzie”, podkreśliła. I wskazała pożądany termin przyjęcia Polski do Unii Europejskiej: rok 2003. Pomyliła się o kilkanaście miesięcy.

Najbardziej zagadkowo brzmi jej wypowiedź z wywiadu, którego udzieliła w styczniu 2003 roku dziennikowi „Berliner Morgenpost”, prawie trzy lata przed objęciem urzędu kanclerskiego:

„13 listopada [1989 roku, cztery dni po upadku muru] pojechałam do moich kolegów naukowców do Polski. Byli zaskoczeni, że pojawiłam się u nich, a nie zostałam w Niemczech, gdzie wszystko wydawało się takie ekscytujące. Potem mi powiedzieli, że gdy następnym razem odwiedzą mnie w Berlinie, Niemcy będą już pewnie zjednoczone. To mnie zaskoczyło, ale i otworzyło mi oczy. Byliśmy w Niemczech pod takim wrażeniem upadku muru, że dalsze konsekwencje nie były dla nas tak oczywiste jak dla nich”.

Kto i gdzie postawił taką diagnozę o zjednoczeniu?

– Myślę, że to przede wszystkim ja jej o tym mówiłem. Moje prognozy na temat procesu przemian w naszym regionie się sprawdziły – twierdzi Jacek Karwowski, emerytowany profesor Katedry Mechaniki Kwantowej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

To na jego zaproszenie doktor Merkel z Centralnego Instytutu Chemii Fizycznej Akademii Nauk NRD przyjechała nocnym pociągiem z Berlina do Torunia 13 listopada 1989 roku. Dzień później wygłosiła wykład, w sumie spędziła w Polsce w tym ważnym dla historii Niemiec momencie sześć dni. W domu u profesora Karwowskiego ze łzami w oczach oglądała telewizyjne relacje z NRD.

– Pokazywałem, co się u nas dzieje. W auli uniwersytetu byliśmy na projekcji *Blaszanego bębenka*, ekranizacji powieści Güntera Grassa w reżyserii Volkera Schlöndorffa. W NRD film był zakazany. Pojechałem z nią do zarządu toruńskiego regionu „Solidarności”. Gdy wyjeżdżała, powiedziała mi, że widziała w siedzibie „Solidarności” puszkę na datki. I poprosiła, żebym wrzucił do niej pieniądze, diety, które od nas dostała i których nie miała czasu wydać. Widać było, że miała to przemyślane,

najwyraźniej ceniła i wspierała „Solidarność” – opowiada Jacek Karwowski.

Z wcześniejszych lat pamięta Merkel uczestniczącą w Szkole Chemii Kwantowej, czyli spotkaniach naukowców specjalizujących się w tej dyscyplinie, które odbywały się w Bachotku.

– Dużo dyskutowaliśmy tam o polityce. I śpiewaliśmy nieprawomyślne piosenki. Ona z Sauerem, z którym zazwyczaj bywała w Bachotku, wykonywała *We shall overcome*, to amerykańskie spirituals. Niewątpliwie identyfikowała się ze stroną opozycyjną wobec systemu.

9

Piosenki śpiewane wieczorem przy ognisku nad jeziorem dobrze pamięta też Karol Jankowski, obecnie emerytowany profesor tej samej katedry na UMK, pomysłodawca i szef spotkań zwanych Szkołą Chemii Kwantowej.

– Na początku przyjeżdżali na nie głównie Polacy, potem też naukowcy z naszego regionu i z Zachodu. W enerdowskiej drużynie był polityczny nadzorca, w jego obecności nie rozmawialiśmy i nie śpiewaliśmy – mówi profesor Jankowski i podkreśla, że Angela Merkel była w Bachotku co najmniej trzy razy.

Nieoczekiwanie spotkali się na początku lat dziewięćdziesiątych w samolocie lecącym z Nowego Jorku do Warszawy, z międzylądowaniem w Berlinie. Ona była wówczas ministrem do spraw kobiet i młodzieży, podróżowała w wyższej klasie.

– Siedziałem wśród Niemców. Sąsiadka spytała, kto taki ważny z nami leci. „*Frau* Merkel, znam ją”, odpowiedziałem. Przesłałem jej poprzez stewardesę list. Nagle o trzeciej w nocy wielkie poruszenie w klasie ekonomicznej. Pojawia się Angela, niedbale ubrana. Przyszła pogadać, wszystko pamiętała z naszych spotkań. Kto z polityków by tak zrobił? Przecież na przyjściu na taką rozmowę nic nie zyskała. To świadczy o człowieku. Miała dobry stosunek do Polaków i nie wynika to z tego, że jej przodek był Polakiem. Zresztą o tym wtedy nie wiedziałem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – podkreśla Karol Jankowski.

O tego polskiego przodka pytam też profesora Karwowskiego.

– Nie przypominam sobie, by kiedyś o tym wspominała. Ale myśmy na sprawy pochodzenia w środowisku chemików kwantowych nie zwracali uwagi, to wspólnota kosmopolityczna, ponadnarodowa, która posługuje się głównie językiem angielskim – odpowiada.

Z polskimi naukowcami, których znała z Bachotka, kanclerz Merkel spotkała się 16 marca 2007 roku po swoim wykładzie na Uniwersytecie Warszawskim.

– Porozmawialiśmy z godzinę, bez pośpiechu – mówi profesor Jankowski.

Wykład pełen był polskich akcentów. Szefowa niemieckiego rządu mówiła o „Solidarności”, odnosiła się do Mickiewicza, Wajdy, Chopina, Szczypiorskiego i Skłodowskiej-Curie. O polskich przodkach jednak nie wspomniała.

Teraz, gdy Angela Merkel przeszła na polityczną emeryturę, odważę się przytoczyć opinię, którą usłyszałem od uczestnika spotkań w Bachotku, gdzie naukowcy mieszkali w skromnych domkach kempingowych o cienkich ścianach, a dyskutowali w stołówce ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego.

– Lubiła seks.

I tyle. Temat pojawił się i natychmiast zniknął.

10

Jedno jest pewne. Angela Merkel wspomniała o polskich przodkach, bez podawania nazwiska, w 1995 roku. Była wówczas ministrem środowiska, ochrony przyrody i bezpieczeństwa nuklearnego w ostatnim rządzie Helmuta Kohla. Wiele jej wypowiedzi przyciągało uwagę; tę przeoczono. Nie padła na konferencji prasowej czy podczas spotkania z wyborcami. Pojawiła się w odczycie, który Angela Merkel wygłosiła na Kirchentagu, zgromadzeniu niemieckich ewangelików, odbywającym się cyklicznie co dwa lata i trwającym kilka dni. Dokumentacja z każdego Kirchentagu to

gruby tom, ten zawierający przemówienia ze zgromadzenia w 1995 roku ma dziewięćset dziewięćdziesiąt dwie strony.

Świeccy ewangelicy spotkali się wówczas w Hamburgu, mieście, w którym czterdzieści jeden lat wcześniej urodziła się przyszła kanclerz. Nie odegrało ważnej roli w jej życiu, rodzina Kasnerów opuściła Hamburg, gdy Angela miała kilka tygodni. Przenieśli się do NRD, najpierw do malutkiego Quitzow, potem jeszcze sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód, do Templina.

Odczyt, który wygłosiła 17 czerwca 1995 roku w sali numer trzy hamburskiego centrum kongresowego, nosił tytuł „Wzory mojego życia". Pierwsze słowo z oryginalnego niemieckiego tytułu, *Vorbilder* (w liczbie pojedynczej *Vorbild*), można też przetłumaczyć jako wzorce albo przykłady. Czy my, jako chrześcijanie, powinniśmy mieć wzorce? – pytała Merkel. Przytoczyła Pierwszy List do Koryntian: „A to stało się dla nas wzorem, ostrzegającym nas, abyśmy złych rzeczy nie pożądali, jak tamci pożądali".

Oraz: „A to wszystko na tamtych przyszło dla przykładu i jest napisane ku przestrodze dla nas, którzy znaleźliśmy się u kresu wieków".

Z tych cytatów wyprowadziła pozytywną definicję wzorca: jest nim ten, który powinien nas chronić przed popełnianiem błędów. Z błędów poprzedników mamy wyciągać lekcję, zachowując jednak świadomość, że sami też popełnimy błędy – głosiła „kojące przesłanie Biblii" córka pastora Kasnera.

Dalej posypały się wzory jej życia. Wspomniany ogrodnik z Waldhofu. Potem wykonawcy szlagierów, gimnastycy, łyżwiarze figurowi, tancerze, podróżnicy i magicy. To z czasów enerdowskiej szkoły. Później trafiła na kogoś, w kim dostrzegła to, co podziwiała. I co, jak sądziła, sama też umie. Kogoś, kto mimo dorastania w niesprzyjających warunkach osiągnął wiele. W nauce, i to na dodatek w bliskich jej dyscyplinach: fizyce i chemii, oraz w życiu społecznym.

Miała na myśli Marie Curie, takiej wersji imienia i nazwiska użyła. Marie Curie, co najpierw zainteresowało Angelę Kasner, pochodziła z Polski. W tamtych czasach, dodała, Polska była podzielona i pod okupacją rosyjską. „Z rosyjską okupacją mieliśmy doświadczenia i my w NRD, choć

te w dziewiętnastowiecznej Polsce były bez wątpienia jeszcze dużo gorsze”.

Wtedy w Hamburgu, na zgromadzeniu niemieckich ewangelików, padły słowa: „A jeden z moich dziadków też pochodził z Polski”.

Sto trzy czerwone goździki

2022

Wojny. Światowe, pierwsza i druga. I ta najnowsza, o przyszłość Ukrainy i Zachodu. Rewolucje. Katyń. Epidemia. Gwiazdor medycyny sądowej. Ikona antyimperialistycznej lewicy. Wszystko to jest w tej historii.

Dla mnie zaczęła się w Wilnie w połowie lat dziewięćdziesiątych. Zaczęła się od rękawiczek – od sugestii, że rękawiczki trzeba nosić nawet w lecie, bo przecież dotyka się klamek w urzędach lub uchwytów w trolejbusie. Od wskazówek, że zakażeniu zapobiega częste mycie rąk. W czasach covidowych słyszeliśmy to do znudzenia, wtedy brzmiało to dziwacznie.

On nie tylko ostrzegał innych, sam chodził w białych bawełnianych rękawiczkach w środku lata. Do tego jasny garnitur, słomkowy kapelusz z dużym rondem. Tak ubrany starszy pan, a miał ponad osiemdziesiąt lat, to był niezwykły widok jak na ówczesne Wilno, szarobure, otrząsające się po dekadach sowieckości.

Energiczny, wysoki, szczupły, z zawadiackim siwym wąsem. Litewskiego, języka odrodzonego niedawno państwa, używał rzadko, sprawiał mu trudności. Sprzedawczynie, konduktorki, urzędniczki wybaczały szarmanckiemu starszemu panu, gdy odzywał się po rosyjsku, choć i w tym języku miał wyraźny obcy akcent. Najlepiej mówił po polsku. Mówił znakomicie. Przez kilkadziesiąt lat w Związku Radzieckim żył w dwóch światach. W pracy i w domu rozmawiał po rosyjsku, ale czytywał gazety z Polski dostępne w wileńskich kioskach. Szczególnie interesowały go doniesienia z Warszawy, rodzinnego miasta, także po upadku

komunizmu. Zaskoczył mnie pytaniem, czy byłem w pierwszym polskim lokalu McDonald's. On nie był, przez wiele lat nie miał szans zobaczyć Warszawy, ale rozpierała go duma, że powstał w jego mieście. Po polsku, ręcznie, pisał artykuły do „Słowa Wileńskiego", tygodnika dla litewskich Polaków, w którym byłem redaktorem. Pisał o zarazkach, pasożytach, bakteriach, wirusach.

Kazimierz Luxemburg, doktor nauk medycznych, epidemiolog. Tak są podpisane jego artykuły. W Wilnie, mieście kilku języków i kilku alfabetów, bywał Luksemburgiem albo Liuksemburgiem; litewszczyzna nie tolerowała litery „x", a dźwięk „l" oddawała w pisowni, dodając zmiękczające „i".

Kazimierz to bratanek Róży Luksemburg.

To jego DNA miało kilkanaście lat później odegrać kluczową rolę w rozwikłaniu berlińskiej zagadki, która poruszyła lewicę nie tylko w Niemczech. Zamordowana w 1919 roku Róża Luksemburg to do dzisiaj ikona lewicowych środowisk różnych odmian. Zagadką zajmował się Michael Tsokos, sława niemieckiej medycyny sądowej. Teraz chciałby o całej sprawie zapomnieć.

1

Michael Tsokos jest autorem bestsellerowych thrillerów. Hasło reklamowe z polskich wydań brzmi: „Przed nim zmarli niczego nie ukryją". Doczekały się ekranizacji.

Bohaterem popularnej serii jest doktor Fred Abel, superzdolny ekspert medycyny sądowej, rozpracowujący najbardziej tajemnicze zbrodnie w Niemczech i w dowolnym miejscu na świecie. Nie lęka się przestępców, w trudnym terenie radzi sobie jak komandos, zapuszcza się nawet do separatystycznego Naddniestrza, skansenu sowieckiego komunizmu na rubieżach Europy. Doktor Abel pracuje w Instytucie Medycyny Sądowej w szpitalu uniwersyteckim Charité w Berlinie. Charité to najważniejszy niemiecki szpital, zatrudnia trzy setki profesorów i szczyci się pracującymi tu w przeszłości noblistami, z pogromcą zarazków Robertem Kochem na

czele. To tutaj uratowano Aleksieja Nawalnego, najsławniejszego krytyka Kremla, którego rosyjskie służby próbowały otruć.

W Charité pracuje też sam twórca postaci doktora Abla, teraz profesor. W 2007 roku został dyrektorem wspomnianego prestiżowego Instytutu Medycyny Sądowej. Jeszcze nie pisał thrillerów, ale już był znany poza gronem ekspertów od DNA, sekcji i śladów zbrodni. Szybko dokonał odkrycia w piwnicach szpitala: zmumifikowanych zwłok topielca płci żeńskiej. Bez stóp, dłoni i głowy.

– To prawie na pewno Róża Luksemburg – ogłosił Tsokos.

2

Przeskakujemy do współczesności. 9 stycznia 2022 roku, przed południem. Podziemie stacji metra Lichtenberg we wschodnim Berlinie. Kolejka po czerwone goździki, które sprzedają Wietnamczycy. Po półtora euro, dziesięć sztuk za dziesięć euro. Im bliżej cmentarza Friedrichsfelde, do którego ze stacji idzie się kwadrans, tym drożej.

Starzy i młodzi z czerwonymi goździkami zmierzają ku Miejscu Pamięci Socjalistów. Druga niedziela roku to tradycyjnie dzień demonstracji ku czci Róży Luksemburg i Karla Liebknechta, założycieli Komunistycznej Partii Niemiec, zamordowanych przez nacjonalistyczną organizację paramilitarną 15 stycznia 1919 roku. Czerwony goździk to niemiecki symbol solidarności z ruchem robotniczym, jeszcze dziewiętnastowieczny.

Tym razem, w sto trzecią rocznicę, przy grobach działaczy pojawia się kilka tysięcy ludzi. Niewiele, bo grasuje kolejny wariant koronawirusa. Dwie dekady wcześniej widziałem tu dziesiątki tysięcy, w innych latach bywało i ponad sto tysięcy. Pochód z czerwonymi goździkami uchodzi za największą w Europie regularną manifestację wyznawców socjalizmu, komunizmu i antyimperializmu. Sterta kwiatów rośnie z minuty na minutę, najwyższa na grobie Róży Luksemburg.

Goździki składają emeryci z enerdowską przeszłością, młodzież alternatywna, przedstawiciele różnych odłamów niemieckiej (i nie tylko niemieckiej) lewicy. Komuniści tureccy niosą wspólny transparent

z komunistami greckimi, do tego Palestyńczycy, inni Arabowie, imigranci polityczni z Indochin. Kurdowie z plakatem, na którym są wizerunki zabitych bojowniczek kurdyjskich.

– Mamy imigranckie pochodzenie, jak Róża Luksemburg, wzór rewolucjonistki i antyimperialistki – mówi dwudziestoletni Kurd z aparatem na zębach, urodzony w Berlinie.

– Urodziłem się we Francji, matka Hiszpanka uciekła tam przed Franco. Ojciec Niemiec, komunista, więzień obozu koncentracyjnego. Ja uciekłem z Francji do NRD, z kapitalizmu do socjalizmu. Znowu jestem w kapitalizmie. I to mi się nie podoba, dlatego tu co roku przychodzę – podkreśla Federico Mergen Orruela, rocznik 1938, wymachujący czerwono-żółto-purpurową flagą Brygad Międzynarodowych z wojny domowej w Hiszpanii. Służyli w nich jego rodzice.

Co ich wszystkich łączy?

– Nie ma wspólnych haseł, nie moglibyśmy razem prowadzić polityki. Jedni chcą tego, inni tamtego. W naszym kraju panuje chaos, ale możemy się cieszyć, że mamy demokrację, lepszą czy gorszą, ale mamy. I od ponad siedemdziesięciu pięciu lat aktualne jest hasło: „Nigdy więcej wojny” – mówi osiemdziesięciodwuletni Reinhard Jungmann, emerytowany inżynier ze wschodnioberlińskiej dzielnicy Pankow. – W NRD nie byłem socjaldemokratą, zostałem nim po upadku muru. Ale do komunistycznej SED też nie wstąpiłem. W rodzinie miałem takich, co wstąpili i służyli wiernie. Siostra poślubiła oficera służby bezpieczeństwa Stasi, przez to nawet spokojnie świąt urządzić nie mogliśmy. W czasach NRD też na cmentarzu urządzano uroczystości, oficjalne. Róża Luksemburg nie była dla SED stuprocentowym wzorem, ale nie mogli się od niej odciąć, założyła przecież partię komunistyczną – dodaje.

Przyszedł na cmentarz z kolegą w podobnym wieku, też z byłej NRD i również związanym z SPD. Kolega wymachiwał flagą SPD, wykazując się sporą odwagą. Rządzący socjaldemokraci uważani są przez większość uczestników uroczystości za zdrajców służących kapitalizmowi – podobnie jak Zieloni oraz politycy mającej komunistyczne enerdowskie korzenie

partii Die Linke. Ich liderzy przyszli na cmentarz z samego rana, złożyli goździki na grobach i zniknęli.

Unikali spotkania na przykład z aktywistami młodzieżowej organizacji Rebell. W swojej ulotce Rebell głosi, że nowy rząd federalny podlizuje się młodzieży: „Wysyła do niej zwodnicze przesłanie wolności, takie jak legalizacja marihuany. A przecież upaleni nie zmienimy świata. To całkowite przeciwieństwo przesłania Lenina, Liebknechta, Luksemburg. Ich mottem było: z chłodnym umysłem, rewolucyjnie, z kręgosłupem moralnym, bezinteresownie i w sposób zorganizowany walczyć przeciw wojnie, walczyć z faszyzmem i o socjalizm".

3

Lenina nie ma w berlińskim Miejscu Pamięci Socjalistów, ale odwołuje się do niego nie tylko organizacja Rebell. Do Liebknechta i Luksemburg trzecie „L", Lenina, dołącza też MLPD. Nic dziwnego – to Marksistowsko-Leninowska Partia Niemiec.

– Trudno wyróżnić któreś z tej trójki, wszyscy są dla nas ważni. Z imieniem Lenina związana jest rewolucja 1917 roku i powstanie pierwszego państwa socjalistycznego – mówi Christa Wolfer, szefowa regionalnego oddziału MLPD, emerytowana nauczycielka.

MLPD mówi o Stalinie, że popełnił błędy, ale bez niego nie byłoby zwycięstwa nad faszyzmem. I nie zdradził socjalizmu, to wina Chruszczowa.

– Socjalizm trzeba zbudować na nowo, wyciągnąć wnioski z przeszłości, ukształtować społeczeństwo – wylicza inna aktywistka partii, koło pięćdziesiątki. Chce pozostać anonimowa, pracuje jako wychowawczyni w przedszkolu: – Za takie poglądy mogą mnie wyrzucić. Były już zakazy zatrudniania w oświacie takich jak my, boję się, że wrócą. Prześladują nas media. Nie informują nawet, gdy na nasze wiece przychodzi dwa tysiące ludzi. Międzynarodowy rozgłos uzyskaliśmy tylko raz, gdy w 2020 roku postawiliśmy pomnik Lenina w Gelsenkirchen.

4

Na uroczystościach z okazji sto trzeciej rocznicy zamordowania Róży Luksemburg widać dużo troski o Rosję. Nic nie słychać o Ukrainie. Putin od kilku tygodni grozi Zachodowi, stawia ultimata, wysyła dziesiątki tysięcy żołnierzy na granicę z Ukrainą. Moskwa odbudowuje imperium i zagraża sąsiadom. Niemiecka antyimperialistyczna lewica bardzo ją wspiera. Za półtora miesiąca Putin wyda rozkaz ataku, zacznie się wojna.

– Imperialiści zagrażają Rosji, okrążyli ją, nie możemy być obojętni – mówi wschodnioberliński emeryt, ten z flagą SPD.

„Wszystkie drogi do pokoju wiodą przez Moskwę" – to tytuł na okładce dziennika „Junge Welt", rozdawanego przed bramą do Miejsca Pamięci Socjalistów. Dwadzieścia stron, spory format. Gazeta została założona w 1947 roku przez młodzieżówkę komunistyczną w Niemczech wschodnich. Na okładce tego numeru jest także reklama XXVII Międzynarodowej Konferencji Róży Luksemburg pod hasłem: „Wojna i trupy to ostatnia nadzieja bogatych. Ręce precz od Rosji i Chin!".

„Ręce precz od Rosji!" pojawia się też na transparentach.

„Pokój z Rosją. Precz z NATO" – to z kolei aktywiści Niemieckiej Partii Komunistycznej, na ich plakatach z czerwonej gwiazdy wyfruwa biały gołąbek.

Sporo tu czerwonych flag, także z sierpem i młotem, czasem jeszcze z karabinem. Ze staroświeckiego głośnika dobiega sowiecka pieśń *Święta wojna* z drugiej wojny światowej: *Wstawaj, strana ogromnaja, wstawaj na smiertnyj boj, s faszistkoj siłoj tiomnoju, s priaklatoj ordoj*.

Dużo zrozumienia dla Putina widać nie tylko wśród niszowej radykalnej lewicy, nie tylko na demonstracjach. Dwa dni przed pochodem na cmentarz Friedrichsfelde Sevim Dağdelen w imieniu Die Linke domaga się w Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu, by dać Rosji, tak jak żąda, wiążące gwarancje. By czuła się bezpieczna. Kosztem Polski, Rumunii, a przede wszystkim nienależących do NATO Ukrainy i Gruzji. W styczniu na stronie internetowej frakcji Die Linke (trzydzieści dziewięć mandatów w liczącym siedmiuset trzydziestu sześciu posłów Bundestagu) pojawią się jeszcze wypowiedzi Sevim Dağdelen o „pobrzękiwaniu szabelką" przez

NATO, o „podżegaczach wojennych”, którzy chcą dostarczać broń Ukrainie, i o konieczności budowy wspólnego domu Unii Europejskiej z Rosją.

Nie odbiega to zbytnio od poglądów SPD. Szczególny stosunek do Moskwy i Putina króluje w byłej NRD, nie tylko na lewicy. Jak to ujął Michael Kretschmer, premier Saksonii i polityk chadeckiej CDU:

– Faktycznie w nowych landach jesteśmy mocno zaangażowani w kształtowanie pozytywnych stosunków z Rosją. Mamy poczucie, że na sankcje gospodarcze wobec Rosji, zwłaszcza związane z gazociągiem Nord Stream 2, duży wpływ ma Ameryka. Dlatego ta sprawa wymaga szczególnej wrażliwości.

5

To była sensacja maja 2009 roku.

„Na 90 procent to ciało Róży Luksemburg. Wszystko na to wskazuje. Jedyne, czego brakuje, to dowód DNA” – mówił agencji Reuters o swoim znalezisku w piwnicach berlińskiego szpitala Charité Michael Tsokos, dyrektor Instytutu Medycyny Sądowej.

„W żadnym razie nie powiedziałbym na forum publicznym: to jest Róża Luksemburg. Ale nie ma też żadnych poszlak, które by temu przeczyły. Jestem niemal pewien, że zwłoki, które poddano obdukcji w 1919 roku, należały do kogoś innego” – wypowiadał się dla internetowej redakcji tygodnika „Die Zeit”. Chodziło o zwłoki wyłowione z berlińskiego kanału Landwehr. Tam ciało rewolucjonistki wrzucili mordercy.

„Dotarłem do raportu z tamtej obdukcji. Patologowie nie znaleźli żadnych śladów po kuli, choć wiadomo, że Różę Luksemburg najpierw uderzono, a zginęła od strzału w głowę. Cierpiała na wrodzone przesunięcie biodra, przez co jej nogi nie były równej długości. O tym także nie ma mowy w raporcie z 1919 roku”.

Tsokos dodał, że zmumifikowane zwłoki również mają nogi różnej długości, co mimo braku stóp udało się potwierdzić. Badania wieku metodą

datowania radiowęglowego wykazały, że ciało pochodzi z czasów Róży Luksemburg.

„Mamy materiał genetyczny. Brakuje próbek Róży Luksemburg do porównania. Najlepiej, gdyby udało się znaleźć jej płaszcz czy szal, pewnie byłyby na nich ślady DNA. Sprawdzałem już znaczki z jej listów, ale były naklejane za pomocą wody, a nie śliny. Także w archiwach w Warszawie i w USA dotychczas nic odpowiedniego nie znalazłem”.

Nigdzie nic odpowiedniego nie znalazł. Ale o tym jednak nie opowie. Biuro prasowe szpitala Charité odmówiło mi kontaktu z profesorem Tsokosem. Jakiegokolwiek. Osobistego, telefonicznego, nawet mejlowego.

6

Najprościej byłoby przeprowadzić ekshumację w Miejscu Pamięci Socjalistów na cmentarzu Friedrichsfelde, sprawdzić, czy w grobie Róży Luksemburg pochowano inną kobietę.

– Ale ten grób jest pusty, Liebknechta też. Hitlerowcy w latach trzydziestych wszystko tam zburzyli. I od tego czasu nic o pochowanych ciałach nie wiadomo. Grób jest symboliczny – mówi doktor Holger Politt, wybitny badacz spuścizny Róży Luksemburg i dyrektor warszawskiego przedstawicielstwa fundacji jej imienia. Fundacja jest związana z partią Die Linke, tak jak Fundacja imienia Friedricha Eberta z SPD, a Fundacja imienia Konrada Adenauera z CDU.

Holger Politt może opowiedzieć to, o czym nie chce rozmawiać Michael Tsokos. To on w 2009 roku szukał tropów w archiwum w Warszawie, wspomnianym przez dyrektora Instytutu Medycyny Sądowej z Charité. Chodzi o Archiwum Akt Nowych. Tam spoczywało zapomniane przez wszystkich pudło z nietypowymi notatkami Róży Luksemburg, potencjalne źródło jej DNA: tworzony od 1913 roku w niemieckich więzieniach zielnik.

– W maju 2009 roku, tuż przed tym, jak zgłosił się Tsokos, dostałem przez telefon podpowiedź: „Szukaj zielnika w Warszawie”. Dlaczego tutaj?, zastanawiałem się. W latach siedemdziesiątych mówiono, że jest raczej

w Stanach. Poszedłem do Archiwum Akt Nowych. Było tam niebieskie pudło, a w nim osiemnaście zeszytów zielnika, bez żadnej numeracji, bez napisu, że to Róży Luksemburg. Nikt za bardzo nie wiedział, co to jest. Zielnik był w dobrym stanie.

Fundacja wydała zielnik (po niemiecku *Herbarium*) w wersji książkowej, niemiecko-polskiej. Najbardziej obiecująco dla eksperta medycyny sądowej wyglądają kartki z pierwszego zeszytu, z maja 1913 roku. Róża Luksemburg nie miała jeszcze doświadczenia w przyklejaniu roślin. Klej obficie rozlewał się poza ususzone liście i kwiaty. Na nim mogło zostać jej DNA. W badaniu, które przeprowadził w Warszawie Tsokos, szczególną rolę odegrała kartka z kłokoczką trójlistną (po łacinie *Staphylea trifolia*, po niemiecku, a to główny język zielnika: *Dreiblättrige Pimpernuss*). Kłokoczka to krzew lub małe drzewo, pierwotnie z Ameryki Północnej, o zielonych i brązowych liściach i z czerwonymi owocami o cieniutkiej powłoce. W środku są nasiona, które podczas wiatru klekoczą, stąd nazwa.

– Odebrałem Tsokosa z lotniska, pojechaliśmy do Archiwum Akt Nowych, był tam trzy godziny, wziął wiele próbek z zielnika. Później się okazało, że jest w nim wiele śladów materiału genetycznego mężczyzn. Zachowały się też ślady kobiece, ale bardzo słabe. Tsokos był niezadowolony. To, co miał z kleju przy kłokoczce trójlistnej, może pochodzić od Róży. Ale na razie nie wystarcza na potwierdzenie. Powiedział, że trzeba poczekać dwadzieścia czy trzydzieści lat, aż technologia tak się rozwinie, że będzie to możliwe. Upłynęło już kilkanaście. Próbki są w Charité. Czekamy.

Następny trop prowadził do Wilna. Na prośbę Tsokosa i berlińskiej centrali fundacji Holger Politt odwiedził Kazimierza Luxemburga, bratanka Róży, epidemiologa, którego znałem z pracy w „Słowie Wileńskim”.

– Byłem w jego mieszkaniu wraz z kolegą, świadkiem. Rozmawialiśmy z panem Kazimierzem przez dwie godziny, próbki pobrał sobie sam, był przecież lekarzem – opowiada.

To badanie nic jednak nie dało. Nie potwierdziło się pokrewieństwo z kobietą, której zmumifikowane zwłoki Tsokos znalazł w szpitalnej piwnicy.

Holger Politt ma hipotezę w sprawie zielnika. Inną niż teraz dominująca, która głosi, że od lat trzydziestych ubiegłego wieku znajdował się w Ameryce, skąd w latach siedemdziesiątych dotarł w niejasnych okolicznościach do archiwum Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie.

– Po śmierci Róży jej polityczne dzieła zostały w Berlinie. Prywatne rzeczy jej przyjaciółka Luise Kautsky przekazała bratu Róży, a on zabrał je do Polski. Zielnik był w Warszawie i zaraz po wojnie, ale nie wiadomo gdzie: u samego Bieruta czy w tym archiwum partyjnym?

Ten brat to Józef Luxenburg, ojciec Kazimierza. Holger Politt często odwiedza jego grób na cmentarzu żydowskim w Warszawie. W gabinecie powiesił zdjęcie z cmentarza. Na płycie nagrobnej jest napis po polsku: „Dr. med. Józef Luxenburg. Zm. d. 3 VI 1934. Żył lat 68. Ukochanemu Mężowi i Ojcu żona i dzieci".

Kazimierz Luxemburg zmarł 5 kwietnia 2011 roku, mając prawie dziewięćdziesiąt siedem lat. Dowiaduję się tego od jego córki Mariny Liuksemburg. Poznaliśmy się w Wilnie, współpracowała ze „Słowem Wileńskim" jako szefowa agencji Vilfoto. Dzięki niej mały tygodnik mniejszości polskiej zasłynął w litewskim świecie fotoreporterów. W innych gazetach na Litwie nie ceniono tak zdjęć, w żadnej nie zajmowały tak wiele miejsca i nie były tak duże, w żadnej nie publikowało tylu wybitnych fotografów. Fotografie były czarno-białe.

Vilfoto dawno nie istnieje. Marina mieszka od lat w Anglii, sprzedaje meble.

– Gdy wybuchła pandemia, pierwsza w firmie wiedziałam, jak się trzeba zachowywać, że nie można się spotykać. Od razu poprosiłam, by przysłali mi dużo rękawiczek, sama zrobiłam maski. Znałam wszystkie raporty ojca. Był specjalistą od salmonelli, tyfusu, cholery, jednym z najlepszych w całym Związku Radzieckim. Gdy miałam cztery lata, przyjechał do domu w kostiumie kosmonauty, podobne wszyscy ujrzeli w czasach covidu. Zrzucił wszystko przy drzwiach, poszedł się umyć, a ja płakałam, bo nie pozwolono mi do niego podejść.

Kazimierz, ojciec Mariny, podpisywał się „Luxemburg", a jego ojciec „Luxenburg".

Holger Politt wyjaśnia:

– Nazwisko rodowe było przez „n” – To Róża zmieniła na „m”, w Zurychu, nie wiadomo dlaczego. Dla nich „n” czy „m” miało drugorzędne znaczenie. Dumni byli z tego „x”. Gdy pan Kazimierz zobaczył na siedzibie naszego przedstawicielstwa w Warszawie napis „Fundacja im. Róży Luksemburg”, był oburzony. Sam taką wersję wpisywałem, gdy zakładaliśmy przedstawicielstwo, jedna koleżanka opowiadała się za „x”. Teraz wiem, że popełniłem błąd.

7

Kanał Landwehr. Dwa żelazne mosty dla pieszych i rowerzystów, jeden tylko dla zwiedzających berlińskie zoo. Woda prawie nieruchoma, grupka spacerowiczów zatrzymuje się przy tablicy poświęconej Róży Luksemburg. Robią sobie zdjęcie przy skromnym pomniku ułożonym z liter jej imienia i nazwiska w niemieckiej wersji. Jest trochę kwiatów, ale nie czerwone goździki, w literę U wetknięto bukiet róż w kolorze herbacianym. Tu 15 stycznia 1919 roku mordercy wrzucili do kanału ciało rewolucjonistki.

Pogrzeb odbył się prawie pięć miesięcy później, 13 czerwca, na cmentarzu Friedrichsfelde, piętnaście kilometrów na wschód. Na zachowanych zdjęciach widać marsz żałobny na ulicy prowadzącej do cmentarza, tej samej, którą teraz co roku przemierzają tysiące ludzi. Wtedy tłum był bardzo gęsty. Prawie wszyscy odświętnie ubrani, w kapeluszach, kobiety zazwyczaj w białych z szerokim rondem. Mężczyźni w czarnych garniturach, z krawatem lub muchą. W naszych czasach dominują kurtki, bluzy z kapturem, swetry, dżinsy, czapki z włóczki. I, ostatnio, maski FFP2, czerwone, białe lub czarne.

W 1919 roku gdzieś w tłumie był mały Kazimierz Luxemburg.

– Byłem na tym pogrzebie. Miałem pięć lat. Mój ojciec zabrał mnie do Berlina.

Lecieli z Warszawy małym dwupłatowym samolotem. To najbardziej zapamiętał.

Opowiadał o tym w lecie 2009 roku dziennikarce „Rzeczpospolitej” Mai Narbutt. Miał dziewięćdziesiąt pięć lat. W swoim wileńskim mieszkaniu czekał na wyniki badań DNA, które miały wykazać, czy to zwłoki jego ciotki Michael Tsokos znalazł w berlińskim szpitalu.

13 czerwca 1919 roku przemówienie przy grobie wygłosił Paul Levi, który objął kierownictwo w Niemieckiej Partii Komunistycznej po śmierci Luksemburg. Prawnik, krótko byli kochankami.

> Drodzy towarzysze, drogie towarzyszki,
>
> Zabili ciało, ale duch nie umarł. Pomyślcie tylko o Niemczech, pomyślcie o tych Niemczech, w których dzisiaj triumfuje kontrrewolucja. W tych Niemczech zabili rewolucję.
>
> Ale z tego miejsca nadejdzie odnowa świata. Myśli Róży Luksemburg będą żywe i będą silne, a gdy nadejdzie dzień, w którym narody uznają swoje zbawienie w komunizmie, może nadal będziemy tu stali albo leżeli, a ludy będą pielgrzymować do tego miejsca, i ojcowie powiedzą swoim dzieciom: zdejmijcie buty, bo to miejsce, na którym stoicie, to jest święta ziemia.

Komunista mówił o komunistce. Ale jak ksiądz.

8

Na regałach w wileńskim mieszkaniu Kazimierza Luxemburga, które odwiedziła w 2009 roku dziennikarka „Rzeczpospolitej”, było wiele biografii sławnej ciotki w różnych językach, książki o Polsce, polska poezja.

Rozmowa zaczęła się od jego ukochanej Warszawy. Opowiadał o rodzinnym mieszkaniu na placu Grzybowskim, o ojcu, który był referentem w ministerstwie zdrowia w pierwszych rządach niepodległej Polski, o pięknej kamienicy w Alejach Ujazdowskich, która należała do rodziny jego matki, o klubie rowerzystów, którego był dumnym członkiem, co utrwalił „Express Poranny”.

Róża Luksemburg, urodzona w rodzinie żydowskiej w Zamościu w 1871 roku jako Rozalia Luxenburg, też mieszkała w Warszawie, chodziła

tu do gimnazjum i związała się z partią Proletariat. Ale to było wiele lat przed urodzeniem Kazimierza.

Bratanek z dumą pokazywał kopię doktoratu, który Róża Luksemburg zdobyła w Szwajcarii. Pisała o przemyśle Królestwa Polskiego. Ze Szwajcarii przyjechała z fałszywym paszportem i zatrzymała w mieszkaniu przyszłych rodziców Kazimierza.

– Przyszedł jakiś mężczyzna. Pytał o nią, chciał się spotkać. Mama wyczuła niebezpieczeństwo i powiedziała, że Róży nie ma. Potem się okazało, że ten nieznajomy był pułkownikiem warszawskiej ochrany.

Na pytanie o rewolucyjną działalność Róży Luksemburg odpowiedział krótko:

– Wszyscy w naszej rodzinie się bardzo kochali.

Największy problem to jej niechęć do niepodległości Polski. Kazimierz Luxemburg unikał tego tematu. Nie wspomniał o tym ani słowem w spisanej w jednym egzemplarzu na maszynie historii rodzinnej. Dużo miejsca poświęcił natomiast miłości Róży do polskiej poezji. W wieku ośmiu lat znała na pamięć całego *Pana Tadeusza* i recytowała go przed zachwyconą rodziną.

– Ona nie była przeciw niepodległości Polski – mówi Holger Politt. – Przed wybuchem pierwszej wojny uważała, że niepodległość jest niemożliwa. Wykluczała taką opcję. A to różnica. W czasie wojny zaś siedziała w niemieckich więzieniach, nie miała szans, by się zorientować, co się dzieje na wschodzie.

9

Na regałach w wileńskim mieszkaniu bratanka Róży Luksemburg najwięcej było książek o Katyniu. W tomie trzecim *Katynia. Dokumentów zbrodni* jest list przedstawiciela Czerwonego Krzyża. Przedstawiciel pyta o los lekarzy przetrzymywanych w obozie przez NKWD. Jeden z nich nazywał się Jerzy Edward Luxenburg.

– To mój brat – powiedział Kazimierz Luxemburg.

Starszy brat, też lekarz, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Zapłacił życiem, bo nosił polski mundur. Nie pomogło pokrewieństwo z Różą Luksemburg.

Córki Kazimierza do czasów pierestrojki nic nie wiedziały o Jerzym Edwardzie. Nie miały też pojęcia, że ich ojciec był obywatelem Polski, któremu polski paszport odebrano w sowieckim więzieniu. Jeździł po ZSRR, szukając brata. A potem nie mógł się stamtąd wydostać. Drzwi do Polski się przed nim zatrzasnęły.

Nazwisko Jerzego Luxenburga jest na tablicy ofiar katyńskich w katedrze polowej Wojska Polskiego w Warszawie. A biogram, pełen specjalistycznych skrótów, zamieszczono na stronie internetowej Księgi Cmentarne Muzeum Katyńskiego. Nosi numer 2099: „Por. rez. Jerzy Luxenburg, s. Józefa i Eugenii z Lindenfeldów, ur. 14 III 1902 w Warszawie. Lekarz, absolwent Wydziału Medycznego UW. W 1927–1928 odbył przeszkolenie wojskowe w SPRSan. W l. 1932–1934 specjalizował się jako chirurg stomatolog w Wiedniu. Od 1934 pracował w Akademii Stomatologicznej. Ppor. mianowany w 1931, por. po 1934, przydzielony do 1 szp. okr., *bdd.*”.

„Józio dostał chłopaka” – tak o narodzinach Jerzego Edwarda pisała 15 marca 1902 roku Róża Luksemburg do swojego partnera życiowego i najbliższego współpracownika Leona Jogichesa. Jogiches był wtedy w Algierze, ona w Berlinie. W tym liście wspomina też o służącej Annie, która „wymówiła służbę, nie wiadomo, z jakiego powodu, bo żyła jak w raju i roztyła się jak beczka. Nigdy też najmniejszego z nią starcia nie miałam”. List jest po polsku, jak prawie cała bardzo obfita korespondencja z Jogichesem, wywodzącym się z żydowskiej rodziny wileńskiej. Domagała się, by pisał po polsku, i wytykała mu błędy, zwłaszcza rusycyzmy. Osiem lat później przypominała Jogichesowi, by wysłał prezent: „Urodziny Edziusia były dziś, 14-go. Jutro wyjeżdża S.F., wzięłaby jaką drobnostkę ze sobą”. S. F. to Sabina Feinstein, działaczka ruchu robotniczego z Warszawy.

Edziuś, Jerzy Edward Luxenburg, po maturze wstąpił w 1920 roku do wojska polskiego i walczył w wojnie z bolszewikami. Dwie dekady później

został jeńcem w obozie NKWD w Kozielsku. Zamordowano go między 20 a 22 kwietnia 1940 roku.

Bratanek Róży Luksemburg to jedna z ponad dwudziestu tysięcy ofiar katyńskich. Ofiar stalinowskiej, komunistycznej, rosyjskiej zbrodni.

Róża z kulą w głowie. Edziuś z kulą w głowie.

I to nie koniec.

Bibliografia

Baedeker Karl, *Baedeker's Nordost-Deutschland, nebst Dänemark. Handbuch für Reisende*, Leipzig 1892

Biblia warszawska, biblia-online.pl, bit.ly/3A5D5vj, dostęp: 8.08.2022

Bojarski Piotr, *Dziadek Angeli Merkel był w armii Hallera. Walczył z Niemcami?*, „Gazeta Wyborcza Poznań" , 22.03.2013, poznan.wyborcza.pl, bit.ly/3P7ceDx, dostęp: 8.08.2022

Christlich Demokratische Union Deutschlands, *13. Parteitag der Christlich Demokratischen Union Deutschlands Essen*, Niederschrift, 10./11.04 2000, Rheinbach 2000, kas.de, bit.ly/3PaBEQP, dostęp: 8.08.2022

Dörrier-Breitwieser Vera, *Balladen. Zur sozialistischen Diktatur in Deutschland*, Berlin 2007

Górny Alfred, Zbigniew Kulczycki, *Przewodnik po Niemieckiej Republice Demokratycznej*, Warszawa 1978

Haase Lena, Beate Welter, *»Als Einzelgänger eindeutschungsfähig«. Zur Praxis des »Wiedereindeutschungsverfahrens« im SS-Sonderlager Hinzert*, artykuł naukowy czekający na publikację

Haszczyński Jerzy, *Mój brat obalił dyktatora*, Wołowiec 2012

—, *Nie tylko pani Steinbach*, Warszawa 2003

Interview mit Björn Höcke, „Thüringen Post. Nachrichten für Thüringen mit Mut und Wahrheit" 2019, No. 2, s. 3–4

Köpp Wolfgang, *Alt Rehse. Schau auf dieses Dorf*, Alt Rehse 2008

Kornelius Stefan, *Pani kanclerz. Angela Merkel*, tłum. Ewelina Twardoch, Poznań 2013

Luksemburg Róża, *Listy do Leona Jogichesa-Tyszki*, oprac. Feliks Tych, t. 2, *1900–1905*, Warszawa 1968

—, *Listy do Leona Jogichesa-Tyszki*, oprac. Feliks Tych, t. 3, *1908–1914*, Warszawa 1971

Luxemburg Rosa, *Herbarium* / Luksemburg Róża, *Zielnik*, oprac. i wyd. Fundacja im. Róży Luksemburg – Przedstawicielstwo w Polsce, Warszawa 2009

Medizin im Dienste der Rassenideologie. Die »Führerschule der Deutschen Ärzteschaft« in Alt Rehse, Hg. Rainer Stommer, Berlin 2017

Merkel Angela, *Mein Weg. Ein Gespräch mit Hugo Müller-Vogg*, Hamburg 2005

—, *Rede von Bundeskanzlerin Merkel zur Verleihung der Ehrenbürgerwürde der Stadt Templin am 8. Februar 2019*, bundesregierung.de, bit.ly/3BVEhDb, dostęp: 8.08.2022

—, *Vorbilder meines Lebens* [w:] *Deutscher Evangelischer Kirchentag Hamburg 1995. Dokumente*, hrsg. im Auftr. des Deutschen Evangelischen Kirchentages von Konrad von Bonin, Gütersloh 1995

Messing Maik, Volkmar Kabisch, Georg Heil, *Leonora. Wie ich meine Tochter an den IS verlor – und um sie kämpfte*, Berlin 2019

Meyer Bernd S., *Wie es bei Dörrier heißt… Der Pankower Chronist über sein Leben*, „Berlinische Monatsschrift” 2000, Heft 7, berlingeschichte.de, bit.ly/3zBzuDY, dostęp: 8.08.2022

Muzeum Wojska Polskiego, *Biogramy Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Jerzy Luxenburg*, ksiegicmentarne.muzeumkatynskie.pl, bit.ly/3P9qcog, dostęp: 8.08.2022

Narbutt Maja, *Jeszcze jedno życie Czerwonej Róży*, „Rzeczpospolita” , 13.08.2009, rp.pl, bit.ly/3BQYPMM, dostęp: 8.08.2022

Nie zweimal in denselben Fluss. Björn Höcke im Gespräch mit Sebastian Hennig, Lüdinghausen–Berlin 2018

Packer George, *The Quiet German. The astonishing rise of Angela Merkel, the most powerful woman in the world*, „The New Yorker”, 1.12.2014, newyorker.com, bit.ly/3CItZ9M, dostęp: 1.09.2022

Piltz Georg, *Kunstführer durch die DDR*, Leipzig–Jena–Berlin 1976

Rede von Paul Levi am Grab von Rosa Luxemburg, 13.06.1919, rosalux.de, bit.ly/3QwVR4u, dostęp: 8.08.2022

Röwekamp Georg, *FC Schalke 04. Der Mythos lebt*, Göttingen 1996

Sächsischer Landtag, *Plenarprotokoll 6/77*, 5.09.2018, landtag.sachsen.de, bit.ly/3A598vp, dostęp: 8.08.2022

Spoerer Mark, *Zwangsarbeit unter dem Hakenkreuz. Ausländische Zivilarbeiter, Kriegsgefangene und Häftlinge im Deutschen Reich und im besetzten Europa 1939–1945*, Stuttgart–München 2001

Topografia terroru. Gestapo, SS oraz Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy przy Wilhelmstrasse i przy Prinz-Albrecht-Strasse. Dokumentacja, oprac. Klaus Hesse, Kay Kufeke, Andreas Sander, tłum. Elżbieta Haase-Nowocień, Berlin 2017

Tsokos Michael, *Identyfikacja*, współpr. Andreas Gössling, tłum. Viktor Grotowicz, Warszawa 2017

—, *Smak śmierci*, współpr. Andreas Gössling, tłum. Barbara Tarnas, Warszawa 2016

Verfolgung und Widerstand in Rheinland–Pfalz 1933–1945, Hg. Barbara Mümpfer, Mainz 2008

Waibel Harry, *Gescheiterte Entnazifizierung in der DDR – Rudolf Dörrier*, hagalil.com, bit.ly/3aZcoiu, dostęp: 22.07.2022

Korzystałem z artykułów z następujących gazet, w wersji papierowej lub internetowej: „Allgemeine Zeitung”, „Berliner Morgenpost”, „Berliner Zeitung”, „Bild”, „Der Kicker”, „Der Spiegel”, „Der Tagesspiegel”, „Die Glocke”, „Die Welt”, „Die Zeit”, „Focus”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Frankfurter Rundschau”, „Freie Presse”, „Hanauer Anzeiger”, „Junge Welt”, „Kölner Stadt-Anzeiger”, „Mitteldeutsche Zeitung”, „Neue Mainzer Anzeiger”, „Przegląd Sportowy”, „Rheinische Post”, „Rzeczpospolita”, „Sächsische Zeitung”, „Schwulissimo” „Słowo Wileńskie”, „Stern”, „Süddeutsche

Zeitung", „taz. die Tageszeitung", „The West Australian", „Trierische Volkszeitung", „Uckermark Kurier".

Cztery reportaże z tego tomu po raz pierwszy ukazały się w „Rzeczpospolitej": *Buntownicy z enerdowskiej prowincji* (26.10.2019), *Jajo ortolana* (zmieniona wersja tekstu *Kiedy wracacie do domu?*, 31.08.2019), *Dżihadystka z Breitenbach* (12.10.2019, pod tytułem *Dżihadystka z niemieckiej wioski*), *Mama Żydówka, tata esesman i komunista* (14.12.2019).

Przypisy

[1] Jeżeli w bibliografii nie wskazano inaczej, tłumaczenia cytatów pochodzą od autora.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl
Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2022
Wydanie I